



**Jennifer Vandever**

**PROJEKT**

**Brontë**

# Część pierwsza

*Romantyzm zaś dotyczy spraw, których nigdy nie zdołamy zgłębić, choćbyśmy wykorzystali wszelkie możliwości, jakie daje nam świat, całe bogactwo, odwagę, rozum i fantazję; spraw, które docierają do nas cudownymi ścieżkami naszych zwodniczych myśli i pragnień.*

Henry James, *The Art of the Novel*

*Arthur twierdzi, że takich listów jak moje nie należy nigdy zachowywać — są niebezpieczne jak zapalki — więc idź za jego radą i spal je albo też, jak postanowił, „trzeba z tym skończyć”. Nie mogę powstrzymać śmiechu — wydaje mi się to takie zabawne.*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1854

## Listy

*Przykra jest zależność od tej drobnej podniety, jakiej dostarczają listy.*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1850

Niektórym kochankom los daje tylko jedną szansę na spotkanie. Innym zaś zsyła niezliczone okazje, więc schodzą się raczej za sprawą złotowłosego kuzyna losu — szczęśliwego trafu. Bez względu na okoliczności, do tak fortunnego zdarzenia dochodzi dzięki zaistnieniu jakichś koniecznych warunków. W przypadku Sary i Paula było to połączenie seminarium magisterskiego z nowoczesnej powieści brytyjskiej, nudnego przyjęcia świątecznego, anglofilii w ogóle, a w szczególności lekkiego podobieństwa Paula do młodego Lawrence'a Oliviera. Tak dobrze wykorzystali swój szczęśliwy traf, że sześć lat później stali obok siebie, obserwując tłum, zerkając na drzwi i popijając taniego merlota z plastikowych kubków.

Nawet najłagodniej rzecz ujmując, los ponosi tu sporą odpowiedzialność. Romeo i Julia spotkali się w niedzielę, a w czwartek już byli martwi. To fakt, o którym Sara myślała na seminarium „Miłość Szekspirowska a czas: odliczanie naszych dni” — coś w tym rodzaju — pomiędzy wykładami o zaburzeniach odżywiania Ofeлии i uzależnieniu Makbeta od hazardu. Ktoś rzeczywiście zabrał się do liczenia dni w tej sztuce, a Sara pomyślała wtedy, że to absurdalne przedsięwzięcie. Była to jednak pouczająca informacja, którą sobie zapamiętała. W rzeczywistości z przypadków Romea i Julii płynęła właśnie taka nauka: przeznaczenie jest surowe i nieuchronne. Spotkany w niedzielę nieznajomy może się w czwartek okazać martwym wcieleniem prawdziwej miłości zmyślnie rozpostartym na twoich zwłokach. Nigdy nic nie wiadomo.

Sara pamiętała o tym, gdy obserwowała Paula pogrążonego w ponurej rozmowie z prodziekanem, czując osadzające się w gardle niczym syrop tanie wino. Ono jest tak naprawdę bardzo drogie, pomyślała. Nie chodzi o to, że jest dobre, ale że należy do określonego gatunku, który specyficzny rodzaj ludzi sączy z plasti-

kowych kubków w jasnych pomieszczeniach, niewątpliwie wierząc, że ta czynność przyniesie im jakąś korzyść. Jeśliby szacować w kategoriach straconego czasu, godności i energii, wino faktycznie osiągnęłoby bardzo wygórowaną cenę. Zajęta takimi przemyśleniami Sara odstawiła kubek i zbliżyła się do półmiska z serami, przy którym zdała sobie sprawę, że jej teoria także tutaj znajduje zastosowanie.

— To wino jest tak naprawdę dosyć drogie, jeśli się nad tym zastanowić — wyszeptwała do Paula. Potrzebowali intymności żartu zrozumiałego tylko dla nich.

— Przepraszam, co takiego? — spytał zdeorientowany Paul.

— To wino. Jest drogie. Jeśli wziąć pod uwagę stracony czas i... godność... — mówiła coraz mniej pewnie Sara. Wypowiedziany na głos żart nie wydawał się już taki zabawny i Paul pobłażliwym uśmiechem dał wyraz temu, że go nie rozumie.

— Chodźmy już — zaproponował.

— Jeszcze nie.

Co roku pod koniec sierpnia kadra uniwersytecka witała nowych członków. Dziwny to zwyczaj mający na celu uczczenie nowego za pomocą wciąż tego samego starego: kiepskie wino, liche ser, witajcie, nowi wykładowcy. Paul był już gotów wyjść i napić się czegoś porządnego gdzieś indziej. W przeciwieństwie do Sary zorientował się, że obecność tutaj niewiele daje, co z kolei doprowadziło do rozdźwięku między nimi. Paul nie potrzebował tych imprez w takim stopniu jak Sara. Publikował już — w wieku ni mniej, ni więcej tylko dwudziestu siedmiu lat — i pisał na atrakcyjne tematy, takie jak język a władza, które przyciągały granty i uwagę prodziekanów.

Sara nie miała tyle szczęścia w swoich badaniach dotyczących listów, a konkretnie rzecz biorąc — tych zaginionych. Poszukiwała listów rodzeństwa Brontë. Szczególnie Charlotte słynęła z namiętności do korespondencji, a jej mąż z kolei z zamiłowania do skrupulatnego jej niszczenia — tak wielki był w czasach wiktoriańskich strach przed ujawnieniem sensacji z życia prywatnego. Większość poszukiwań Sary polegała na niekończącej się wymianie listów z gderliwymi belgijskimi czy angielskimi staruszkami, które mogły, aczkolwiek nie musiały zagubić listów Brontë poniewierających się gdzieś na strychach. Owe samotne wdowy, wzbudzające swoimi zapomnianymi archiwami zainteresowanie Sary, stały się dla niej ryzykiem zawodowym. Opowiadały dziewczynie o niestrawności kota, zaginionych przekazach z emeryturą, wizytach u lekarza, wyliczając przy tym w najdrobniejszych szczegółach rozmaite dolegliwości. Skarżyły się na brak wychowania sąsiadów, niewdzięczność dzieci, przygnębiające, słabe światło z kuchennego okna, po czym wreszcie przechodziły do prawdziwej przyczyny, z której Sara w ogóle się do nich zwracała. Poszukiwania te nieodmiennie kończyły się rozczarowaniem.

Sara prawdopodobnie nigdy nie odnajdzie autentycznego listu. W chwilach spokoju przyznawała, że jej poszukiwania mogą być po prostu próbą odsunięcia w czasie nieuniknionego — napisania rozprawy doktorskiej. Zaginionej korespondencji i dzieł sióstr Brontë było sporo, lecz obecnie powszechnie uznawano je raczej za zniszczone. Nikogo to zresztą nie obchodziło. Z wyjątkiem promotorki Sary.

— Sądzi pani, że możemy mieć do czynienia z wykorzystywaniem seksualnym? — spytała kiedyś z nadzieją w głosie.

— Dobry Boże, nie — odpowiedziała Sara.

— Cóż, nie zaszkodzi się temu przyjrzeć, prawda? — radośnie zasugerowała promotorka.

Ponieważ większość doktorantów anglistyki uczestniczyła w przepychance o ostatki pracy, Sara wiedziała, że jest w kiepskiej sytuacji. Wydział przydzielił jej na razie kursy Lit. 101 gromadzące nadmiar niepiśmiennych pierwszoroczników. Grant badawczy, który pokrywał większość kosztów jej utrzymania, miał zostać wkrótce przedłużony. Sara w pełni zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli nie zrobi czegoś choć trochę modnego, czegoś minimalnie atrakcyjnego, tak jak Paul, jej dni są policzone.

— Chodźmy — szepnął znów Paul.

— Nie możemy.

— Dlaczego?

— Świętujemy nowość — przypomniała Sara.

— Ach tak — westchnął Paul.

Coś zawsze kazało jej wierzyć, że kolejne pięć minut odmieni jej krótką karierę akademicką, której charakterystyczną cechą było milczenie. Nawet to żalosne celebrowanie nowego napęłniało ją nadzieją. Wiedziała, że Paul jest tu w tym roku głównie ze względu na nią i szuka okazji do wyjścia. Nagle w pomieszczeniu zawrzało. Sara podniosła wzrok i spojrzała na przybyłych — Claire Vigeo, badaczkę zajmującą się księżną Dianą i rozchwytywaną autorkę, a zarazem najbardziej olśniewający nowy nabytek wydziału.

— Przepraszam wszystkich — zaczęła Claire.

Tłum zwrócił się ku dziewczynie, ubranej jak skrzyżowanie Rity Hayworth z siedemnastowieczną kurtyzaną, u której boku stali dwaj błyszczący czarnoskórzy mężczyźni od stóp do głów odziani w skórę. To dopiero było nowe.

— To Derek i Lester, moja ochrona — ogłosiła Claire z melodyjnym akcentem, który w uszach Sary brzmiał jak nieokreślona mieszanka francuskiego i angielskiego w wydaniu brytyjskim, ze sporą dozą pretensjonalności. — Grożono mi śmiercią. W każdym razie rozdadzą zaproszenia na wieczorne przyjęcie promocyjne mojej nowej książki, o której zapewne już wszyscy wiecie. Obawiam się, że muszę już iść, ale chcę, byście mieli świadomość, jak bardzo się cieszę, że będę tu w tym roku wykladać, uczyć się od was wszystkich i tak dalej. Dziękuję.

W podziękowaniu Claire było coś takiego, co sprowokowało zebranych do oklasków, jakby właśnie wręczyli jej nagrodę. Przyjęcie promocyjne książki sponsorowało czasopismo „Labia”, którego redaktorką była Claire. Sara podслуchała Eda Grimesa, pijanego mediewistę, który odbierając zaproszenie od ochroniarza Dereka, z triumfującym rechetem oznajmił, że jeszcze nigdy nie odrzucił propozycji pochodzącej od „warg sromowych”. Gdy tłum poszukujący wzrokiem informacji o darmowym kiepskim winie zorientował się, że czeka go dostęp do baru, wybuchła powszechna wesołość. Sara zamierzała właśnie wyrzucić zaproszenie, kiedy jej wzrok napotkał spojrzenie Paula. Uświadomiła sobie, że rzecz jasna z niego skorzystają.

Znała już Claire i wiedziała, że jej nienawidzi. Omyłkowo wzięła udział w panelu dyskusyjnym, który parę lat temu prowadziła Claire. Przez pomyłkę, bo Sara napisała artykuł o siostrach Brontë, a redaktor nadał mu niefortunny tytuł *Sila sióstr*. Przez cały następny rok Sara otrzymywała zaproszenia na rozmaite sympozja, by omawiać swoje działania w ogniu walki między płciami. Sara nie miała najmniejszej ochoty znajdować się na linii frontu jakiegokolwiek wojny, zwłaszcza tak nieokreślonej, lecz przyjęła zaproszenie Claire, zanim zdała

sobie sprawę, że przez nieporozumienie obwołano ją uniwersyteckim podżegaczem. Współczesne interpretacje klasyki traktowane są zwykle z pobłażaniem, myślała Sara. Wiedziała, że jej podejście jest niemodne, lecz cóż mogła na to poradzić? Uczestniczyła w panelu Claire (odrzućcie zaproszenia po jego przyjęciu zrodziłyby różne spekulacje), milcząc jak grób. Po godzinie niezbyt ożywionej dyskusji Claire zwróciła się do Sary i spytała ją, czy prezentuje właśnie „milczenie wiktoriańskiej kobiety”. Sara wymamrotała coś o gorsetach, nie całkiem na temat, i marzyła, by zapaść się pod ziemię. Albo żeby przytrafiło się to Claire.

Na szczęście inna uczestniczka panelu, Toi z Syracuse, która dążyła do starcia, odkąd Claire zbyła jej dorobek życiowy określeniem „ta cała Inność”, skierowała debatę na sferę swoich badań.

— Zawsze chodzi o to, żeby obalić jakąś białą paniusią, te książki są tylko o tym. Dlaczego ona nie ustąpi i nie da wziąć udziału w akcji swoim latynoamerykańskim i afroamerykańskim siostronom? — Publiczność nagrodziła ją owacją. Sarze przyszło na myśl, że powinna zapewne sprecyzować kwestię „obalania”, która okazała się w przypadku sióstr Brontë wyjątkową porażką. Wyjąwszy Charlotte — tylko ona mogła doświadczyć nieco „akcji” w ciągu sześciu miesięcy małżeństwa, zanim padła trupem w wieku lat trzydziestu ośmiu. Chociaż być może Sara nie rozumiała, o co dokładnie chodziło Toi.

Od tego momentu upłynęły jednak dwa lata. Sara była pewna, że Claire jej nie pamięta.

— Milcząca wiktorka! Zastanawiałam się, w jakimż ciemnym kącie się pani skryła! — Sara rzeczywiście rozejrzała się za jakimś ciemnym kątem, lecz jednocześnie poczuła, jak Paul ciągnie ją w stronę Claire.

— Tak się cieszę, że zjawia się ludzie z wydziału. Widzieliście moich ochroniarzy? Są bardzo seksowni, ale niezbyt troskliwi. — Claire wskazała na Lestera i Dereka, którzy, już na rauszu, flirtowali ze sobą w odległym kącie pomieszczenia. — Każdemu dziś doradzam wynajęcie ochrony. Nawet jeśli nie ma takiej potrzeby, nie tak jak w moim przypadku. To daje poczucie, jak by to ująć, wielkiej własnej wartości.

Sara spróbowała wymienić z Paulem niedowierzające spojrzenia, lecz on wpatrywał się w Claire, niepokojąco urzeczony.

— Jestem Paul.

Claire z niewyjaśnionych powodów musnęła kciukiem brzeg swojego eksponującego ramiona topu, po czym wyciągnęła rękę do Paula.

— Oczywiście, znam cię. Zajmujesz się Orwellem, a ona Brontë. Tak konwencjonalnie genderystycznie zainteresowania zawodowe muszą wam dawać poczucie spokoju. Czasami budzę się rano i mówię do siebie: Claire, proszę, zafunduj sobie chociaż jeden dzień bez seksualnej dwuznaczności, bo takie niejednoznaczne życie jest faktycznie bardzo trudne. Trzeba mieć niezwykle skomplikowany umysł, taki jak mój, a wiem, że ludzi to przeraża. Z drugiej strony, większość moich bardzo znanych przyjaciół nie ma nic przeciwko temu. Przepraszam.

Claire pomachała do kogoś na drugim końcu pomieszczenia. Potem pobiegła ją uściskać. A może jego.

— Ależ ona dziwna — mruknęła pod nosem Sara.

— Czy ja wiem — odparł Paul, gestem sygnalizując barmanowi, by podał mu drinka.

Sara odetchnęła głęboko, by się uspokoić. Claire była jej zupełnym przeciwieństwem. Sara miała wąskie biodra, mały biust i spokojne usposobienie, Claire natomiast — bujne kształty i gorący temperament. Włosy Sary były ciemne i proste, tymczasem Claire czarowała burzą miedzianorudych loków. Sara preferowała

praktyczny, klasyczny styl ubioru i kolory, które — jak często wytykała jej matka — w naturze miały zwłaszcza siniaki: czernie, szarości i różne odcienie niebieskiego. Claire z kolei optowała za tym, co ewidentnie modne i drogie. Nawet czerń na niej robiła wrażenie czerwieni.

Była całkowitym przeciwieństwem Sary, więc zainteresowanie, jakie Paul okazywał nowej znajomej, zaniepokoiło dziewczynę. Ale stanowili przecież z Paulem dobraną parę — zapewniała się. Czyż nie wyrzucili jednocześnie wszystkich ciuchów z lumpeksu, z których składała się ich garderoba, gdy mieli po dwadzieścia kilka lat? Czy nie nabyli wspólnie szytej na miarę, eleganckiej odzieży, decydując się jedynie na sporadyczne zakupy używanych ubrań, by nie zrywać tak całkiem z dawnym hipisowskim stylem? Przy Claire Paul wyglądałby po prostu śmiesznie, niewątpliwie ze względu na jej wyzywający wdzięk, pomyślała Sara. Jego szafa pękała teraz od porządnych garniturów i niebrzydkich swetrów, lecz nie zdołałby odeprzeć zarzutu konwencjonalności.

— Nazwała nas genderystycznie konwencjonalnymi — przypomniała mu Sara.

— A mnie zjadliwą nihilistką — powiedziała Meredith, która właśnie do nich dołączyła. Meredith wkładała poezję.

— Przecież to prawda — odparł Paul.

Meredith zyskiwała sławę umiejętnością wydobywania z pamięci bolesnych wspomnień z dzieciństwa i wyrażania ich w wierszach, które krytycy niezmiennie określali jako brutalne, pełne pogardy i zjadliwe. Mniej życzliwi koledzy zabawiali się, spekulując na temat nowej tragedii, jaką następnym razem wskrzesi poetka.

— Pieprz się, Paul — powiedziała Meredith, machając do odzianej w togę kelnerki.

— Czy to impreza w jakimś konkretnym stylu? — spytał Paul.

— A jak myślisz? Przecież tartę figową podsuwa ci rzymska niewolnica.

— Widzę, że nastrój ci dopisuje, Meredith — podsumował Paul.

Meredith uśmiechnęła się, skinęła na barmana, by nalał jej kolejnego drinka, po czym poinformowała po cichu:

— Za dwadzieścia minut będzie już trzeba płacić, więc lepiej się spieszymy, gaz do dechy. — W tej samej chwili zbliżyła się do niej kobieta w lśniącem czarnym kostiumie i złapała ją za ramię.

— Tu jesteś. Jest tu obiecujący młody filmowiec, którego mogłabyś poznać. Stoi tam, gdzie ta kolumna.

— Dorycka czy jońska? — spytał Paul.

Młoda kobieta wpatrzyła się w niego, nic nie rozumiejąc, po czym przyglądziła ręką przód kostiumu.

— Nie, to Donna Karan.

— To jest Maura, rzeczniczka prasowa Claire — z udawanym zainteresowaniem przedstawiła kobietę Meredith. — Paul również pisze.

Ta informacja podziałała na Maurę uspokajająco.

— Gdzie publikowałeś? — spytała.

— Głównie na Węgrzech i na ostatnich stronach czasopism dla mężczyzn.

Maura lekko zmarszczyła czoło.

— Obecnie redaguję *Jak pisać przewodniki dla idiotów. Wademekum idioty* — uzupełnił Paul.

Twarz Maury się rozjaśniła.

— Uwielbiam takie książki. Dowiedziałam się z nich wszystkiego o funduszach otwartych. Zawiadom mnie, gdy się ukaże. A ty? — Maura odwróciła się do Sary.

— Piszę pracę doktorską — odpowiedziała Sara, starannie unikając czegokolwiek, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie rozmówczyni.

— Na jaki temat?

— O siostrach Brontë.

Maura zastanowiła się, w przyspieszonym tempie selekcyjując skojarzenia.

— Wiesz, uwielbiam te starocie z Motown. — Spostrzegła młodego mężczyznę w workowatych spodniach i niedużych okularach. — To on — zwróciła się do Meredith.

— Kto?

— Ten obiecujący filmowiec. Też zdobył nagrodę!

— Fantastycznie. Chyba muszę z nim pogadać, skoro już tak sobie poprawiłam nastrój.

— Świetnie. Ciao! — rzuciła Maura, myśląc już o przyłapaniu kolejnego laureata jakiejś nagrody.

— O co jej właściwie chodziło? — spytała Sara.

— Och, to zmora rzeczników, zmiany w ostatniej chwili i tak dalej — wyjaśniła Meredith. — Zdaje się, że Claire próbuje podtrzymać stary wizerunek w stylu: „Jasne, że nieźle się sprzedaje, ale przy tym jestem naprawdę bystra”. Niestety, jej rzeczniczka, zamiast zaprosić nagradzanych powieściopisarzy i rozmaitych guru, omyłkowo ściągnęła cały niezawodny światek transwestytów i modelek.

— A jaką nagrodę ci przyznali? — spytał Paul.

— Nagrodę Anne Sexton w dziedzinie poezji kazirodczej. Maura ma kompletny mętlik w głowie.

— Gratulacje — rzuciła oschle Sara.

— Mamy dziś kolejny piękny nowojorski wieczór — podsumowała Meredith, unosząc kieliszek. — Można za darmo zatankować, a wokół sami obiecujący filmowcy.

# Do głębi serca

*... młoda dama nie powinna się zakochiwać, dopóki nie otrzyma propozycji zamążpójścia i jej nie przyjmie. Dopiero po uroczystości zaślubin i pierwszym półroczu życia w małżeństwie kobieta może sobie pozwolić na miłość, jednak z najwyższą ostrożnością — zachowując wielki spokój, duże umiarkowanie i nie tracąc rozsądku. Jeśli kiedykolwiek pokocha tak mocno, że ostre słowo lub chłodne spojrzenie męża zrani ją do głębi serca — postąpi głupio...*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1840

Sara przypomniała sobie radę Brontë, przyglądając się Paulowi gawędzącemu z Claire. Chociaż, jak pamiętała, pisarka udzieliła swojej najsurowszej pragmatycznej wskazówki dotyczącej miłości na długo, nim sama jej doświadczyła, a gdy do tego doszło, w ogóle się nią, rzecz jasna, nie kierowała.

Sara zakochała się w Paulu w bardzo młodym wieku. I nie wszystko szło jak po maśle. By ich miłość mogła się w końcu spełnić, nie obyło się bez złamanych serc. Byli ze sobą już od sześciu lat — niemal od razu zamieszkali razem — i w czasie najbliższych ferii zimowych mieli się pobrać wbrew przesądom i przestrogom Brontë związanym z: (1) wspólnym przedślubnym życiem, (2) długimi zaręczynami, (3) zawieraniem małżeństw w zimie oraz (4) zakochiwaniem się przed zamążpójściem i, naturalnie, przed upływem sześciu miesięcy pożycia.

Paul zresztą nigdy nie przepadał za siostrami Brontë, a jego zainteresowania skłaniały się raczej ku temu, co nowoczesne i męskie. Jak na ironię, bo dzięki siostrom bardzo wiele skorzystał. Sara prawie natychmiast się w nim zakochała, ponieważ uświadomiła sobie, że w pewnym świetle, z głową przechyloną pod określonym kątem, jej kolega niemal do złudzenia przypomina młodego Lawrence'a Oliviera z *Wichrowych wzgórz*. Sara zobaczyła ten film w telewizji jako dziewięciolatka i była wstrząśnięta.

Rodzice, oboje terapeuci, próbowali ją z tego wyciągnąć. „Jak Cathy i Heathcliff mogliby rozwiązać ten problem, komunikując swoje uczucia, zanim doszło do tragedii? Co cię tak porusza w zakończeniu? Jak można by to zmienić? Czy Heathcliff nie mógł się cieplej ubrać? A może Cathy powinna bardziej dbać o zdrowie?” Nic nie rozumieli. Sara nie chciała, by ktokolwiek ozdrowiał, pragnęła pławić się w tej straszliwie chorej atmosferze — nigdy dotąd tak mocno nie czuła, że żyje. Kwestie samorealizacji i okazywania siły pozostawiała rodzicom, sama zaś obsesyjnie myślała o śmierci na wrzosowisku, w chłodzie i samotności, z imieniem ukochanego na ustach jako jedynym pocieszeniem. Rodzice głęboko się niepokoiли, że tę skądinąd zdrową dziewczynkę, której nie szczędzili mądrych terapeutycznych rad, cieszyły jedynie włóczęgi po cmentarzach i gadanie w powietrze. Gdzie popełnili błąd?

Niemniej to, co uchodziło za dziwaczne w liceum, w college'u okazało się seksowne. Sara nosiła związane z przodu buty do kolan i długie spódnice, robiąc wrażenie słodko zamyślnego, udręczonego dziewczęcia o chmurnym, wschodnioeuropejskim spojrzeniu. To wystarczyło, by jej koledzy odłożyli swoje pochodzące z drugiej ręki egzemplarze Kafki lub Camusa, przebiegli wzrokiem po studenckiej kafejce i poważnie się zastanowili, czy nie zajrzeć wreszcie do de Beauvoir albo Duras, bądź też — dobry Boże, czy seks naprawdę jest tego wart? — do Charlotte Brontë.



Osoba kochana ma zawsze chronić romantyczne wyobrażenia na swój temat, a Paul stanowił pod tym względem świetny wybór — można sobie było z łatwością wyobrazić, jak jego twarz tężeje na wrzosowisku, co miało dla Sary niemałe znaczenie. Paul wcale nie był ideałem. Jego brak powagi wydawał się czasem maniakalny, a żarty przekraczały granice ludzkiej wytrzymałości. Podczas ubiegłego Święta Dziękczynienia, gdy gościli u siebie na obiedzie Meredith z jej ówczesnym chłopakiem, irlandzkim poetą Hugh, Paul nalegał na toast za Olivera Cromwella.

— Jasna cholera, a to za co? — dochodził Hugh.

— Za kryminalizację teatru muzycznego — odparł Paul.

— On przecież pozamykał teatry, Paul — wtrąciła się pojednawczym tonem Sara.

— Tym bardziej — nie odpuszczał Paul.

— Dobra, to może przy okazji za rzeź niewinnych kobiet, mężczyzn i dzieci z Waterford, Wexford i Wicklow.

— Przebiję twoje truposze trzema słowami: Andrew Lloyd Webber.

Hugh rzucił serwetkę i skierował się do wyjścia, a Paul zaczął się wreszcie tłumaczyć, z miernym zresztą skutkiem.

— Przecież to było trzysta lat temu! — krzyknął w kierunku zatrzasnkujących się drzwi.

Meredith, zbierając się, obrzuciła go smutnym spojrzeniem.

— Niech to będzie dla ciebie nauczka, Paul — powiedziała. — Nigdy nie mów Irlandczykowi „To było trzysta lat temu”.

— Paul i Claire chyba nieźle się bawią — rzekła Meredith z chłodną wyższością osoby, która dawno straciła złudzenia i ponownie przekonuje się o swojej racji. Miała wielką wprawę w rozczarowywaniu się do ludzi z najbliższej przyczyny.

— Daj spokój. — Sara z przesadną obojętnością machnęła ręką. — On ją uważa za kretynkę. Pewnie będzie miał później co opowiadać.

Meredith uśmiechnęła się znacząco. Sara poczuła nagły przyływ mdłości.

— A dokąd się wybieracie na miesiąc miodowy? — spytała celnie poetka.

— Do Paryża. — Uwaga Sary koncentrowała się nadal na Paulu i Claire. — Myślałam, że jest lesbijką.

— Owszem, gdy promuje książki — wyjaśniła Meredith. — A tak w ogóle jest biseksualna, nie mówiła ci? Wiesz, ile wyciągnęła z Amazon?

— Pięćset.

— I to za co? Za księżną Dianę?

— Pierwsza się nią zajęła — uzupełniła cicho Sara. Obserwowała, jak Claire znów muska kciukiem brzeg swojego topu i z wyćwiczoną nonszalancją odrzuca włosy. Czasopisma wciąż opisywały je jako „grzywę w nieładzie” — były kręcone, długie, rude i naprawdę cudowne. Gdyby Sara miała lepszy nastrój, na pewno by dostrzegła. Jednak cały czas ją mdliło. Przypomniła sobie, że jeszcze nic nie zjadła. Nic, z wyjątkiem kiepskiego sera i odrobiny tarty figowej, które zalała potem mocnym, darmowym alkoholem.

— Muszę iść do toalety — powiedziała, już schodząc po schodach.

Jeśli na górze było jak w Rzymie, to na dole jak w Maroku, toalety z kolei kojarzyły się raczej z Japonią. Sam kamień i lustra, ani śladu muszli czy umywalki. Było to królestwo płaszczyzn. Sara pomyślała, że w tak pomieszanym geograficznie miejscu trudno spodziewać się toalety przypominającej po prostu toaletę. Odczuła coś w rodzaju napadu paniki — nie miała już mdłości, kręciło jej się tylko w głowie, a wszystko wokół było płaskie.

Wybiegła na zewnątrz, zaniepokojona, że dzieje się coś strasznego. Nie wiedziała dokładnie co, ale wiązało się to z nietrwałością miłości, zagadkowo płaskimi toaletami i całym tym bezbożnym, podłym małym światkiem. Dostrzegła ukrytego w niszy mężczyznę, który rozmawiał przez telefon komórkowy. Obrzucił ją dziwnym spojrzeniem.

— Nykki? — spytał. Słowo odbijało się echem, jakby poddano je elektronicznej obróbce.

Zaszumiało jej w głowie i poczuła, że się przewraca. Czyżby się poślizgnęła? Czuła, że w dziwny sposób zachowuje kontrolę, jakby upadek trwał kilka godzin, nie sekund.

Zamrugnęła, a potem szeroko otworzyła oczy.

— Dobrze się pani czuje? Proszę — powiedział mężczyzna z telefonem. Rzymski niewolnik wręczył jej puchar z wodą. Sara zastanowiła się, co on tu robi — to przecież Maroko — a następnie przypomniała sobie, że jej znajomość historii i szlaków handlowych zawsze była dość powierzchowna.

— Co się stało?

— Zemdlała pani. — Mężczyzna z telefonem znów się nad nią pochylał. W każdej sytuacji kryzysowej znajdzie się osoba, która zaczyna wszystkim kierować — wykrzykuje polecenia i rozdaje puchary z wodą — właśnie z kimś takim Sara miała do czynienia. Poczuła przypływ wdzięczności. Tylko gdzie się podziewa Paul, przypuszczalnie jej życiowy opiekun? Bez wątplenia na górze, w Rzymie.

— Może spróbuje pani usiąść? Pamięta mnie pani? — Był to chyba rodzaj testu, który — jak instynktownie czuła Sara — należało koniecznie zaliczyć.

— Oczywiście — skłamała.

— Słyszałem, wie pani, i chcę powiedzieć, że musi pani być silna, wie pani, o czym mówię? — Sara przytaknęła. Czy naprawdę go znała? — Byłem tam i to odmieniło moje życie, jestem czysty — wyjaśnił. Sara chciała przyznać, że nic nie rozumie, ale po tym omdleniu nie była już pewna, czy mężczyzna nie wie o niej więcej niż ona sama.

— Przepraszam, proszę, może spróbuje pani usiąść? — Pomógł jej usadowić się na jednej z sof okrytych grubą tkaniną, które umieszczono w niewielkich niszach.

Sara zastanawiała się, czy nie zdradzą im przypadkiem jakichś tajemnic państwowych.

— Tak lepiej? — spytał mężczyzna.

Sara skinęła potakująco głową.

— W porządku. Przepraszam za to zamieszanie.

— Pewnie nic pani nie jadła, prawda?

— Chyba tak — zgodziła się Sara.

— Nad czym pani teraz pracuje? — spytał mimochodem, przysiadając obok.

— Wciąż nad tym samym — odparła enigmatycznie. Teraz wszystko jasne — poznała go na jakiejś konferencji. Całkiem możliwe.

— Czyli nad czym? — dopytywał się.

— Nad listami Brontë.

Nie była pewna, ile już wiedział. Poruszył głową, zdradzając, że nie ma pojęcia o tym projekcie i że wydał mu się ciekawy. Wszystkie przedmioty w polu widzenia Sary wróciły już do pionu i dziewczyna poczuła dziwne odprężenie. Przyniesiono jedzenie. Sara podziękowała skinieniem głowy, sięgnęła po kawałek chleba i włożyła do ust.

— Był taki etap w życiu Charlotte Brontë — mówiła, pogryzając pieczywo — kiedy opuściła swoje rodzinne miasto w północnej Anglii i wyjechała na studia do Brukseli. Właśnie w tym okresie udoskonalała technikę pisarską oraz znajduje odpowiedni temat.

— Mhm. — W tym momencie wzrok słuchaczy stawał się zazwyczaj nieobecny. Mężczyzna jednak wykazywał żywe zainteresowanie.

— Z czasem zaczyna mieć obsesję na punkcie swojego profesora, który — świadomy jej geniuszu — bierze ją pod swoje skrzydła. Na przykład, gdy Charlotte wróciła do domu, napisał do jej ojca, prosząc go, by mogła powrócić do Brukseli i uczyć. Stał się swoistym wzorcem romantycznych bohaterów jej prozy, łącznie z panem Rochesterem.

— Hmm.

— Jednak jego żona...

— Żona?

— Pani Heger. Zauważywszy uczucie Charlotte, zapewne zanim dostrzegł je jej mąż, zaczyna ją traktować nieco chłodniej.

— Mhmm.

— Profesor zaczyna się do niej dystansować. Charlotte popada w przygnębienie. Nie cierpi Belgii, nie ma tam przyjaciół. Wreszcie decyduje się na wyjazd. Wraca do domu i pisze do profesora szereg przepelnionych uczuciem listów.

— Czy on jej odpowiadał?

— Rzadko, a kilka jej listów podarł. Jego żona odnalazła je jednak w śmieciach i pieczołowicie złożyła. Robią naprawdę przejmujące wrażenie, ponieważ poszczególne kawałki zostały zszyte — małżonka profesora zestawiała strzępy listów i rzeczywiście połączyła je nicią. Wróćmy jednak do Charlotte, która się zamartwia — prowadzi monotonne życie, ma chorego ojca i brata alkoholika. Przelewa więc swój smutek na papier i wysyła listy, nie otrzymując odpowiedzi. Wtedy jej uwagę przyciąga proza, przekształcenie własnych doświadczeń w sztukę. Można się pokusić o stwierdzenie, że cała jej twórczość pozwala się odczytać jako długi list miłosny pozostawiony bez odpowiedzi.

Sara przyjrzała się swojemu towarzyszowi, nieco zbyt życzliwemu i eleganckiemu jak na przeciętnego naukowca. Może to badacz dzieł Kafki, którego poznała w ubiegłym roku w Toronto.

— Coś w stylu Kafki — dorzuciła zagadkowo, sprawdzając tajemniczego nieznajomego.

— Jak to? — spytał niewinnie.

Nie zajmował się twórczością Kafki.

— Kafka powiedział ojcu, że przez całe życie pisał o tym, czego nie mógł wypłakać mu w kamizelkę.

— Coś takiego.

— Skąd pan zna Claire?

— Wszyscy ją znają.

— Rzeczywiście. No cóż. — Sara wzruszyła ramionami.

— Ale czy oni...

— Kto?

— Profesor i...

— Nie, choć nie odnaleziono wszystkich listów. Właśnie tym się zajmuję.

— Szuka pani listów?

— Zwłaszcza jednego. Charlotte w pewnym momencie wspomina poprzedni list i przeprasza, że „straciła w nim głowę”. Listów było kilka, lecz zachowały się tylko cztery, z których trzy zostały podarte, a następnie pozszywane. Natomiast zupełnie nic nie wiadomo o istnieniu jakichkolwiek listów adresowanych do Charlotte...

— Proszę przyjąć moją wizytówkę. Bardzo chciałbym na to zerknąć, gdy uzna pani swoją pracę za ukończoną. Z kim jeszcze pani się konsultuje?

— Mmm... — Sara szukała właściwych słów, lecz towarzyszący jej mężczyzna kiwnął głową ze zrozumieniem, jakby z uznaniem dla jej przemyślanych uników.

— Wszystko jasne — powiedział. — Proszę tylko, byśmy pozostali w kontakcie. Bardzo mnie to zainteresowało.

Sara napisała na serwetce swój adres e-mailowy, odnotowując w pamięci konieczność zamówienia wizytówek.

— Wykłada pani? — spytał, dostrzegłszy w adresie „edu”.

— W tym semestrze niewiele, ponieważ prowadzę badania — odpowiedziała, zerkając jednocześnie na otrzymany kartonik z napisem: Wytwórnia Filmów „Green Light”, Byrne Emmons.

Z niepokojem obracała wizytówkę w palcach, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić. Miała już pewność, że nigdy przedtem nie spotkała tego mężczyzny, więc jak teraz wybrnąć z udawania znajomości?

— Czy chodzi o zielone światło na przystani Daisy z *Gatsby'ego*? — spytała.

Pan Emmons odpowiedział uśmiechem.

— Czy wie pani, że jest pierwszą osobą, która na to wpadła? Przez całe lata ludzie myśleli, że ma to związek z czymś w rodzaju promyka nadziei czy z jakimiś pobożnymi życzeniami. A ja po prostu pisałem licencjat z literatury.

Sara poczuła, że to bezpieczny grunt, i posunęła się nieco dalej.

— Jaki uniwersytet pan skończył?

— Studiowałem w Bostonie. Sara uśmiechnęła się i rzuciła:

— Podobno MIT to świetna uczelnia.

Pan Emmons lekko się wyprostował i wygładził fałdkę na krawacie.

— Harvard — poprawił.

— Wiem, wiem.

Na jego twarzy pojawił się znaczący uśmiech — zdawał sobie sprawę, że z niego zażartowała, i podchodził do tego z poczuciem humoru.

— Przez pierwsze lata pobytu w LA musiałem to ukrywać. W rzeczywistości wszyscy kończyli Harvard albo Yale, ale nie było to najlepiej widziane. Cholera, nawet chłopak, który parzy mi kawę, jest stypendystą Rhodesa.

— Naprawdę?

— Tak, uczy mnie sanskrytu. Proszę posłuchać, muszę wykonać kilka telefonów, dopóki wszyscy są jeszcze uchwytyni w biurze. Poradzi sobie pani?

— O tak, już wszystko w porządku. Właściwie teraz tylko mi wstyd.

— Zupełnie niepotrzebnie. To była dla mnie prawdziwa przyjemność.

Sara podniosła się i uścisnęła mu rękę.

— Dla mnie również.

Meredith siedziała pogrążona w rozmowie z ciemnowłosym mężczyzną, którego Sara nigdy przedtem nie spotkała.

— Widziałaś może Paula?

— Szukał cię — odpowiedziała Meredith.

— Paul nie żyje! Czy to nie z piosenki Beatlesów? — wyrwał się jej towarzysz niepytany.

Mówił z wyraźnym francuskim akcentem i żywo gestykulował.

— Tylko jeśli puścić ją od tyłu. To jest Denis...

— *De-ni* — poprawił ją głośno.

— *De-ni* — powtórzyła Meredith z udawaną pokorą. — Pochodzi z Francji.

— A to Meredith. Jest poetką — wyjaśnił Denis.

— Tak, już się znamy — przypomniała mu Sara.

— No tak, ale co z tego?

— Denis jest poetą — uzupełniła Meredith.

— *Non*, jestem wierszem — poprawił.

— Opublikowałeś już coś? — spytała Sara.

— *Non*. Nigdy niczego nie piszę. Dlatego w moim wierszu może być wszystko. I ty, i ona. A jak coś napiszę, to nagle tylu rzeczy nie ma — po co mi to? Napiszę, a potem nasłucham się od ludzi różnego obrzydliwstwa. Nie chcę żadnych opinii, sam wiem, co myśleć. A oni mówią: „Ach, ten Denis to taki zdolny gość” albo myślą: „Co za idiota, dlaczego straciłem na niego tyle czasu?” Rozumiecie? Jak nie napiszę mojego wiersza, nie będą musieli tak parszywie gadać i wszyscy będziemy zadowoleni.

— Racja — przyznała Sara, rozglądając się wokół w poszukiwaniu Paula.

— Ale wy w Ameryce macie dobrze, bo jednego dnia coś mówicie i jest to prawda, drugiego coś innego — i to też prawda. Ale nie tym się teraz zajmujemy.

— Tak, jasne — przypomniała sobie Meredith.

— A co ty o tym myślisz? Nie wiem, jak ci na imię.

— Sara.

— Sara, dobrze. Jesteś w moim wierszu. Zastanawiamy się, czy Bóg kontroluje czynniki psychologiczne, kiedy sprawdza czyjaś dobroć.

— Załóżmy, że jesteś wierząca — dodała Meredith.

— Na potrzebę chwili — ciągnął Denis — musisz przestać być niedowiarkiem. Gdy przyjeżdżam do Nowego Jorku, napycham kieszenie drobnymi, bo ludzie ciągle o nie proszą. Rozdaję je. Ale czasami nie mam ochoty i nie daję. Idę do bankomatu, ktoś mi otwiera drzwi i potrząsa kubkiem. Jeśli oprócz mnie jest tam jeszcze dwadzieścia osób, raczej nic nie daję. Jeżeli jestem sam, czuję się bardziej odpowiedzialny, zbaczam z drogi i daję. I teraz, jeśli Bóg zsyła anioła, który udaje menela, i ja mu coś daję, bo czuję dodatkową presję, że jestem sam, to jestem zbawiony. Ale jeżeli nie dam — może jestem zły, bo odeszła ode mnie żona albo mój pies ma raka — obojętnie z jakiego powodu, to co, jestem potępiony, tak? Nawet jeśli przedtem zawsze dawałem? Widzisz, Bóg jest behawiorystą, ale czy ma też pod kontrolą inne czynniki?

— A co, jeśli zrobisz coś złego, czego nikt nie zauważy? — spytała Sara.

— Ach — zbył ją szybko Denis — to już zupełnie inna gra.

— Co o tym sądzisz? — dociekała Sara.

— Myślę, że jeśli Bóg istnieje, to kiepski z niego naukowiec — oświadczył Denis, unosząc wzrok.

— Gdzie byłaś? — spytał Paul.

Sara obejrzała się i zauważyła chłopaka, który wyczekująco trzymał ich płaszcze. Denis uniósł radośnie rękę.

— Och, Paul. Ty żyjesz! Gratuluję.

— W toalecie — odpowiedziała, odbierając swoje okrycie i wpychając wizytówkę Byrne'a Emmonsa głęboko do kieszeni.

# Une grande passion

*Mam nadzieję, że nie opęta cię romantyczne szaleństwo oczekiwania na nadejście une grande passion, jak mówią Francuzi. Moja kochana, une grande passion to une grande folie.*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1840

Jechali do domu taksówką w całkowitym milczeniu. Sara, już wyczuwając problemy, zrezygnowała z roztrząsania minionego wieczoru. Paul od kilku tygodni był ponury i przygnębiony, aż do dzisiaj, do momentu spotkania z Claire. To nie wróżyło nic dobrego. Gdy dotarli do mieszkania, Paul wypalił:

— Myślę, że jednak powinienem pojechać.

„Wyjazd” oznaczał roczny pobyt we Francji. Paul otrzymał propozycję stypendium na pisanie rozprawy o nietrwałości języka pod opieką znanego, pracującego samotnie poza Paryżem profesora, gdy tymczasem Sarę nadal wiązał pierwszy grant badawczy Fundacji Keane'a. Keane'owie byli rodziną, której bogactwo pochodziło jeszcze z czasów kopalń miedzi i budowy kolei, obecnie hojnie sponsorującą nowe odkrycia w naukach humanistycznych i ścisłych. Grant Sary miał zostać przedłużony w grudniu i dziewczyna bardzo chciała, by tak się stało. Umożliwiłby jej pozostanie w Nowym Jorku co najmniej przez kolejny rok oraz pokrył koszty utrzymania i podróży. Sara poszukiwała przecież zaginionych listów, a kursy literatury prowadziła za znikome wynagrodzenie. Oboje zastanawiali się nad perspektywą związku na odległość i rocznej rozłąki, jednak pewnego suto zakrapianego wieczoru pełnego szalonych deklaracji i oświadczeń zdecydowanie tę możliwość przekreślili. Sara podjęła się już nauczania w kolejnym roku akademickim, była to zresztą propozycja nie do odrzucenia. Francja musiała więc jeszcze rok poczekać. Paul przystał na to, lecz obudził się nazajutrz z potężnym kacem, gorzko żałując swojej decyzji.

— Czyj to pomysł? Claire? — spytała Sara, włączając światło w mieszkaniu. Poczowała nawrót mdłości.

— Wiesz, że chcę pojechać.

— Okay — zgodziła się, kierując się do łazienki.

— Saro, ja siedzę w kącie — wyjaśnił Paul, który cały czas stał pośrodku pokoju.

— To co? — spytała beztrąsko, myjąc zęby. Jeśli zachowam się normalnie, wszystko pozostanie, jak było — podpowiadał jej instynkt.

— W kącie.

— Słucham?

— Jeśli chcesz wiedzieć, o tym właśnie rozmawialiśmy z Claire — powiedział Paul, stojąc już na progu łazienki.

— Powiedziała, że siedzisz w kącie. Co z tego, przecież oboje siedzieliśmy.

— Nie. Ja usunąłem się w kąt. Na świecie tyle się dzieje, a ja siedzę w kącie — tłumaczył ze spokojem.

— Pięć godzin temu uważałeś Claire za kretynkę, a teraz jest twoim osobistym doradcą? — spytała Sara, wypluwając pastę do umywalki.

— Nic nie rozumiesz.

— Racja. Nie rozumiem. Nie rozumiem, jakim cudem mamy się za parę miesięcy pobrać, skoro zdecydowałeś, że zamieszkamy osobno.

— Daj spokój, Saro — błagał z cierpiętniczą miną, jak zawsze gdy zamierzał zrobić coś, z czego byłaby naprawdę niezadowolona. — Może moglibyśmy przełożyć ślub. Tylko na...

— Przełożyć? — Sarze zrobiło się słabo. Z przejęcia ścisnęła ją w żołądku.

— Nie wiem, Saro, potrzebuję po prostu trochę więcej czasu.

— Więcej niż sześć lat mieszkania razem? Paul skinął głową. Miała słuszość.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś? — zaczął ostrożnie.

— Nad czym?

— Nieważne.

Niezła ta Claire, pomyślała Sara. Bezbłędnie wyczuła największą obawę Paula, że coś go omija, że nie w pełni korzysta z życia, a tymczasem inni czerpią z niego pełnymi garściami. Ta myśl go prześladowała. Nie zmarnował młodości, podrywając dziewczyny w obcisłych topach. Za to teraz bardzo działały na jego wyobraźnię.

— Nad czym? — naciskała Sara.

— Ja po prostu... — Paul był w rozterce. Cokolwiek powie, nic dobrego z tego nie wyniknie, w każdym razie nie dla niego. — Chciałbym tylko nabrać pewności — wyznał wreszcie.

— Co do czego? — spytała z wahaniem Sara.

— Co do nas. Sam już nie wiem...

Przyspieszone bicie serca, ból w klatce piersiowej, ból żołądka, dziwne reakcje brzucha — Sara odczuwała wszelkie najdrobniejsze objawy zapowiadające katastrofę. Jak chwiejnie nasze ciało brnie przez życie, myślała, gdy Paul zadawał ostateczny cios.

— Po prostu nie czuję już między nami żadnej napiętności. Nie wiem, czy właśnie ty jesteś tą jedyną. Jesteśmy jakby... przyjaciółmi.

Sara patrzyła na niego niewidzącymi oczyma, zupełnie osłupiała.

— Co takiego? — wykrztusiła wreszcie.

— Pogubiłem się. Sam nie wiem, czego chcę. Może za rok to się zmieni. Chcę zrobić rok przerwy. Daj mi ten rok, a reszta należy do ciebie. Przez ten czas upewnię się, że się kochamy i że jesteśmy sobie przeznaczeni. — Paul ujął to brutalnie, całkiem zresztą niezamierzenie. Chciał brzmieć ugodowo, by dojść do uczciwego kompromisu, stworzyć sytuację, która zadowoli obie strony. Istnieją jednak słowa, które działają jak przełącznik. Paul właśnie nieumyślnie go nacisnął.

— Co w takim razie robiłeś przez te wszystkie lata, jeśli nie jesteś zakochany? Kłamałeś? — spytała cicho Sara z dziwnym spokojem, który przychodzi po wielkim rozczarowaniu.

— Nie, oczywiście, że nie. Kocham cię. Tylko, no, nie wiem... To znaczy... Naprawdę cię kocham. Po prostu jakoś nie czuję, że to jest to. Chyba próbowałem przekonać samego siebie, że tak jest, zaręczynami i tak dalej.



— Co takiego? — krzyknęła Sara. Pobiegła do sypialni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Co teraz? Popatrzyła wokół na ich wspólne rzeczy — plakaty, listy, nigdy nieużywaną gitarę, tomik Swinburne'a, który Paul czytał jej na głos w łóżku na początku ich beznamietnej przyjaźni.

— Przepraszam, Saro — mówił teraz przez drzwi. — Ale czy tak nie jest lepiej? Nie lepiej już teraz to wiedzieć?

— O, tak, tak jest o niebo lepiej, Paul — odpaliła. O, Boże, myślała, mówimy sobie wszystko, co zwykle kończy znajomość. Jak do tego doszło?

— Saro... — błagał bezradnie Paul. Wołanie w środku nocy przez zamknięte drzwi.

Sara po raz pierwszy przeżywała naprawdę nieszczęśliwą miłość, lecz wydawało jej się, że kiedyś już doświadczyła jej oznak, były jakoś smutno znajome.

— Wiesz, kiedy jest najlepszy moment, żeby powiedzieć kobiecie, że jej nie kochasz? — spytała przez drzwi łamiącym się głosem. — Chyba zanim wyzna się jej miłość, zamieszka z nią i poprosi ją o rękę. Jak myślisz? Dla kobiet takie rzeczy zwykle wiele znaczą. Ja czułam namietność. Naprawdę cię kochałam! Chyba dobrze, że choć jedno z nas postąpiło uczciwie... — Ostatnie słowo uwięzło jej w gardle i wybuchnęła płaczem.

Paul otworzył drzwi, usiadł na łóżku obok Sary i objął ją. Dziewczyna przyłgnęła do niego, kurczowo ściskając. Bała się. Cholerna Claire, myślała, to wszystko jej przekłeta wina. Sara sądziła, że miłość Paula jest mocniejsza niż obcisłe topy i durne, przepłacane pisarki. Myśl, głupia, powtarzała sobie, wypłakując się na jego ramieniu.

— Może muszę tylko na jakiś czas wyjechać — zasugerował Paul. — Zrobić małą przerwę. Może za rok będę czuł zupełnie inaczej.

Roczna rozłąka. To popularny chwyt literacki. Łamała sobie głowę w poszukiwaniu przykładów. *Straccone zachody miłości*. Bohaterki nalegają na odłożenie ślubu o rok, by wystawić na próbę oddanie swoich zalotników. *The Tenant of Wildfell Hall* (Anne Brontë!). Również tutaj bohaterka obstaje przy małżeństwie za rok, by poddać próbę miłość mężczyzny. To kobiety zawsze narzucały roczne rozstanie, by sprawdzić mężczyzn. W literaturze nie zaistniał precedens rocznej rozłąki, która miałaby wypróbować oddanie kobiety wobec mężczyzny nie czującego przywiązania. Zaszło tu jakieś przewrotne sprzeniewierzenie się romantycznej konwencji.

Sara uważnie spoglądała Paulowi w oczy. Uświadomiła sobie, że istnieją dwa rodzaje ludzi: tacy, którzy na wieść o tym, że są niekochani, wybiegają za drzwi i nakazują zdradzającym nigdy się u nich nie pokazywać, oraz tacy, którzy po prostu z nadzieją w głosie mówią: „W porządku”.

Sara najwyraźniej należała do tej drugiej kategorii. W ciągu następnych kilku dni zaistniały między nimi układ zaowocował atmosferą pełnego serdeczności odprężenia. Gdy Paul załatwiał różne sprawy, obserwowany przez Sarę, traktowali się jak prawnicy rozwiązujący kancelarię, grzecznie czekający, aż druga strona zrobi coś, o co warto się spierać. W miarę zbliżania się dnia rozstania coraz trudniej było utrzymać emocje na wodzy. Któregoś ranka Paul rozplakał się nagle nad owsianką.

— Ale ze mnie dureń — wyszeptał.

— Wcale nie — odpowiedziała szeptem Sara, łagodnie ujmując jego dłoń. Owszem, pomyślała. Chciała jednak sprawiać wrażenie dobrej, pełnej zrozumienia kobiety — takiej, do której mężczyźni wracają na kola-

nach, kiedy odzyskują rozum. W każdym razie próbowała. — Nie chciałabym, żebyś został, jeżeli miałbyś być z tego powodu niezadowolony — powiedziała. — Chcę, żebyś był szczęśliwy. Chcę, żebyśmy oboje byli szczęśliwi.

Paul sam przed sobą usprawiedliwiał siebie i swoje nierozważne pragnienie ucieczki. Opatrzność zrządziła po prostu nie fair, tak wcześnie zsyłając na niego ustabilizowaną miłość. To nie w porządku, że nie zasmakował hedonistycznej przyjemności miłosnych pomyłek, zanim odnalazł pociechę w prawdziwym uczuciu. Jego przyjaciele miewali romanse. Przeżywali rozmaite dzikie historie. Kiwali głowami z podziwem, wierząc, że Paul jest ponad to wszystko. A on im w rzeczywistości zazdrościł. I jednocześnie pragnął być szlachetny, dobry. W końcu przecież kochał Sarę. Poświęcił się byciu dobrym, był taki przez wiele lat i znów taki będzie. Najpierw jednak musi użyć życia — czy nie miał prawa przynajmniej do tego? Chciał włóczyć się samotnie ulicami Paryża, całkiem pijany. Mógłby uwodzić urocze młodzietki dziewczyny i przerażać je przepelniającym go smutkiem.

— Proszę cię, nie jedź — poprosiła Sara, odwracając się do niego w łóżku w ostatnią wspólnie spędzoną noc. — Proszę. Zostaniesz? — błagała z oczami pełnymi łez.

Paul westchnął. To było najgorsze. Ten ból, który jej zadał. Sara przekonała się, że naprawdę zamierza pojechać, poczuła to wreszcie całym ciałem. Wszystko przewróciło się do góry nogami, solidna podstawa, na której — jak sądziła — opierało się ich uczucie, ugięła się i zakołysała. Sara nie miała zamiaru płakać, doszła do wniosku, że to zbyt żalosne. Będzie smutną kobietą, która nic nie rozumie. Jej ciało drżało od niewylanych łez.

— Przepraszam — powiedział Paul.

Rano Sara pomogła mu nawet znieść bagaże do taksówki. Co za idiotka tak postępuje? — myślała jednocześnie. Tylko jakieś popychadło, kobieta, która kocha zbyt mocno, kobieta opuszczana przez mężczyzn.

— Proszę — powiedziała, usłużnie podnosząc z chodnika torbę z tkaniny.

— Dzięki.

— Zadzwoń, kiedy dojedziesz — poprosiła odruchowo, po czym zdała sobie sprawę, że nawet ten znajomy rytuał traci teraz sens.

— Jasne.

— Cześć.

— Cześć.

— Kocham cię — wyznała Sara. Nędzne, taszczące walizki popychadło!

Pocałowali się, lecz wyszło im to dość niezręcznie.

— Ja ciebie też — zapewnił i wsiadł do taksówki.

Sara przeszła przez ulicę, pilnując się, by nie odprowadzać wzrokiem odjeżdżającego samochodu. Życie bez Paula wydawało jej się nie do pomyślenia. Zawsze zakładała, że i on tak czuje. Najwyraźniej jednak życie bez Sary nie było niewyobrażalne, przeciwnie — wyjątkowo pociągające. Rok rozstania właśnie się rozpoczął, chociaż dla Sary było oczywiste, nawet we wczesnym okresie, gdy odmawiała przyjęcia tego do wiadomości, że to po prostu faza pośrednia przed definitywnym zerwaniem, która pozwala im zachować twarz, coś w ro-

dzaju sankcji handlowych poprzedzających wybuch wojny. Odwróciła się wbrew rozsądkowi. Taksówka już odjechała.

## Niepożądane uczucie

*...co do wielkiej namiętności, trwam w przekonaniu, że to uczucie niepożądane. Przede wszystkim rzadko spotyka się z wzajemnością albo wcale jej nie zaznaje, a gdyby ją nawet wzbudziło, okazałoby się przelotne: przetrwałoby miesiąc miodowy, a po nim ustąpiłoby zapewne niechęci czy obojętności... Stałoby się tak bez wątpienia w przypadku mężczyzny, a kobieta — Boże, przyjdź jej z pomocą, jeśli płonie miłością w osamotnieniu.*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1840

Charlotte Brontë miała dwadzieścia osiem lat, gdy po raz pierwszy spotkał ją zawód miłosny. Sara ze smutkiem dostrzegła w tym podobieństwo do własnej sytuacji. Leżąc w swoim, w ich, nie, teraz już właściwie tylko swoim łóżku, apatycznie patrzyła przez okno. Nazajutrz po wyjeździe Paula długo obserwowała robotników stawiających wieżę ciśnięć na dachu budynku po drugiej stronie ulicy, zanim wreszcie wzięła się w garść i wstała. Jak oni mogą budować? Nie wiedzą, że Paul ją zostawił? Jak to możliwe, że Ziemia nadal obraca się wokół swej osi, gdy Sara i Paul nie mieszkają już razem? Jak szybko wszystko się rozeszło — pomyślała dziewczyna — jak łatwo się rozpadło. Jak to powiedział Lacan? Miłość to dawanie czegoś, czego się nie posiada, komuś, kto nic istnieje. Ci pieprzeni poststrukturaliści nigdy się w takich sytuacjach nie sprawdzali.

Do rozpoczęcia zajęć zostało jeszcze kilka dni. Sara mogła się czymś zająć — miała wiele do zrobienia, jednak nie było to szczególnie pilne. Nic nie stało więc na przeszkodzie, by zatopić się w ponurym nastroju, pograżyć w cierpieniu i rozpacz. Postanowiła przeprowadzić analizę własnego zachowania. Trafiała jej się wspaniała okazja wystąpienia w roli specjalisty, a zarazem przedmiotu badań. Liczyła na doświadczenia przypominające siedem etapów umierania, lecz już następnego dnia odkryła, że na przemian nachodziły ją jedynie Rozpacz i Bezwład.

Usiadła przy biurku, by wstępnie przygotować się do zajęć. Pierwszy rok miała pracować jako prawdziwy wykładowca — nie tylko zwykły asystent — i chciała solidnie przyłożyć się do pracy. Czekają ją raczej łatwe zadanie — XIX-wieczna literatura epoki romantyzmu. Jakie to proste, myślała wcześniej. Do czasu, gdy stała się Ofiarą Miłości Numer Jeden, skazaną na popłakiwanie na sofie przy programach kulinarnych telewizji kablowej. Sara wykazywała zazwyczaj świętą cierpliwość w stosunku do romantycznego pisarstwa. Teraz jednak stwierdziła z niechęcią, że ludziom, o których czytała, po prostu brakowało kablówki. Weź się w garść, Sara zganiła w myślach kolejną guwernantkę usychającą z nieodwzajemnionej miłości. Opanuj się i załatw sobie kablówkę — strofowała. Nie był to bynajmniej najlepszy stan umysłu, by roztaczać przed dorastającym pokoleniem literaturoznawców uroki XIX stulecia. Z pełną świadomością spoczywających na niej obowiązków Sara zabrała się do lektury *Villette* Charlotte Brontë i odkryła, że... to po prostu okropieństwo.

To wrażenie było znacznie silniejsze niż zwyczajny zanik upodobania do twórczości sióstr Brontë. Zalała ją gwałtowna nienawiść do wszystkiego, co kiedykolwiek napisały i za czym się w życiu opowiadały. Co

więcej, miała poczucie utraty całej rodziny. Zawsze skrycie sądziła, że tylko mylnym zrządzeniem losu nie urodziła się jako jedna z sióstr — tak bardzo się z nimi identyfikowała.

W dzieciństwie rodzeństwo Brontë wymyślało misterne, splatające się historie pełne bohaterów, nieznanymi lądami i wojen domowych. Przez kilka lat snuło zawile opowieści, czerpiąc z zasobów własnej wyobraźni i korzystając z repertuaru przygód sir Waltera Scotta i księcia Wellingtona. Charlotte i Branwell stworzyli świat Angrii, a Anne i Emily — Gondol.

Sara uważała ich dzieciństwo za idealne, znacznie lepsze niż jej własne, terapeutycznie normalne. Zatykała do kontaktów, napominanie, piosenki i opowieści podkreślające znaczenie współdziałania i dzielenia się. Kaski. Nakolanniki. Takie rzeczy psuły dzieciństwo. Najlepsze intencje rodziców zwalczyły jego immanentną, brudną naturę, zmieniając ją w „naturalne etapy rozwoju”. Bez względu na to, co miała Sara mówić lub robić, oni zawsze powtarzali, że to „zupełnie normalne”. Doprowadzało ją to do szału.

W wieku dziewięciu lat spokojnie wyjaśniła nauczycielowi wychowania fizycznego, że ma niedowagę, ponieważ jej rodzice misjonarze zginęli śmiercią męczeńską w Zimbabwie, a ją powierzono opiece okrutnej ciotki, która raz na dwa tygodnie daje jej pół kromki chleba zamoczonego w mleku. Usłyszawszy z ust gorliwej, a przy tym podejrzliwej pracownicy opieki społecznej takie rewelacje, matka i ojciec szybko się otrząsnęli, po czym zapewnili wszystkich zainteresowanych, że zachowanie córki to po prostu konieczny etap indywidualizacji osobowości poprzedzający okres dojrzewania. Zwyczajne sprawdzanie, jak daleko można się posunąć, integracja tożsamości, naturalny bunt dziewczynki wynikający z przekraczania granic dziecięcej zależności. Wściekła Sara wycofała się do swojego pokoju święcie przekonana, że nie ma nic gorszego od niewzruszonych rodziców.

Rodzina — ta rzeczywista — zawsze wzbudzała w niej rozczarowanie. Gdy miała dziesięć lat, matka i ojciec na krótko się rozeszli. Nie miała wprawdzie pojęcia, dlaczego tak się stało, lecz przypuszczała, że wiązało się to z nieodpowiednim myciem teflonowej patelni i porażką rodzicielki w roli romantycznej bohaterki. Matka Sary była nowoczesna i wymagająca. Krzyczała, że kuchnia jest zapuszczona i że nie tylko ona ponosi za to odpowiedzialność, a w ogóle, to kto, kto, do jasnej cholery, zniszczył teflonową patelnię, myjąc ją zbyt szorstką myjką?! Faktycznie zrobiła to Sara, jednak ojciec o tym nie wiedział albo niewiele go to obchodziło, a może jego poczucie męskości zostało do tego stopnia ugodzone, że po prostu odmówił posłuszeństwa.

— Może kupmy nową patelnię? — zaproponował.

— Co tydzień? — zaatakowała matka.

— Dlaczego nie?

— Świetnie. Najlepiej wszystko wymieniamy. Co tydzień. Sara nie musi iść na studia.

— Przecież nie o to chodzi. Daj żyć. Jezu. To tylko pieprzona patelnia.

— Nie tylko patelnia. Chodzi o kompromis. Całe życie to jeden wielki kompromis!

Sara nie miała wtedy zbyt dużego doświadczenia w miłości, lecz spore odczytanie dawało jej pewność, że wykrzykiwanie ze szczytu schodów, jakim to życie jest kompromisem, wcale nie służy gorącemu uczuciu.

Rodzina Brontë mieszkała przy cmentarzu, który należał do plebanii. Dziesięcioletnia Sara również o takim marzyła. Była głęboko przekonana, że w pobliżu podobnego miejsca żadna kłótnia nie może długo trwać, a już na pewno nie jakaś sprzeczka o patelnię. Pogrzebała więc zniszczone naczynie w ogródku za domem,

gdzie spoczywały już snem wiecznym chomiki i salamandry. Nikomu o tym nie powiedziała. Patelnia przepadła jak kamień w wodę. Ojciec kupił nową. Rodzice nadal się kłócili. Dziesięcioletce wydawało się, że mówią obcym językiem. Wykrzykiwali głośno o „unieważnieniu małżeństwa” i „prognozowaniu”, potem uspokajali się i rozmawiali płaczliwie o „celu przejściowym”. Ojciec się wyprowadził.

Gdy Sara w końcu przyznała się starannie wybranej psychoterapeutce dziecięcej do swojej roli w tragedii z teflonową patelnią, ta przestrzegła ją przed tendencją do podporządkowywania się innym, unikania konfliktów w milczeniu, w tajemnicy i ze stoickim spokojem. Czy ta kobieta niczego nie czytała? — zastanawiała się Sara. Przecież tak się wszystko załatwia — pod osłoną nocy i, jeśli to możliwe, za pomocą łopaty.

— Uważaj, żeby w przyszłości nie postępować tak w związkach z mężczyznami. Albo z kobietami, jeżeli wolisz.

Oślupiała Sara przytaknęła. Mogło się wydawać, że zbyt wiele spadło na głowę zaledwie dziesięcioletniej dziewczynki, lecz przecież pozornie nie musiała sobie z tym radzić sama.

Rodzice się pogodzili. Na rynek weszły doskonalsze gąbki do zmywania. W domu znów zagościło szczęście. Dziesięcioletnia Sara zapamiętała sobie jedno: nie denerwuj się głupimi drobiazgami. Jako dorosła kobieta właśnie tak postępowała. Latami dusiła w sobie chęć sprzeciwu. Paul wciąż popełniał błędy: kupował zepsute samochody i używane komputery, płacił kartą kredytową za zbyt drogie wydania książek przy nieuregulowanym rachunku telefonicznym, czyścił podłogę myjką do naczyń, a Sara zachowywała spokój. Oczywiście mówiła, co o tym wszystkim sądzi, nie była w końcu idiotką. Zgłaszała swoje uwagi — grzeczne, wyważone i niezauważane. Ale co to dawało? Wywoływanie kłótni nie miało sensu. Sprzeczki z Paulem zawsze się zapętlały — zaczynały od drobnych nieporozumień, a kończyły na wypominaniu dawnych, mgliście zapamiętanych konfliktów. Sara się poddała, gdy brudna gąbka do zmywania doprowadziła ją do łez. Nie było warto.

Zbyt późno odkryła podstawową zasadę dzielenia z kimś życia i mieszkania — małe ustępstwo niezauważalnie toruje drogę większemu. Zanim się więc zorientowała, wycofała się z wielu dawnych zajęć i aspiracji. Zdała sobie z tego sprawę, gdy zanurzając myjkę w wodzie ze środkiem dezynfekującym, rozmyślała o rezygnacji z od dawna upragnionego stanowiska wykładowcy w Nowym Jorku, by pojechać z Paulem do Francji. Jak to się stało, że jego sprawy stały się najważniejsze? Był już najwyższy czas, by coś postanowić. Odpuściła mu brudne gąbki, a w efekcie niepostrzeżenie przepadał jej Nowy Jork.

Podjęła zatem decyzję. Paul na nią przystał. Uszanował jej potrzeby. Cud niebywały. Wkrótce się zaręczyli. A potem jakoś opacznie zinterpretował słowa Claire i wszystko się rozpadło. Tak po prostu. W sprawach sercowych to na porządku dziennym — robi się hecę z niczego, a potem żałuje. Sara się głowiła, czy aby słusznie wywołała awanturę. Czy miała wystarczający powód, by utracić miłość? Stanowisko zdawało jej się teraz nudne i mało znaczące. Może powinna była pojechać z nim do Francji?

Urojona rodzina znów wyprowadziła Sarę na manowce, nauczywszy ją romantycznego spojrzenia na zwyczajne cierpienie. Teraz, gdy tkwiła w nim po uszy, wiedziała, jak jest naprawdę. Jak w jej rozpalonej dziewczęcej głowie powstało przekonanie, że trzy trwające w celibacie suchotniczki lepiej się znają nie tylko na miłości, ale i na życiu? Problem Sary zdawał się oczywisty: literatura zrujnowała jej życie. A co z życiem samych pisarek?

— Anne i Emily właściwie z nikim się nie spotykały — tłumaczyła zrozpaczona, zadzwoniwszy o czwartej nad ranem do Meredith. Jak to się stało, że właśnie w niej znalazła najlepszą przyjaciółkę? To kolejny problem angażujących się w długotrwałe związki: traci się rozeznanie co do najbliższych przyjaciół i łąduje z taką Meredith. — A Charlotte? Dwa głupiutkie zauroczenia, potem małżeństwo z facetem, którego — jak wynika z listów — nawet nie lubiła, a po niecałym roku umarła. Dlaczego te kobiety stały się dla mnie wzorem do naśladowania?

Meredith paliła w milczeniu, a potem poradziła.

— Powinnaś obejrzeć filmy z Bette Davis.

— Bette Davis?

— Ją warto naśladować.

— To śmieszne. Robię się cikliwa. Po prostu potrzebował trochę czasu, chciał sobie wszystko poukładać.

— Hmm — mruknęła Meredith z bezstronnym zainteresowaniem lekarza, który właśnie wykrył guza.

— Już wiem, jaki to etap.

— Co masz na myśli?

— Negocjacje.

— Daj spokój, Meredith. Nawet nie wiem, czy przypadkiem nie zerwaliśmy.

— Zabrał pierwodruki?

— Dlaczego pytasz?

— Zabrał? — naciskała Meredith.

Sara zamyśliła się. Meredith należała do gatunku ludzi, którzy rozkwitają, gdy ich przyjaciele wpadają w dołek. Była specjalistką od sytuacji kryzysowych.

— Nie, zostawił — odpowiedziała Sara.

— W takim razie oficjalnie jeszcze jesteście razem.

— Co to znaczy?

— Gdyby Paul zamierzał cię porządnie zdenerwować, na pewno by je zabrał.

— Dlaczego?

— Bobyś je zniszczyła.

— Nie, tego bym nie zrobiła — zaprotestowała urażona Sara.

Głos Meredith niemal zadźwięczał uśmiechem.

— Owszem, zrobiłabyś.

# Odrobina zainteresowania

...niegdyś, jako swojej uczennicy w Brukseli, okazał mi Pan odrobinę zainteresowania — wciąż ją pielęgnuję — uchwyciłam się jej tak, jak trzymam się życia...

Charlotte Brontë, list do profesora Hegera, 1845

Sara przebrnęła przez pierwszy tydzień zajęć wspomagana falą obojętności ze strony studentów. Drugi okazał się trudniejszy. Codzienna wymiana nic nie znaczących uprzejmości wydawała się zadaniem ponad siły. Czowała się słaba i przybita. Chciała pójść do domu i usiąść przed telewizorem, podobnie zresztą jak większość jej studentów. Przez chwilę kusiło ją, by zawrzeć z nimi cichą umowę: „Nie będzie prac pisemnych ani testów, oglądamy telewizję i nikomu ani słowa”.

Upomniała się jednak, że pracuje dopiero pierwszy rok. By zaproponować temu kwiatowi młodzieży wyrzucanie tysięcy dolarów na oglądanie programów kulinarnych, musiała poczekać przynajmniej na stały etat.

Wychodziła właśnie z kampusu, gdy dostrzegła zbliżającą się Claire.

— Zorganizujmy panel dyskusyjny.

— Co takiego? Dlaczego? Claire wyciągnęła z torby ulotkę.

— Odbędzie się seria wykładów na temat wzorca kobiety. *Trés* 1989, ale mimo wszystko powinnam to wejść, nie sądzisz? Chodzi mi o coś w rodzaju: „Księżna Diana i Charlotte Brontë — konstrukcja bohaterki romantycznej, performatywne aspekty płci i tożsamości seksualnej, ikoniczność” i tak dalej, i tak dalej. Łapiesz?

„Łapiesz”? Sara zauważyła, że Claire zaczęła sobie przyswajać specyficzne zwroty. Nie dalej jak wczoraj usłyszała, jak nowa koleżanka opowiada komuś, że jej dekorator wnętrz zaszarżował „na maksa”. Nagle odezwał się telefon komórkowy Claire. Sara osłupiałym wzrokiem wpatrywała się w ulotkę, jakby świstek miał jej ujawnić jakąś tajemnicę.

— *Merde!*

Nic z tego, poczekaj. Możesz mnie zastąpić? Sara uniosła głowę, uświadomiwszy sobie, że Claire zwraca się do niej.

— Co takiego?

— Zastąp mnie na zajęciach. Za godzinę. *Romeo i Julia* — masz o tym cały rozdział w mojej książce — po prostu go omów. — Claire wróciła do przerwanej rozmowy. — W porządku. Przekaż Courtney, że już jadę.

— Claire, nie mogę wziąć tych zajęć.

— Nie czytałaś *Romeo i Julii*?

— Oczywiście, że czytałam.

— Wiem, że to dopiero drugi tydzień zajęć, ale grafik Courtney jest totalnie odjechany. Zresztą tak naprawdę jadę również dla dobra studentów.

— Dokąd?

— Zrobić wywiad z Courtney dla pisma „Labia”.

— Z jaką Courtney?

Claire popatrzyła z niedowierzaniem.

— Love. — Wrzuciła telefon do torby. — Wielkie dzięki.

— Nie mogłabyś poprosić kogoś...

— Na przykład kogo? Tę kobietę, której się zdaje, że brąz to kolor?

— Meredith?

— Po prostu przeczytaj ten rozdział. Poradzisz sobie.

— Brąz to jednak kolor.

— Dzięki, kochanie.

Claire przywołała taksówkę, a Sara wróciła na kampus. Rano, stojąc w kolejce po kawę, kompletnie się rozkleiła pod wpływem bzdurnych słów piosenki REO Speed-wagon. Śpiewali coś o kochaniu, „bo to jedyne, co chcę w życiu robić”. Sara odkryła nie znany jej dotąd tragiczny skutek uboczny zawodu miłośnego. Kompletnie pozbawiał ironii. Skończył się luksus lekceważących uśmiezków, którymi można było skwitować wszelkie radiowe bzdety. Jej odporność na tani sentymentalizm popu kompletnie siadła. Chcąc nie chcąc, padała jego ofiarą.

Nie zdawała sobie dotychczas sprawy z wszechobecności kiepskich kawałków o miłości. Teraz dopadały ją w taksówce, w warzywniaku, w kolejce po kawę, dosłownie wszędzie. „Chcę cię tylko kochać”. Boże, toż to są trubadurzy, tkliwi piewcy tajemnic miłości. Jaka prostota, jaka żarliwość! Jak to się stało, że przez tyle lat nie odkryła takiej kopalni emocji jak REO Speedwagon? Wybiegła, pozostawiając na ladzie parującą kawę.

Z przerażeniem myślała, co ją czeka podczas omawiania *Romea i Julii*.

Ociągając się, ponownie weszła do budynku uniwersytetu.

— Co tu, u diabła, robisz?

Sarze zaparło dech w piersi. Odwróciła się i dostrzegła Meredith.

— Żartowałam — zapewniła koleżanka. — Chodź ze mną — poleciała i wyprowadziła Sarę tylnymi drzwiami na alejkę między budynkami. Zapaliła camela bez filtra.

— Jeszcze je produkują? — zdziwiła się Sara. Meredith przytaknęła i zachęcająco podsunęła paczkę. Sara odmówiła, kręcąc głową.

— Powinnaś zacząć palić. W takich sytuacjach to naprawdę pomaga — poradziła Meredith.

— Nie, dzięki.

— Chciałam, żebyś się dowiedziała, zanim Grimes to rozniesie...

— O czym?

— O Paulu. Spotyka się z kimś.

— Cóż... — Sara czuła, jak uchodzi z niej życie. Tego było już za wiele. Jakim cudem? Nie mogła w to uwierzyć. Zaledwie kilka tygodni wcześniej wszystko świetnie się układało — zanim pojawiła się Claire. A teraz jakaś nieznajoma, niewątpliwie atrakcyjna Francuzka radośnie rozwiewała jej ostatnią nadzieję.

— Grimes twierdzi, że jest modelką i prezentuje kostiumy kąpielowe. Stypendystka Fulbrighta. Znajomy Grimesa z Sorbony widział ich razem.



Sara prędko przycisnęła palce do kącików oczu, by powstrzymać łzy, i zdusiła głuchy jęk, który już miał się z niej wydobyć. W ciągu minionych dni pospieszne powstrzymywanie odruchowego wybuchu płaczu przerodziło się już w rutynę. Sara doszła do takiej wprawy, że mogłaby to nawet wykładać.

— Ach tak — wykrztusiła. Myśl o Paulu z inną kobietą kompletnie ją rozbiła.

Meredith podsunęła papierosy, a w jej oczach błysnęła satysfakcja: „Życie jest do dupy, a ludzie są wredni. Nie mówiłam?” Celowo unikała tematu „innych”, bo to nieodmiennie oznaczało, że ten, kto zrobił pierwszy krok, zdecydował o charakterze i przebiegu rozstania. Co więcej, po cichu założyła, że to Paul wykonał pierwszy ruch i że ogólny cel jego rocznego wyjazdu do Francji miał mniej wspólnego z nietrwałością języka, więcej zaś — jak to wyjątkowo krzepiąco ujęła — z „pieprzeniem się jak małpa na cracku”.

— Ma na imię Therese — poinformowała beznamiętnie. Imię! Sara była zrozpaczona.

— Myślałam, że palisz mentolowe — pozbierała się w końcu.

— Tylko kiedy jestem przeziębiona — odparła Meredith, uśmiechając się znacząco zza kłębow dymu.

— Meredith, czy mogłabyś przynajmniej udawać, że się tak dobrze nie bawisz?

— Co takiego? Powtarzam: nie oglądaj się za siebie. Pieprz go. Mówię to j a k o p r z y j a c i ó ł k a .

— Ostatnie zdanie trąciło tak doskonale wytrenowaną troską, że Sarę zemdliło z obrzydzenia. Naturalny, cyniczny styl Meredith był znacznie mniej nachalny.

Kolejnym nieznanym skutkiem ubocznym zawodu miłosego okazały się właśnie nieustanne nieproszone rady. Wszyscy — żonaci i zamężne, single, wstawieni, załamani, zagubieni i zgorzkniali — mieli teraz coś do powiedzenia. Przyjaciółki, które kiedyś wbijały pusty wzrok w dno kieliszka, wyznając: „Kiedy na niego patrzę, mam ochotę przywalić mu cegłą — dziwne, co?”, nagle mogły ją poczęstować własnymi doświadczeniami. Hurrra!

— Mam zajęcia — powiedziała Sara i pognęła do środka. Za pięć minut miała się rozwodzić nad zbawczym wpływem miłości u Szekspira. Minęła Eda Grimesa, zapijaczzonego mediewistę, którego współczujące spojrzenie wyjątkowo szybko stawało się złośliwe. Nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

Dziewiętnastolatka o szklistych oczach Sissy Spacek, pozlepianych, ufarbowanych na różowo włosach i z wyeksponowanym, mimo połowy września, kolczykiem w pępku siedziała niemożliwie skulona, monotonicznie czytając:

*Weź go i potnij na maleńkie gwiazdki;*

*On lico niebios uczyni tak pięknym,*

*Że świat się cały rozmiłuje w nocy,*

*Nie chcąc czcić dalej jaskrawego słońca\*.*

\* W. Szekspir, *Romeo i Julia*, przeł. M. Słomczyński, „Zielona Sowa”, Kraków 1997.

Sara mocno chwyciła się krzesła i próbowała przyciągnąć uwagę studentów pewnym spojrzeniem pytającym: „Co o tym sądzicie?” Grupa wpatrywała się w nią milcząco i bezlitośnie.

W zajęciach uczestniczyły głównie studentki programu licencjackiego. Około tuzina chłopaków, którzy zapisali się pod wrażeniem zdjęcia z okładki książki Claire oraz jej zaangażowania w „odkrywanie erotyki w

nauczaniu", zdążyło się już ulotnić. Któryś szczerze wyznał na pierwszych zajęciach, że pragnie, by go „ćwiczyła do skutku”, na co Claire chłodno odparła, że nie ma zwyczaju ćwiczyć chłopców.

Za to jej oddziaływanie na młode kobiety było wyraźnie widoczne. Niektóre naśladowały jej sposób ubierania się, inne — zapewne nieświadomie — tak samo przekrzywiały głowy i przysłuchiwały się w komicznie kokieteryjny sposób.

— Czy mają państwo jakieś uwagi? — spytała Sara, starając się nie przybierać błagalnego tonu. — Jak pani na imię? — zwróciła się do różowowłosej dziewczyny.

— Róża — odpowiedziała obojętnie. Sara zachęciła ją uśmiechem.

— Czy może się pani podzielić swoimi przemyśleniami?

W tylnym rzędzie uniosła się ręka. Jej właścicielka była trochę starsza niż pozostałe studentki, miała pewnie nieco ponad dwadzieścia lat. Nie przejęła jeszcze wizerunku ironicznej *femme fatale* reprezentowanego przez Claire. Najwyraźniej wołała własne, sarkastyczne spojrzenie babochłopa. Sara uśmiechnęła się, przypuszczając, że Claire na pewno nie było z nią łatwo.

— Słucham.

— Czy to przypadkiem nie marzenie o kastracji?

— Co takiego?

— Bo Julia jest chyba najbardziej związana emocjonalnie z Piastunką, a na to wchodzi Romeo i tak po prostu wszystko rozwała. Julia musi czuć do niego urazę. Czy nie dlatego się zabija? Przez ten wewnętrzny bunt przeciw Romeowi?

Sara obserwowała, jak pozostałe studentki z aprobatą kiwają głowami.

Róża również podzielała ten pogląd.

— Przecież mówi: „Weź go i potnij”. To naprawdę brutalna metaforyka.

— Taa, racja — odezwała się dziewczyna w pierwszym rzędzie.

— Czy ktoś ma inne wrażenia? — Sara rozejrzała się po sali, napotykając jedynie obojętne spojrzenia lub oznaki aprobaty dla poprzedniej wypowiedzi. — A może Julia kocha Romea, a wyrafinowany język poezji to metoda, za pomocą której Szekspir... — Gdzieś z tyłu rozległ się rechot. — ...oddaje siłę tego... — Ręka w górze. — ...uczucia. Słucham.

— W swojej książce profesor Vigee pisze, że „wyobrażenia ćwiartowania i destrukcji...”

— Claire Vigee — zaczęła wyjaśniać Sara — jest faktycznie wykładowcą, nie pro...

— „...miały charakter kodu dotyczącego kobiet spętanych przez normy życia seksualnego w elżbietańskiej Anglii, na który Szekspir jako homoseksualista był szczególnie wyczulony”.

— Cóż — zaczęła ostrożnie Sara — formułowanie założeń na temat życia osobistego autorów jest dość niebezpieczne, zwłaszcza w przypadku Szekspira, o którym tak naprawdę niewiele wiadomo...

— Czy profesor Vigee wróci? — spytała siedząca z przodu studentka.

— Tak. Przeprowadza dziś wywiad — poinformowała Sara.

— Z kim?

— Z Courtney Love.

W sali wyraźnie ucichło. Sara zjrzała do notatek i starannie wykreśliła „metaforykę nieba”, „oddziaływanie formy wierszowanej”, „świat dwoistości”...

— Myślę, że odczytywanie wszystkiego przez pryzmat nowoczesnej wrażliwości nie należy do najbezpieczniejszych metod — ostrzegła.

— A jak inaczej mamy to czytać? — padło pytanie.

Sara utkwiała wzrok w noskach swoich butów. Gdyby wiedziała, włożyłaby takie, w których czuła się pewnie. Jeśliby tylko mogła przewidzieć, że właśnie tego przekłętego dnia — nie kiedy indziej — stanie rannym przed tymi dziewczynami i zmierzy się z taką sztuką.

— Ilu spośród was sądzi, że chodzi tu o prawdziwą miłość udaremioną przez brutalną chęć zemsty? — spytała.

Nie otrzymała odpowiedzi.

— Ilu uważa, że sztuka opowiada o kastracji i buncie kobiet? — Uniosły się wszystkie ręce.

Kiedy dziewczyny zdążyły się stać takie twarde i śmiałe? Nic dziwnego, że chłopcy w kampusie zdawali się oszołomieni. Sara przyznawała w duchu, że przydałoby się jej nieco tej niezachwianej pewności siebie, choćby nawet opartej na idiotycznych spekulacjach na temat literatury. Być może te młode kobiety dokonały właściwego wyboru, chcąc, aby Claire wprowadziła je w arkana kobiecości. Zresztą nie tylko dziewczęta kurczowo ścisnęły jej książkę w kolejce po autograf i śledziły jej wystąpienia w telewizji. Claire przyciągała kobiety, głosząc nieskomplikowaną ewangelię samouwielbienia. Była nieustraszona i za to ją ubóstwiano. Możliwe — myślała Sara, włączając się po korytarzach, by opóźnić powrót do domu — bardzo możliwe, że Claire ma rację.

Chyba już pora przyznać, że Claire może być w czymś dobra. Może czas przeczytać poświęcony jej artykuł w kolorowym czasopiśmie. Sara dotąd się na to nie odważyła z obawy przed zabójczą falą zawodowej zazdrości. Ocalenie przybiera jednak rozmaite formy. Może przyjść pod zupełnie nieistotną i ekscentryczną postacią, rozumowała. Bardzo go potrzebowała. Nie mogła przecież do końca życia wybiegać ze sklepów zalana łzami.

Ciężka praca i oczekiwanie na uznanie nie doprowadziły Sary zbyt daleko — ani w życiu, ani na uczelni. Autopromocja stała się nową religią, a Claire była jej awatarą. Karierze Sary bez wątpienia przydałby się silny bodziec w postaci panelu dyskusyjnego z Claire. Co więcej, dziewczyna pragnęła dorównać nowej koleżance niezachwianą pewnością siebie. Usiadła w gabinecie, który dzieliła z trzema innymi adiunktami, i w końcu zabrała się do czytania.

### NIESAMOWITA CLAIRE

Claire Vigee spóźnia się na wywiad w kawiarni w pobliżu jej paryskiego mieszkania na lewym brzegu. Gładka, jasna cera powoduje, że w rzeczywistości wydaje się delikatniejsza niż na fotografiach. Zachowuje się w rozbijającym dziewczęcy sposób. Papierosa zapala jednak z wystudiowanym spojrzeniem kobiety, która właśnie się z kimś kochała. Jego doskonałość wynika niewątpliwie z uważnego, wieloletniego studiowania filmów z udziałem Rity Hayworth. Vigee nieustannie pali. „Wiem, że powinnam rzucić, ale jakoś nie mogę się przekonać, że kiedyś umrę! Straciłam francuski akcent, i nie tylko, oglądając *Gildę*. Już w bardzo młodym wieku dostrzegłam moc Rity i powiedziałam sobie, że właśnie taka chcę być. I osiągnęłam to”.

Rzeczywiście, dopięła swego. W wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat Vigee wstrząsnęła francuskim parlamentem poprzez erotyczny dziennik *Femina*, w którym ujawniła swój skandaliczny romans z żonatym członkiem Rady Ministrów. Porównała się do szeregu wybitnych kontrowersyjnych postaci historycznych i literackich. Teraz, po trzydziestce, Vigee zmieniła swój wizerunek wraz z publikacją *Amazonki*, kontynuacji autobiograficznych przemyśleń nad literaturą, współczesną kulturą, seksem i władzą.

„Interesuje mnie siła kobiet. Amazonki walczyły z odsłoniętymi piersiami. Uczyniły symbol kobiecości źródłem swej mocy. Dzisiejsze kobiety od tego uciekają. Ukrywają biust. Ja jestem tu po to, by odsłonić pierś, odkryć siebie”. — Pospiesznie dodaje jednak: „Bardziej mnie zajmuje duchowy wymiar tej mocy, odnalezienie korzeni”.

„Kobiety od tego uciekają. Ukrywają biust. Ja jestem tu po to, by odsłonić pierś...”

Są jednak tacy, którzy utrzymują, że Vigee tak naprawdę dba wyłącznie o własny interes. „Matkę by sprzedała, gdyby ktoś dobrze zapłacił” — mówi pracownik wydawnictwa na kierowniczym stanowisku, który woli pozostać anonimowy. „Kurwa dla inteligenta” — prycha pani z francuskich wyższych sfer.

„Właśnie to mnie naprawdę irytuje. Badałam erotykę władzy, a nie znalazłabym do tego lepszego miejsca niż siedziba rządu. Nie chodziło mi o szmirowate wywnętrzanie się. To było badanie wymagające użycia intelektu. Proszę nie zapominać, że zajmowałam się mediami i władzą podczas studiów na Sorbonie. Potraktowałam swoje ciało jako obszar badawczy. Owszem, byłam kochanką wpływowego człowieka. Tak, miał żonę. Trzeba się jednak pogodzić z tym, że jestem błyskotliwą, piękną kobietą, więc gdy uczestniczę w wydarzeniach rangi państwowej i robię olśniewające wrażenie, przynosi to tylko korzyści. Jeżeli z powodu mojej urody pragną mnie mężczyźni — kobiety zresztą też — to wspaniale”.

„«Dziwka dla inteligenta» — prycha pani z francuskich wyższych sfer”.

Zapewne pod wpływem docinków krytyków, którzy twierdzą, że jej sukces literacki wynika raczej z szumu, jaki robi wokół siebie, niż z osiągnięć naukowych, Claire Vigee zacznie jesienią wykładać w nowojorskim college'u. „Chcę odkryć erotyczne aspekty nauczania” — rzuca kokieteryjnie znad drugiej filiżanki espresso.

„Jeżeli z powodu mojej urody pragną mnie mężczyźni — kobiety zresztą też — to wspaniale”.

Nie straciła przy tym polotu. *Amazonka* to zapewne pierwsza teoretyczna rozprawa na temat seksu i władzy z autorką *au naturel* na okładce. „Byłabym nieuczciwa, postępując inaczej” — utrzymuje Vigee. „Proszę też zauważyć, że poza mną jest tam jeszcze kilka rzeczy — krzesło, papieros i sporo cienia. Wierzę w działanie cienia — nie ujawnia wszystkiego i tak dalej”. Niewiele jednak pozostało w ukryciu. Vigee chwali się, że potrafi się dostosowywać do potrzeb chwili równie dobrze, jak zmieniać akcent z urywanego brytyjskiego rodem ze szkoły z internatem na zmysłowy, melodyjny francuski.

„Ameryka to kraj ponownych odkryć. Uwielbiam ją. To geograficzny przypadek, że urodziłam się we Francji. Zresztą mieszkałam już tu i tam. Niczego nie eliminuję z pola badawczego, ponieważ jestem z gruntu naukowcem. Moja dziedzina to władza i pożądanie. To należy zgłębiać w nowym stuleciu. Dochodzi tu do starcia między sferą prywatną a publiczną. Sądzę, że osoba publiczna to ktoś, kogo wymyślamy, by wyjaśnić pojęcie osoby prywatnej, czyli nas samych. W tym właśnie tkwi paradoks”.

Prowadzi to do postaci, która naprawdę owładnęła Vigee, kobiety równie fascynującej jak ona, księżnej Diany. Od tragicznej śmierci księżnej w 1997 roku misją Vigee stała się legitymizacja szczególnej dziedziny nauki — „studiów nad Dianą”. W tym roku zorganizowała w Paryżu pierwsze sympozjum poświęcone księżnej.

„W XXI wieku sztuką jest odnalezienie się w społeczeństwie”.

„Oto źródło potęgi Diany” — wyjaśnia Vigee, jakby broniąc własnego stanowiska. „Niby taka bezradna, skórę miała tak cienką, że aż przezroczystą, a jednak doskonale funkcjonowała publicznie. Oto triumf gwiazdy — stwarza marzenie o rzeczywistości, które zdaje się bardziej prawdziwe i upragnione niż realny świat. Na tym polegała tragedia Rity Hayworth powoli umierającej na chorobę Alzheimera — erotyczne bóstwo powoli zapominało o samym sobie. To jak przerwany sen...”

— Boże, naprawdę to czytasz?

Sara uniosła głowę i ujrzała Della, młodego magistra o piskliwym głosie, który w tym semestrze również prowadził zajęcia. Mieszał kawę palcem wskazującym. Miał napiętą, udręczoną twarz nadgorliwego studenta, któremu się nie przelewa. Nieustannie ślęczał nad doktoratem, studium porównawczym miary wierszowej i wersu w twórczości Samuela Becketta i Tupaca Shakura.

— Wiem, wiem. Tylko badam konkurencję — odparła Sara, siląc się na obojętny ton.

— Ta laska ma świra. Niezła. Ale walnięta. Podpiszesz mi petycję?

Dell zawsze chodził z jakąś petycją. I z broszurami.

— W jakiej sprawie? — spytała ostrożnie Sara, starając się nie sprowokować trzygodzinnej diatryby na temat rafy koralowej, warunków hodowli kurczaków na fermach bądź projektu zalesiania Ameryki Środkowej. Obchodziło ją to, rzecz jasna, ale nie dzisiaj.

— Claire — poinformował Dell. — Wiesz, ile ona zarabia? A asystentom funduje się zamrożenie płac. Wiem, że jesteś już adiunktem, ale ciebie to również dotyczy — podkreślił, wciąż usilnie mieszając kawę.

— Może później — zaproponowała Sara. Nie potrafiła uzasadnić swojego zainteresowania Claire. Spakowała się i pojechała do pustego mieszkania.

## Na świecie

*...któż dorastał na świecie pozbawionym ambicji:*

Charlotte Brontë, list do ciotki Elizabeth Branwell, 1841

Młoda, skromna Angielka pochodzi z rozbitej rodziny. Brakuje jej matki, lecz ma kochającego ojca, dwie siostry oraz brata, który jest jej bardzo bliski. Wychowana na modnych w owym czasie głupiutkich romansach, zakochuje się w znacznie starszym od siebie mężczyźnie. Wierzy w prawdziwą miłość i zrządzenie losu. Czyni to z taką desperacją, że zdaje się nie dostrzegać, że ten mężczyzna pokochał już inną kobietę. Dziewczyna, a właściwie, jak to mówią, już niemal panna na wydaniu, przeżywa głęboki zawód. Pograża się w rozpacz, zasypując listami mężczyznę, który nie może odwzajemnić jej miłości.

Jest zdruzgotana tak szybką utratą romantycznych złudzeń. Wystarczył jeden mężczyzna, który nie podzielał jej uczuć, zresztą — szczerze mówiąc — niezbyt przystojny. Dziewczyna dorosłeje, zyskuje popularność, otacza ją wielu znanych przyjaciół. Niepostrzeżenie staje się symbolem nowoczesnej kobiecości. Poświęca się temu, co uznaje za swoje powołanie. Choruje, lecz to ją tylko uszlachetnia. Co więcej, doszła już do wprawy w tworzeniu własnej legendy i publicznego wizerunku.

Wreszcie spotyka mężczyznę, który — jak wszystko na to wskazuje — odwzajemnia jej miłość. Ma już trzydzieści kilka lat i wreszcie wydaje się spokojna, zadowolona ze swojego życia uczuciowego i zawodowego. Panuje powszechne przekonanie, że właśnie rozpoczęła wszystko od nowa, że jest tak wspaniale, gdy nagle ginie w tragicznym wypadku. Oplakuje ją zszokowany świat, spragniony szczegółów jej śmierci, a biografowie utrwalają jej znakomity wizerunek, przedstawiając ją jako udręczony symbol nowoczesnej kobiecości.

Czy chodzi o księżną Dianę? A może o Charlotte Brontë? O obie. Ogólnie rzecz ujmując. Sara uświadomiła sobie, że rzeczywiście istnieją podobieństwa, które mogłyby ocalić proponowaną przez Claire dyskusję panelową od kompletnej katastrofy.

Opowiedziała jedną ze swoich ulubionych anegdot o tym, jak wszystkim trzem siostrą Brontë udało się wydać debiutanckie powieści pod męskimi pseudonimami w zaledwie rocznych odstępach, przy czym nikt w niewielkim miasteczku Haworth, nie wspominając o ich własnym domu rodzinnym, nawet się tego nie domyślał. W końcu, w obawie, że nie dociera do niej poczta adresowana na pseudonim, Charlotte wkroczyła do gabinetu ojca obarczona opublikowanym rękopisem oraz stosem entuzjastycznych recenzji, by go powiadomić, że oto ma przed sobą najnowsze odkrycie literackie Londynu.

Przy herbacie pan Brontë spokojnie poinformował rodzinę (nie był, rzecz jasna, świadomy, że należały do niej również autorki *Agnes Grey* oraz *Wichrowych Wzgórz*): „Charlotte napisała książkę, która, jak sądzę, przeszła moje oczekiwania”.

Anegdota wywołała stłumiony śmiech na sali. Sara spostrzegła, co zresztą uraziło jej dumę, że podczas jej wystąpienia ekipa wiadomości, która kręciła materiał o Claire, po prostu wyłączyła kamery. Nagle zapłonęło czerwone światelko — wrócili do pracy.

— Jak powiedział Yeats — zaczęła Claire — Charlotte Brontë była „płomieniem, który marzył o ogniu”. Przypomina mi to słowa projektanta mody, Gianniego Versacego, na temat księżnej na krótko przed tragiczną śmiercią ich obojga. — Zacytowała z pamięci: — „Odczuwałem spokój. W zeszłym tygodniu mieliśmy przymiarkę nowych kostiumów i ubrań na wiosnę. Jest taka wyciszona. Sądzę, że osiągnęła etap, na którym odnalazła siebie — swój sposób na życie”.

Cytat pochodził z lipcowego wydania czasopisma „Vanity Fair” z 1997 roku, według Claire najbardziej tragicznego w historii kolorowych pism. Przytaczano w nim słowa mającego wkrótce zginąć Versacego na temat Diany, do której wypadku również pozostało niewiele czasu. Jednak nie tylko one sprawiły, że czasopismo zdawało się przesycone atmosferą przedwczesnej śmierci. Zamieszczono w nim bowiem zdjęcie najslawniejszych postaci sztuki lat 80. — przedstawiające Keitha Haringa, Roberta Mapplethorpe'a oraz Jeana Michela Basquiata — od ciężaru potencjału mitotwórczego musiała się uginać podłoga.

Claire utrzymywała, że temperatura nad usianym kwiatami trawnikiem przy pałacu Buckingham kilka dni po śmierci Diany sięgnęła 82 stopni. Był to żar sławy, jak zaznaczyła. Biała gorączka nieprzemijającego

uroku księżnej. Sara zastanawiała się, komu tak zależało na zdobyciu tej niesłychanie wartościowej informacji. Nie mieściło jej się w głowie, jak wobec istnego morza kwiatów można pomyśleć właśnie o mierzeniu temperatury.

— Kultura popularna jest niczym sen, sen na jawie, którego uczestnicy zdają sobie sprawę, że biorą udział w jakimś idiotycznym show zbiorowej nieświadomości — stwierdziła Claire.

Racja, pomyślała Sara. To żenujący układ: uzasadniona pozycja Charlotte Brontë za seksapil Diany. Oto tradycja literacka stała się przedmiotem handlu wymiennego.

— Przykładowo — ciągnęła Claire — Donald Trump pisze w swoim dzienniku... — Dziennik! Sara nie mogła się nadziwić. Donalda Trumpa? — ...że gdy chodzi o „dział kobiecy”, żałuje tylko jednego, że „nigdy nie zabiegał o lady Dianę Spencer”.

Sara zaś żałowała, że tak uważnie słuchała. Wyrażenie „dział kobiecy” i postać Donalda Trumpa na zawsze utrwaliły jej się w pamięci. Wyobraziła sobie wielki, pełen złocień dom handlowy wzniesiony wyłącznie dla Donalda Trumpa, w którym ten tuz przemysłu i mistrz transakcji kupował swoją przyszłość, wybierając koleje swego losu jak dojrzałe owoce. „Poziom siódmy — dział kobiecy” — Sara usłyszała w myślach głos windziarza, Robina Leacha. — *Champagne wishes and caviar dreams!*\*

Gdyby tylko skręcił w prawo, w alejkę lady Diany Spencer, zamiast w lewo, w kierunku dorodnej Marli Maples z Georgii. Dziwne to życie — pomyślałby zapewne, potrząsając głową, z nostalgią wspominając eteryczną księżną o zaniżonej samoocenie. Mógł przecież pomóc, mógł ją uchronić przed samą sobą. Zabierałby ją do świetnych nowojorskich restauracji i uczył Sztuki Biznesu. Pod czujnym okiem Donalda jej poczucie własnej wartości z pewnością by wzrosło. Jeden fałszywy ruch w „dziale kobiecym” może naprawdę drogo kosztować. I to coś więcej niż pieniądze.

\* „Spełnienia szampańskich życzeń i marzeń w kawior obfitujących!” — powiedzonko Robina Leacha, gospodarza popularnego niegdyś programu *Lifestyles of the Rich and Famous*.

Śmierć Diany wprowadziła dziwaczne podziały. Jedni histerycznie ją opłakiwali, inni trzymali się na uboczu i kręcąc ze zdziwienia głowami, zastanawiali się nad sensem tego całego zamieszania. Niektórzy tłumaczyli, że była atrakcyjna i przyciągała powszechną uwagę, co napotkało ostry sprzeciw, szczególnie wśród komików i pisarzy utrzymujących, że tak naprawdę przecież nie olśniewała urodą. Howard Stern zwrócił na to uwagę w rozmowie z Donaldem, który replikował, że w pewnym okresie Diana była „piękna jak supermodelka”. Jakby wymieniał markę: Supermodelka. Przekonał Howarda i spór wydawał się zażegnany. W końcu to Donald był właścicielem konkursu piękności Miss Universum, więc powinien wiedzieć lepiej.

W czasie przeznaczonym na pytania słuchaczy jakaś młoda kobieta spytała Claire, czy ogromna uwaga, jaką media poświęciły śmierci Diany, nie wynikała choćby częściowo z faktu, że tragedia przypadła w okolicach Święta Pracy, a w takie weekendy zawsze panuje informacyjny zastój. Claire wyraźnie się skrzywiła. Potem obwieściła, że tego samego dnia Jelcyn ogłosił, że nie wystartuje w wyborach prezydenckich.

— Przecież było wiadomo, że nie może tego zrobić — nie ustępowała kobieta. — Więc nie była to właściwie wiadomość dnia, nie w utartym sensie tego słowa.

— Określenie „wiadomość dnia, nie w utartym sensie tego słowa” brzmi dla mnie zbyt elitarystycznie — ucięła Claire.

Wtedy podniosła się inna dziewczyna i spytała Sarę o rolę szaleństwa i kobiet w twórczości sióstr Brontë. Sara rozejrzała się po sali, nabierając pewności siebie, jakiej nie odczuwała od wielu tygodni.

— Stany emocjonalne, a nawet telepatia, zajmowały oczywiście najwyższą pozycję w pracach wszystkich sióstr Brontë — odpowiedziała. — To swoiste natężenie psychiczne, które szczególnie niepokoiło i ekscytowało ówczesnego czytelnika, moim zdaniem oddziałuje również na dzisiejszego. Co więcej, choć w mniemaniu współczesnych damom nie wypadało tak pisać, w swojej twórczości siostry poświęciły wiele uwagi kwestiom stereotypowo uznawanym za kobiece — intuicji, uczuciom, sprawom sercowym. Zyskały one zresztą największe znaczenie i faktycznie bardziej wpływały na życie niż powierzchownie traktowana codzienność.

Kondycję psychiczną kobiet — słusznie czy też nie — zawsze wiązano z ich płcią. Siostry Brontë bardzo subtelnie przejęły tę mizoginistyczną tradycję, przekształcając ją w narracyjną strategię zaangażowania i identyfikacji. Sądzę, że również Diana kierowała uwagę na te same problemy, określane obecnie jako samoocena, zaburzenia odżywiania i tak dalej. Rzeczywiście, kontynuowała tradycję, której pionierkami były siostry Brontë, polegającą na akceptacji i wykorzystaniu własnego życia uczuciowego do łączenia się z resztą świata. Krytykowano ją za tę skłonność — moim zdaniem z pobudek seksistowskich — za, jeśli państwo tak wola, feminizację kultury, która faktycznie polega na dowartościowaniu tych aspektów, które wcześniej lekceważono jako trywialne.

Dziewczyna przytaknęła skinieniem głowy i usiadła. Sara odwróciła się i napotkała przepełnione dumą spojrzenie Claire. Odwzajemniła jej uśmiech.

Potem uniosła się ręka Della, który spytał Claire, jaką wartość przedstawiają dla uczelni studia nad księżną Dianą. Kilka osób nerwowo zachichotało. Jego przyjaciele natomiast wsparli go oklaskami. Claire przymrużyła oczy i odrzuciła do tyłu burzę rudych loków.

— Cóż, moje badania mają niekiedy charakter bardzo ezoteryczny i dla wielu niezrozumiały, lecz nie sądzę, by to je dyskwalifikowało. Nie wszyscy pojmują na przykład, co robi Stephen Hawking — być może dwie, trzy czy cztery osoby rzeczywiście zdają sobie sprawę z istoty i znaczenia jego pracy. Nie wydaje mi się jednak, żeby na tej podstawie ktokolwiek mógł wymagać jej przerwania. Podobnie jest w przypadku mojego biustu — nie wszyscy rozumieją, że gdy o nim wspominam, nie mówię o piersiach jako takich, lecz o swojej kobiecej sile.

Dell pokiwał głową, wyraźnie bez przekonania. Claire wychyliła się do przodu na swoim krześle, gotowa stawić czoło wszelkim atakom sceptyków.

— Postrzegam Dianę jako wojowniczkę, symbol Kobiety, która nie chce już być ofiarą. Dlatego właśnie monarchia się jej pozbyła. Nie mam wątpliwości, że została sprzątnięta. Dlaczego? Ponieważ stanowiła zagrożenie: była buntowniczką, na dodatek świetnie ubraną, a to — nie oszukujmy się — mieszanka wybuchowa. Była wielką pionierką, a ten aspekt jej działalności często po prostu się pomija. Na czym więc polegała jej postępowość? Zdecydowanie na przemianie osobowości, która na dodatek sprawiała jej przyjemność i którą kontrolowała. Zyskała większy wpływ niż jej mąż, przyszły król Anglii, ze smutkiem pozując przed Tadź Mahal. Media jadły jej z ręki, a ona się nimi bawiła. Instynktownie rozumiała, że począwszy od XX wieku, każda bi-



twą rozegra się na polu Wizerunku. Była genialna! Monarchia brytyjska wyszła z dołka, gdy przyjęła na swe łono ją — specjalistkę od PR. Dell znów pokręcił głową.

— Moim zdaniem zbyt mocno pani upraszcza — powiedział, wywołując typowy dla dyskusji naukowych odwet.

Claire bowiem przytaknęła współczująco, jakby zaniepokojona o jego stan ducha.

— Pozwoli pan, że wyjaśnię — zaproponowała melodyjnym tonem — na pół protekcjonalnym, na pół uwodzicielskim, w którym Sara dostrzegła istotę Claire. — W każdym wieku odbywano podróże, dokonywano odkryć, handlowano. Teraz jednak wszystkie ziemie są już poznane, jeśli nie liczyć kosmosu, którego nie biorę pod uwagę z powodu tych okropnych kombinezonów. Dobrze więc. Co nam pozostało? Podróż do wnętrza nas samych. Parcelowanie własnej osobowości i jej sprzedawanie! Diana potrafiła sprzedać swoją niską samoocenne. Ludzie mają jej to za złe, ale ja mówię im: Spójrzcie! Marco Polo, Kolumb, Vespucci, de León, Diana! Ona należy do tego grona, ponieważ poszukiwała nieznanego lądu i natrafiła na żyłę złota.

Dell niewinnie wzruszył ramionami, przeczuwając, że zaraz nazwą go mizoginem. Sara współczuła mu, ale była przekonana, że musiał zdawać sobie sprawę, jak się skończy frontalny atak na Claire. W dodatku przed kamerami.

— Nie chciałabym robić osobistych wycieczek, ale jestem w końcu kobietą, olśniewającą i wpływową, świetnie zarabiam i nie zamierzam za to przeproszać. Dobieram strój, by podkreślić istotę swojej seksualności. Poza tym wspaniale w nim wyglądam. Odstraszam tym niektórych mężczyzn, tych słabych. — Claire złapała Della w swą sieć. — Lecz cóż na to poradzę, że są tacy żałośni? Widzi pan — ciągnęła — tu, w Ameryce, uczycie młode kobiety tylko tego, jak być ofiarą i konsumentką. Chcecie poddawać je leczeniu, instytucjonalizować, zachęcać do obwiniania ojców. Zamiast zapamiętałe budować własną przyszłość, dzisiejsze kobiety żyją od jednego zakupu do następnego. Sukces to mąż zamiast chłopaka, samochód sportowy zamiast hatchbacka, Pottery Barn zamiast IKEA.

Sara zorientowała się, że jej przytakuje, z poczuciem winy wspominając leżący w łazience katalog Pottery Barn z oślimi uszami.

— Ja mówię temu dość. Koniec z bierną konsumpcją! Każdy jest pełnym zapału kowalem własnego losu! — oznajmiła Claire.

Tak, właśnie tak, pomyślała Sara. Przynajmniej tego bym chciała.

— Pierwszego dnia zajęć — mówiła dalej Claire, przegarniając dłonią włosy — weszłam do sali i spytałam studentów: „Kto zażywa Serenitol?” i wiecie, że trzy czwarte uniosły ręce? Powiedziałam im: „Wyrzucie to! Od teraz przechodźcie na Claire Vigee!” — Posłała zalotny uśmiech do kamery. — A może powinnam powiedzieć „Claire Vigee przechodzi na was”?

Przerwała, by nie zagłuszyć śmiechu uznania słuchaczy.

— A potem powiedziałam: „Czy wiecie, że w waszym wieku Joanna d'Arc rozmawiała już z Bogiem i trójgiem świętych, nękała brytyjskiego monarchę, poprowadziła swój kraj do zwycięstwa, zachwiała stereotypami związanymi z płcią, rzuciła wyzwanie prześladowaniom religijnym, a przy tym znalazła czas, by od czterech lat nie żyć? Oto pełna zapału twórczyni!”

Twą Claire rozblęsnęła hollywoodzkim uśmiechem — kamery wszystko zarejestrowały.

Na przyjęciu po zakończeniu dyskusji uwaga Claire skupiała się wokół filmującej ją ekipy, a Sara, pławiąc się w blasku jej sławy, cieszyła się nieco większym uznaniem ze strony kolegów z wydziału. Dziekan wreszcie przypomniała sobie jej nazwisko i nie wzięła Sary za kogoś z obsługi. Nawet jej doradca przyznał:

— Świetny chwyt z tą szaloną pisarką i Dianą. Zapraszam w poniedziałek na rozmowę.

Gdy ekipa filmowa odstawiła kamery i zajęła się zwijaniem kabli, Sara zbliżyła się do Claire, która poprawiała szminkę na ustach.

— Rozwaliłam ich granatem — mruknęła w stronę puderniczki.

— Słucham?

— Granat to dla mnie główny kolor władzy. Zawsze wymyślam sobie nowe powiedzonka. Taka już jestem. — Claire wzruszyła ramionami, świadoma swoich możliwości.

— A ten cytat z Yeatesa...

— Był niezły, co?

— Skąd pochodzi?

— Kto to wie? — odpowiedziała wymijająco Claire.

Zapaliła papierosa i wstydliwie odwróciła wzrok na zebrany tłum.

— Wymyśliłaś go — uświadomiła sobie Sara.

— Yeats tyle mówił. Musiał powiedzieć coś w tym stylu.

Sara ze zdumieniem pokręciła głową. Jaka zmiana zaszła w jej życiu pod wpływem tych beztrzesko preparowanych historyjek Claire! Szybko obliczyła, że nowa koleżanka z łatwością wyciąga dziesięć razy tyle, co ona — gdzie się podziała ta petycja Della? Sara wzięła głęboki oddech. Nie może się teraz rozpraszać.

— Claire, muszę cię o coś zapytać. Co miałas na myśli, kiedy powiedziałaś Paulowi, że siedzi w kącie? Zastanawiałam się... To śmieszne, ale nabrało dużego znaczenia. — Sara mówiła niepewnie, zdając sobie sprawę, w jak idiotycznym świetle stawia ją to pytanie.

Claire zgrabnie upięła włosy w elegancki kok.

— Możesz uwierzyć, co ten koleś wywinał?

— Paul?

— Nie. Ten dupek magistrant. Co za bezczelność. A ja zamierzałam mu pomóc, skontaktować go z wytwórnią fonograficzną, żeby sfinansować jego badania.

— Masz na myśli Della?

Claire wygładziła fałdę na spódnicy.

— W tym roku będę chyba kupować tylko granatowe kostiumy. — Zapięła czarny skórzany plecak i przerzuciła go przez ramię. Lester czekał już w samochodzie. — Świetnie mi dziś poszło, prawda? Zastanawiałam się, czy nie powinnaś ściąć włosów. Na krótko. Jak Jean Seberg. Czy ktoś ci już mówił, że emanujesz energią chłopczycy? Moja spokojniutka wiktorka dochodzi do głosu. Ekscytujesz mnie. Sama też pracuję nad tym, by się nieco wyciszyć. Uważam, że w dzisiejszych czasach to atut. Za dużo wokół hałasu.

— Racja — przyznała Sara, lecz Claire już nie było. Dziewczyna wyszła więc z sali wykładowej, pograżając się w mroku. Taksówki na Broadwayu były o tej porze wolne i marzyły o towarzystwie — może

wstawionych kochanków? Sara je przepuszczała. Zamierzała zafundować sobie dojazd do domu, lecz spodobał jej się chłód. Wydawał się najbardziej sensowną rzeczą tego wieczoru.

Zmierzając stałą trasą w kierunku domu, Sara czuła, jak jej zdecydowanie odnośnie do entuzjastycznego budowania własnego życia słabnie. Owinęła się mocniej szalem. To bajki, pomyślała, odczuwając tęsknotę na widok każdego drzewa, sklepu czy restauracji, które tyle razy mijała z Paulem. Teraz stawała się tylko czyjąś historią. Gdzieś tam za ciemnym Atlantykiem Paul spowiadał się przed współczującą Therese. A może spotkał już jakąś Marie. Albo Solange. Nieważne. Zmagał się z językiem — nigdy zresztą nie miał do niego przekonania — by uzasadnić tajemne wybory serca.

Zerwanie z Sarą stanie się na pewno przyczyną jego przyjazdu do Francji. Poznania Therese. To opowieść, którą będzie kiedyś raczył na piknikach obojętne, ziewające wnuki. Wystarczy, że wypije trochę za dużo wina, a zaraz w jego myślach w niewytłumaczalny sposób pojawi się obraz Sary, o nieco poźółkłych krawędziach, lecz nadal wyraźny. W środku wciąż żywy. Sara czuła się skutkiem czyjejś pomyłki w dziale kobiecym. Przez tyle lat była właściwym wyborem, wyjątkowym odkryciem, błogosławionym, szczęśliwym zakończeniem, a teraz...

Co gorsza, czuła, że Paul również staje się historią, opowiadaną w towarzystwie, by zrobić na innych wrażenie ironicznym poczuciem humoru. Właśnie tak wygląda miłość, cha, cha, cha. „Jaka jest różnica między profesorem angielskiego a pizzą?” — Sara wyobraziła sobie siebie, nieco bardziej pomarszczoną i szorstką, jak zadaje to pytanie i natychmiast zaciąga się mentolowym papierosem. — „Pizza wykarmi czteroosobową rodzinę. Cha, cha, cha”.

Utrata miłości powoduje, że wszystkie opowieści, które sami o sobie tworzymy — o tym, dlaczego jesteśmy z tą osobą, a nie z inną; dlaczego mieszkamy tam, gdzie mieszkamy, w takim, a nie innym mieście; dlaczego pracujemy w tym właśnie budynku i przepełniają nas określone uczucia — stają się nagle nieprawdziwe. Narracja się urywa. Nagle trzeba wymyślać coś nowego, co uzasadni niedawne wydarzenia — na gorąco, bez chwili zastanowienia czy rady profesjonalisty. Trzeba sobie jakoś poradzić, coś tam wymyślić i mieć nadzieję, że się uda. Nie ma czasu na refleksję. To tylko pogarsza sprawę. Sprawia, że człowiek gapi się pustym wzrokiem na jadące Broadwayem samochody i zastanawia, gdzie się podziała jego mała stabilizacja.

Sara skierowała się ku Riverside, mijając wielki pomnik buddyjskiego misjonarza, który przetrwał wybuchy atomowe w Japonii. Ta figura zawsze dodawała jej otuchy. Są na świecie ważniejsze rzeczy niż moje złamane serce, napominała się. Jednak równie szybko dostrzegła parkową ławkę, na której połączył ją z Paulem pierwszy pocałunek. Uciekli z nudnej imprezy w pracy, która odbywała się w mieszkaniu prodziekana na Riverside. Oboje byli na pierwszym roku studiów magisterskich. Znali się już z widzenia, a nawet chodzili razem na zajęcia z nowoczesnej powieści brytyjskiej, na których Sara dostrzegła podobieństwo Paula do Laurence'a Oliviera z *Wichrowych Wzgórz* i mocno się w nim zadurzyła. Był tym bardziej pociągający, że niedostępny — miał partnerkę, zamożną, kościstą młodą kobietę imieniem Sofie, która nosiła afrykańskie korale i często wspominała o wstąpieniu do Korpusu Pokoju, lecz nigdy tego nie zrobiła.

— Wyglądasz na znudzoną — zagadnął w kuchni Sarę. Oboje przyszli na imprezę bez partnerów i po cichu odnotowali ten fakt. Sara uśmiechnęła się smutno — co można robić na nudnym przyjęciu, na którym nie

wypada się nie pokazać? Zanim się zorientowała, Paul zabrał ich płaszcze i butelkę szampana, a następnie wyprowadził ją w mroźną grudniową noc na skostniałą ławkę.

— To tak według ciebie wygląda ucieczka? — spytała Sara, szcękając zębami i popijając szampana z papierowego kubka.

— Czy to przypadkiem nie twój pomysł?

Miał rację. Nic więcej nie musiała o nim wiedzieć. Wpadli na ten sam pomysł. Poza tym oboje przechodzili trudny okres kończenia poprzednich związków. Sarę nużył ówczesny chłopak Dan, który obijał się przez lwią część studiów na elitarniej uczelni, żył z funduszu powierniczego, całymi dniami był nawalony i ćwiczył na gitarze piosenki Boba Dylana. Przez jakiś czas znosiła smutną obojętność Dana z obawy, że na nic lepszego jej nie stać, lecz w końcu spróbowała się od niego uwolnić. Zainteresowanie Paula umocniło jej nadzieję, że w życiu czeka ją coś lepszego.

Żalili się sobie nawzajem, że ich dobrze sytuowani partnerzy tak naprawdę nigdy nie doceniali swojego szczęścia, a biedacy, tacy jak Sara i Paul, musieli żebrać o każdy kredyt studencki i pieczołowicie wyszukiwać granty proponowane przez rozmaite fundacje. Pocieszali się, opisując przykre sceny z restauracji czy metra, które utwierdzały niespieszny proces oddalania się od ich partnerów. To przeznaczenie, nie ma żadnych wątpliwości, pomyślała Sara. Paul wypowiedział wtedy pamiętne słowa. Rozwodził się tęsknie o zaawansowanych badaniach nad fotonami, o których usłyszał w radiu, a właściwie nad powiązaniem między nimi. Utrzymywał, że poszczególne fotony „wiedzą” o ruchach innych. Rozmowa — jak większość podobnych prowadzonych przez humanistów — szybko sprowadziła się do niejasnych teorii na temat miłości. Paul wyznał, że od dawna czuł się „powiązany” z Sarą, lecz podziwiał ją z daleka, czując, że tak będzie zawsze.

Wyznał jej, że był jedynym chłopakiem spośród pięciorga rodzeństwa, więc wychował się w wielkiej rodzinie kobiet — dowcipnych i inteligentnych. Zawsze uważał je za istoty doskonalsze, szczególnie zaś te mądre, a tak się złożyło, że tylko takie spotykał. Fascynowały go i przerażały, a w głębi duszy wierzył, że to ich aprobatą trzyma go przy życiu. Z nerwów był strasznym gadułą — wyjaśnił — zwłaszcza w towarzystwie tak bystrych kobiet jak Sara.

— Jeśli mnie zaraz nie pocałujesz — powiedział — to chyba nigdy się nie zamknę. — Sara uśmiechnęła się, pochyliła i pocałowała go.

Parę lat później stała nieruchomo, wpatrując się w tę ławkę. Duża, pełna kobiet rodzina Paula, która tak ciepło ją przyjęła, nie zadała sobie odrobiny trudu, by po jego odejściu wyciągnąć do niej pomocną dłoń. Wszystkie krewne Paula, tak jak on, pały intensywnymi uczuciami, które gwałtownie się kończyły. Po zerwaniu Sara przestała dla nich istnieć. Dziewczyna zastanawiała się, czy fotony Paula „wiedzą”, że jej poświęcają teraz większość dnia na układanie w myślach listów zaczynających się mniej więcej tak: „Lenny Bruce powiedział kiedyś, że nie ma nic smutniejszego niż podstarzały hipis — te słowa przypominają mi o tobie” albo bardziej bezpośrednio: „Mój drogi Dupku, jak tam twoja francuska zdzira? Mam nadzieję, że zajebiecie”.

Byli niezaprzeczalnie związani, choć to określenie nabrało ostatnio bardziej złowieszczonego niż romantycznego wydźwięku. Może to prawda — myślała Sara, pozostawiając za sobą ławkę i łączące się z nią wspomnienia — co powiedział kiedyś jakiś filozof: niektórzy nie wiedzą, co to miłość, nim nie przeczytają o niej w książkach. Sara i Paul chyba zbyt wiele się naczytali. A może się okaże, że Sara jest jednak właściwym wybo-

rem w dziale kobiecym, tylko dla kogoś zupełnie innego? A może jednak dla Paula? Niewykluczone też, że zdąży umrzeć, zanim się o tym przekona. To nieważne, powiedziała sobie. To tylko historia, śluzowaty ślad ślimaka, który pozostawia po sobie życie, okładka „Vanity Fair”, piękne ciało w paryskim tunelu Alma, którym wszyscy się tak interesowali. W tej chwili stało się to dla niej jasne. Zdawało się, że ziąb na Manhattanie zmrażał jej oddech na całą wieczność. To, co się dzieje, nie ma znaczenia, liczy się tylko historia, opowieść o tym, co zaszło.

## Stracę nadzieję

*Jeśli mój mistrz całkowicie pozbawi mnie swej przyjaźni, zupełnie stracę nadzieję — jeśli ofiaruje mi jej choć trochę, odrobinę — będę ukontentowana, szczęśliwa. Będę miała powód, by dalej żyć, pracować...*

Charlotte Brontë, list do profesora Hegera, 1845

saro,

czy mogłabyś mi przesłać moje pierwsze wydania? przesyłką ekspresową, wartościową? ostatnio chorowałam na grypę, ale teraz już mi znacznie lepiej, mam nadzieję, że zajęcia dobrze ci idą.

pozdrawiam,

paul

E-mail od Paula ukazywał się bezlitośnie na ekranie komputera Sary. To „pozdrawiam” było co najmniej tak wymowne jak sama jego prośba. Najpierw „kocham”, potem „pozdrawiam” — oto smutny los odrzuconych kochanków. Sara wpatrywała się w książki na dolnej półce, jakby były wcieleniem Zdrady. Meredith miała rację. Sara pragnęła je spalić. Chciała rozerwać grzbiety, a klejem nakarmić karaluchy. Chciała rzucić je na pożarcie rybikom, patrzeć, jak znikają — kartka po kartce — jak powoli odchodzą w niepamięć. Ale była ponad to. Ograniczyła się do porywów okrutnej wyobraźni. Z przykrością stwierdziła, że książki to tak nieskomplikowane przedmioty, iż w ciągu dwóch godzin wyczerpały się jej pomysły na ich tragiczny koniec. Poza tym wypila już całe wino. Musiałaby teraz splugawić je same i uciec się do mocniejszego trunku.

*Na dnie w Paryżu i w Londynie* czczonego przez Paula George'a Orwella. Sara kupiła Paulowi pierwsze wydanie w prezencie na dwudzieste piąte urodziny. Wzięła specjalny kredyt studencki. Wzruszyła tym chłopaka do łez. Popłakał się i wyznał, że w życiu nie dostał równie trafionego prezentu. Jeszcze nikt nie poznał go tak dobrze jak Sara — powiedział. Pewnie stosuje teraz ten sam chwyt z Therese, pomyślała z goryczą, napełniając kubek brandy. Nigdy nie przypuszczała, że Paul mógłby czarować kobiety pięknymi słówkami, ale teraz nie była już właściwie tego pewna. Ostatnio często analizowała ich związek, nie szczędząc sobie cynicznych uwag.

*Na dnie w Paryżu i w Londynie.* Co za idiotyczna i sentymentalna książka, pomyślała. Biedny, niezadowolony i niedoceniony George tułał się po Paryżu, skazany na pracę pomywacza. Tak naprawdę cały esej zionie ciężkawym romantyzmem doli młodego, zapoznanego geniusza, co dowodzi, że mężczyźni są znacznie mniej realistami niż kobiety. Uwniosłą nawet zmywanie garów.

Kobiety idealizują przynajmniej rzeczy istotne, takie jak seks czy śmierć, a co za tym idzie — plotki i stroje. A faceci? Ileż romantycznego cierpienia poszło na marne z powodu zmywania albo kobiet imieniem Brett czy Slim, których za żadne skarby nie zaciągną do łóżka. Na dodatek Paul zawsze traktował z góry siostry Brontë, patetyczną dziewczęcość ich „powieści w gorsetach”. Jak na ironię, siostry były nieustannie krytykowane przez współczesnych za to, że są zbyt męskie, ale o tym Paul mógł sobie teraz pogadać ze swoją modelką od kostiumów kąpielowych. Kobietom piszącym pod męskimi pseudonimami wytykano dziwaczne pasje bohatererek ich prozy, prostacki realizm opisu relacji męsko-damskich, jawną nieprzyzwoitość, którą miały rzekomo aprobować! Intensywnie przestrzegano panie przed czytaniem ich powieści.

Gdy w końcu okazało się, że autorzy są w gruncie rzeczy autorkami, zaczęto snuć przypuszczenia, że to ni mniej, ni więcej, lecz surowe życie na wsi oraz dziwaczność odosobnionej, zacofanej społeczności, w której się wychowały, zawładnęły wyobraźnią tych słodkich, pozbawionych matki córek pastora. Te dziewczęta okazały się dla czytelniczek zbyt męskie. Być może Therese potrafiłaby to zdekonstruować.

A ten lalusz Orwell, rozklejający się z powodu polowania na słonia? Przy siostrach Brontë po prostu się chowa. Nawet marzycielska, wciąż fantazjująca suchotniczka Emily przyżegła ranę rozżarzoną żelazem, gdy pogryzł ją bejsbolowy pies, i nie wspomniała o tym rodzinie, dopóki infekcja nie minęła. Dziwna, wątła Emily, która kurczowo trzymała się życia, prowadziła dom i planowała kolejną powieść, miała zwyczaj określać swoje ataki kaszlu mianem „suchego, nieciekawego wiatru” i do dwudziestego dziewiątego roku życia, do ostatniego tchnienia, wzbraniała się przed myślą o śmierci.

Emily Brontë mogłaby w każdej chwili dokopać George'owi Orwellowi, zauważyła Sara, zapadając w mocny, pijacki sen.

Obudziła się, jak zwykle, o czwartej nad ranem. Kolejne trzy godziny spędziła na rozmyślaniach. Pocierała skronie, usilnie główkując, co mogłoby jej przynieść ulgę, a zarazem zabić nieszczęsny czas. Jej myśli krążyły, rzecz jasna, wokół przeszłości i Paula. Przypomniało jej się, jak żartowali, że napiszą razem artykuł o inherentnym fałszu biografii. Mieli już nawet tytuł: *Mongoloid na kiju do skakania*. Upłynęło zaledwie kilka tygodni, odkąd wprowadzili się do wspólnego mieszkania, kiedy zaczęło ich budzić rytmiczne walenie w sufit.

Początkowo zaczynało się o siódmej. Sarze przyszło do głowy, że to kij do skakania — rytm był taki sam, jaki zapamiętała z dzieciństwa. A Paul założył, że to mongoloid tylko dlatego, że podobało mu się brzmienie tego słowa. To wywołało nie kończącą się dyskusję o etymologii „mongoloida”. Dlaczego właściwie nazywano tak ludzi cierpiących na zespół Downa i z jakiego powodu ich obrażano?

Wreszcie sięgnęli do książek. W antropologii terminem tym określa się ludy Azji Środkowej i Wschodniej. Słowo mongoloid posłużyło też — i stąd jego obraźliwy wydźwięk — do naukowej klasyfikacji upośledzenia umysłowego stworzonej przez XIX-wiecznego brytyjskiego lekarza Johna L. H. Downa. Doktor Down zastosował w swoim systemie terminy etniczne. Stąd całe nieporozumienie. Nikt teraz nie chce, by nazywano go mongoloidem albo mongołem, ale do chłopaka na górze, tego na kiju do skakania, jakoś to przyłgnęło.

Pora zabawy stawała się stopniowo coraz wcześniejsza, więc któregoś dnia o trzeciej nad ranem Paul pobiegł w końcu do sąsiadów i zażądał spokoju. Staruszek, który zajmował lokal nad nimi, nie miał pojęcia, o co mu chodzi. Mieszkał sam. Spał sobie w najlepsze. Nie słyszał żadnego hałasu.

Doszli do wniosku, że na tym polega zasadniczy problem biografii czy historii w ogóle. Obraz mongoloida na kiju do skakania już powstał i nie można go było zatrzeć. Wszystkie przyszłe przypuszczenia miały się z tym wiązać — z wyobrazeniem śmiesznym, lecz zbyt żywym, by je zapomnieć. Odtwarzanie przeszłości wiąże się ze zdolnością uwolnienia się od obrazu, od którego się zaczynało, lecz bez względu na to, ile faktów przeczyło pierwszemu wrażeniu, o mongoloidzie nie sposób było zapomnieć. Znajomy odgłos nieodmiennie przywiedzie na myśl to, co chce się usłyszeć.

Każdy, kto rości sobie choć niewielkie pretensje do sławy, instynktownie zdaje sobie z tego sprawę. Arthura, męża Charlotte Brontë, przerażały szczegółowe charakterystyki zawarte w jej listach do przyjaciół, o których mówił, że są „niebezpieczne jak igranie z ogniem”. Postawił Charlotte ultimatum: mogła w ogóle zaprzestać korespondencji albo pozwolić, by on ją cenzurował. Zażądał ponadto, aby jej najlepsza przyjaciółka i korespondentka, Ellen Nussey, spaliła wszystkie listy, które otrzymywała od niej od dwudziestu lat. „Arthur utrzymuje, że kobiety są zgoła pochopne w korespondencji — myślą jedynie o wiarygodności najbliższej przyjaciółki — i nie biorą pod uwagę różnych ewentualności, a list może przecież wpaść w niepowołane ręce”. Charlotte posłuszenie spaliła wszystkie swoje listy, a Ellen zgodziła się zniszczyć te, które były w jej posiadaniu. Oto jednak mamy do czynienia z inną wielką tradycją literatury — z przyjacielem, który kłamie. Ellen Nussey nigdy nie spaliła tej korespondencji.

Jednakże Patrick Brontë, ojciec Charlotte, pociął wiele listów córki, by zaspokoić wielbicieli jej talentu, którzy pisali do niego po jej śmierci, prosząc o fragment rękopisu. Pan Brontë czynił zadość ich życzeniom, wysyłając wycinki jej listów szerokości jednej linijki. Dzięki Bogu, że była chociaż pani Heger — najbardziej nieprawdopodobna wybawicielka korespondencji Charlotte. Pełne emocji, błagalne listy do profesora zostały podarte i wyrzucone. Pani Heger zebrała je jednak, pozszywała i przekazała córce na przechowanie. Gdy ta pokazała je umierającemu ojcu, on znów się wyparł. Lecz nie przepadły, tym razem dzięki jego córce. To uporczywe odtrącanie listów przez profesora do ostatnich chwil jego życia urzekło Sarę. Widocznie można było odrzucić uczucie Charlotte, ale los tych wprost niezniszczalnych listów okazał się zadziwiający — zachowały się cudem do dnia dzisiejszego.

To właśnie świat, który pociągał Sarę — nieopisana historia, która nigdy nie ujrzała światła dziennego, stłamszona w zarodku przez swoją twórczynię lub odbiorcę, wędrowała po świecie jak sierota, sprytnie kryjąc się po sejfach i poddaszach przygnębionych belgijskich wdów. Może listy w końcu się odnajdą, zostaną ujawnione. Najpierw należało jednak je odszukać. Trzeba było przestać słyszeć hałas jako uderzenia kija do skakania i wyobrazić go sobie od nowa. Lecz wszelkie próby okazywały się bezowocne. Cokolwiek by zakładać, jakkolwiek składać fragmenty zamierzonych biografii, wciąż się nie udawało. Można je było ogarnąć, mocniej uchwycić, ale przeciekały przez palce, pozostawiając pustkę w dłoni. Wszystko się rozplątało, pozostawał tylko absurdalny obraz mongoloida na kiju do skakania, który w środku nocy wyrывa człowieka ze snu.

# W odwecie

*Mam takie niejasne odczucie, że ludzie racjonalni i opanowani, czytając to, powiedzieliby: „Ona oszalała”. W odwecie życzę im jedynie, by spędzili jeden dzień w mękach, jakie przecierpiałam przez osiem ubiegłych miesięcy — przekonalibyśmy się wtedy, czy sami nie postradaliby zmysłów.*

Charlotte Brontë, list do profesora Hegera, 1845

Och.

Sara usłyszała w słuchawce, jak matka bierze głęboki oddech, zastanawiając się, co jej odpowiedzieć. Wiedziała, że wzbudzi rozczarowanie. Jej rodzice uwielbiali Paula. Faktycznie pod jego wpływem stała się dla nich przystępniejsza. Niemniej matka będzie musiała jakoś przedstawić sprawę w pozytywnym świetle.

— Może powinnaś to potraktować jako świetną okazję, by się lepiej zorganizować!

Rzeczywiście, właśnie to miała na myśli. Matka nie była już czynną psychoterapeutką. Założyła firmę projektancko-konsultingową SFERA (Szafa — Funkcjonalne i Efektywne Reguły Aranżacji). Zajmowała się szafami. Nie chodziło jednak o ich wykonanie. Umawiała się na specjalne konsultacje, załatwiała wszelkie nieodzowne półki i przegródki oraz likwidowała zbędne elementy garderoby. Połączenie oceny, organizacji oraz „pozbywania się” miało faktycznie charakter terapii — uniwersalnej, a zarazem całkowicie dostosowanej do indywidualnych potrzeb klienta. Matka odkryła, że jej oddziaływanie jest istotnie niezwykle skuteczne.

Do największych sukcesów zaliczała przypadek alkoholiczki w średnim wieku, regularnie bitej przez męża. Nie pomogły jej lata psychoterapii. Wciąż do niego wracała, co skutkowało kolejnym złamanym zębem albo wybitym zębem.

Dopiero zlecenie aranżacji szaf spowodowało cudowną przemianę — kobieta wyrzuciła męża za drzwi i przestała pić. Niezliczone sesje terapeutyczne nie zdołały dodać jej tyle odwagi, ile codzienny widok porządnie poskładanych sweterków z merynosowej wełny w przezroczystych akrylowych pudełkach.

— Uporządkowane szafy mają w sobie coś takiego, co nas upewnia, że damy sobie radę — wyjaśniła Sarze matka. — O czym myślisz, gdy się budzisz rano? „Co ja na siebie włożę?” A co daje ci do zrozumienia twoja szafa? „Ależ ze mnie niechlujna nieudacznica — wszystko wymyka mi się spod kontroli”. Uporządkowana szafa zaś odzwierciedla zrównoważony stosunek człowieka do samego siebie i jego dobre samopoczucie. Zorganizowana szafa zapewnia: „Liczę się”.

— Nie, mamo, dziękuję.

— Poczujesz się o niebo lepiej.

— Nie, zresztą, jestem zavalona pracą.

— Jeśli teraz zainwestujesz w to trochę czasu, w przyszłości go zaoszczędzisz.

— Nie, dziękuję. Naprawdę.

Wyjaśnianie psychoterapeutce leczniczego wpływu uzalania się nad sobą i zalewania robaka nie miało najmniejszego sensu. Można to było pojąć intuicyjnie albo wcale.

— Ale przyjedziesz na weekend?

— Chyba nie będę miała czasu.



— To tylko godzina jazdy pociągiem. Przyjedź chociaż w piątek wieczorem. Przyrządę udziec jagnięcy. — Właśnie tego Sara pragnęła uniknąć: weekendu z rodzicami, na dodatek psychoterapeutami, dobierającymi się do Jej Uczuć. — Och, daj spokój. Co masz w piątek do roboty? Już się z kimś umawiasz?

— Mamo! Po prostu jestem zajęta.

— Przyjedź w piątek. Co innego mogłabyś robić? Mam kablówkę, chciała zaprotestować Sara.

— Pojadę pociągiem o wpół do piątej.

— Skoncentruj się na tym, co możesz zmienić, na niczym innym — powiedział ojciec, podając Sarze talerz.

— Dzięki, tato. Właśnie to robię.

Ojciec smutno się uśmiechnął. To te przekłete książki. Romantyzm sprawdza się w niektórych niemieckich operach i nigdzie indziej. Lata studiów i praktyki nauczyły go, że cierpienie to kwestia wyboru. Widział, jak córka wiąże się z kolejnymi chłopakami, którzy sprawiają jej ból. Paul wydawał się przynajmniej bardziej praktyczny, emanował energią i optymizmem. Uszczęśliwiał Sarę. W każdym razie jako ojciec odnosił takie wrażenie.

— Nagrałem coś dla ciebie. Wywiad.

— Naprawdę? — spytała Sara, przełknąwszy kęs jagnięciny. Ojciec słyszał z tego, że nagrywał na kasety wideo wszelkie starocie z telewizji, które według niego mogły się komuś spodobać. Paul, by podtrzymać rozmowę, wyraził kiedyś zbyt swobodnie chęć poznania tajników grzybobrania. Tydzień później znaleźli na progu trzygodzinny film przyrodniczy na temat mykologii, przysłany w kopercie z folią pęcherzykową.

Ach, ten Wieczór Mykologiczny, ze smutkiem przypomniała sobie Sara. Zamówili chińszczyznę, otworzyli szampana i naśmiewali się z idiotycznej powagi i specyficznej wymowy angielskiego narratora. „Większość grzybów zadziwiająco szybko się rozrasta” — Sarze przypomniały się słowa lektora. Łzy napłynęły jej do oczu. Oby się tylko obyło bez kolejnego spontanicznego wybuchu płaczu, zaniepokoiła się. Wgryzła się mocno w jagnięcinę, lecz mięso było miękkie, niemal rozpląwało się w ustach. Silny smak imbiru w połączeniu z wyraźną nutą kminku podziałał na nią kojąco.

— Jagnięcina jest doskonała, kochanie — pochwalił ojciec.

— Dziękuję. Rzeczywiście się udała, prawda? — zgodziła się matka. — Ładnie odchodzi od kości. Tak niespodzianka. Straciliśmy naszego rzeźnika — jakby kolejny punkt fotograficzny był nam niezbędny do życia. Kupiłam ją w supermarkecie. Ale jest smaczna, prawda?

Rodzice poszli już spać, a Sara oglądała terapeutyczną kasetę ojca, odpoczywając przy kieliszku wina. Taśma zawierała talk show z udziałem sławnej młodej aktorki, która przeżyła ostatnio na oczach publiczności rozpad swojego małżeństwa. Była bez wątpienia Stroną Poszkodowaną. Zamiast odgrywać rolę ofiary, pozbięrała się jednak i właśnie promowała swój nowy film. Wydawała się rozmowna i życzliwa, a zarazem poważna i dojrzała. Z wdziękiem i poczuciem humoru nawiązała do swoich niedawnych problemów. Pozwalała, by niezręczne pytania gospodarza programu na krótko wprawiały ją w zakłopotanie, po czym odpowiadała na nie z niezmaconym spokojem. Życie jest pełne niespodzianek — zauważyła rozsądnie. Takich jak ten przystojny australijski aktor, z którym zaczęła się spotykać? — Mrugnął do niej dziennikarz. Uśmiechnęła się tylko i wy-

znała, że uważa ostatni film za najgłębszy i najbardziej osobisty w swojej dotychczasowej karierze. Niektórzy mówią o Oscarze — zagadnął gospodarz programu. Aktorka przyjęła tę wiadomość z nieklamana pokorą.

Sara oglądała program z rosnącym zdumieniem. Co ten ojciec sobie, u licha, myślał? Po chwili uświadomiła sobie, że młoda aktorka już się w tym zorientowała. Mąż, który od niej odszedł, płakał teraz przy minibarze w hotelu Four Seasons, plując sobie w brodę — no, może nie dosłownie — że ją zostawił. Wiedziała, jak odegrać tę scenę.

A producent, którego Sara spotkała tego wieczoru, gdy Paul postanowił ją opuścić? Takie rzeczy nie zdarzają się przypadkowo. To zrzędzenie losu. Może właśnie przez niego Paul zapłaczę przy minibarze. W wyobraźni Sara kupowała już meble do odnowionego wiejskiego domu w Vermoncie, a hollywoodzki producent...

— Kochanie... — Podniosła wzrok i zobaczyła stojącą w drzwiach, smutno uśmiechniętą matkę. — Myślisz o Paulu, prawda?

— Nie, mam. Naprawdę nie.

Matka delikatnie jej przytaknęła.

— Pomyśl, może wkrótce uporządkujemy twoje szafy.

— Nie, mam, niczego nie potrzebuję.

— Cóż. Dobranoc.

Sara obserwowała, jak matka wchodzi na górę do sypialni. Może jednak uda się wszystko naprawić? Czyż rodzice nie są na to najlepszym dowodem? Kochankowie kłócili się o gąbki i patelnie, zalewali łzami i wypowiedzieli wiele niepotrzebnych słów, a jednak powrócili do „Kocham cię”, „A ja ciebie”.

Być może doszła do tych wniosków pod wpływem wina. Albo zawinił fałszywy tok myślenia właściwy cierpiącym na depresję. Lub też patelnia — niczym Graal — wykazała się magicznymi właściwościami zdolnymi wyprostować błędne i poplątane koleje losu. W każdym razie Sara zignorowała siąpiący deszcz, ciemność oraz wyczuwalny pod palcami chłód wilgotnej gleby i przystąpiła do rozgrzebywania ziemi. Dlaczego nie pojechała z Pauliem do Francji? Jej namiętność zapewne przypomniałaby mu o jego własnej — chyba że przeraził się głębi swojego uczucia. Może nie chodziło tu o brak namiętności z jego strony, lecz o strach przed nią. Odwaga Sary w wyrażaniu uczuć na pewno okazałaby się dla niego wielką inspiracją! Przecież zdarzają się gorsze rzeczy — na przykład przekopywanie ogródka rodziców, po ciemku i w strugach deszczu, w poszukiwaniu starej teflonowej patelni zakopanej niegdyś wśród chemicznych szkieletów.

Sara ryła głębiej, a błoto wbijało jej się pod paznokcie. Nagle namacała kawałek — czego? Plastik? To rączka. Rączka! Zaczęła grzebać intensywniej, odrzucając ziemię daleko na boki. Poczowała w sobie nadludzka siłę, taką jak matka, która potrafi ponoć unieść ciężarówkę, by wydobyć spod niej ranne dziecko. Odgarnęła górę błota, by trzema potężnymi szarpnięciami wydobyć z ziemi nieszczęsną uszkodzoną patelnię. Najważniejsze, że wciąż tu była. Trwała jak małżeństwo rodziców. Przez cały czas. Jak Paul, gdy w końcu pójdzie po rozum do głowy. Cały czas.

— Saro?

Matka trzęsła się pod parasolem, a deszcz kroił na ramiona jej flanelowego szlafroka. Z wyrazem przerażenia i litości na twarzy skierowała latarkę na córkę.

— Pamiętasz? Zakopałam ją — wyznała Sara.

— Kochanie...

Matka wyglądała na przestraszoną. Przeraziłam własną matkę, pomyślała Sara. Na tym właśnie polega miłość: najpierw robi się zamieszanie, a potem tego żałuje.

## Niewykorzystane umiejętności

*...naszła mnie taka ochota na skrzydła — skrzydła, które może dać majątek — takie nagłe pragnienie, by zobaczyć, poznać, nauczyć się — przez chwilę coś tak bardzo wewnątrz urosło — omamiła mnie świadomość niewykorzystanych umiejętności...*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1841

Sara wiedziała, że upłynie trochę czasu, zanim zdoła się pozbierać po incydencie z teflonową patelnią. Porządki w szafach pod okiem matki stały się nieuniknione. Niemniej udało jej się nieco uspokoić rodziców niejasnym wspomnieniem o ich separacji, odejściu Paula, zabliznianiu ran, patelni — wszystko to w jednym urywanym monologu. Patelnia natomiast — wyczyszczona i zawieszona w jej kuchni — zgodnie ze swoimi przypuszczalnie cudownymi właściwościami zapoczątkowała Epokę Intrygujących Możliwości. Sara otrzymała bowiem e-mail:

Nykki,

(Spore) szanse, że projekt Brontë wypali. Przytrafiają mi się dziwne rzeczy: w samolocie do LA siedzą za mną dwie kobiety i rozmawiają o Brontë. Potem jestem na spotkaniu, a recepcjonistka czyta *Jane Eyre* — robi się coraz dziwniej... A jeszcze później słyszę, że pewna aktorka z pierwszej ligi (nie mogę zdradzić kto, ale pewnie właśnie o niej myślisz) szuka nowego projektu i ma nadzieję na „dramat kostiumowy z dużym budżetem i klasą — najlepiej coś z górnej półki”!!! Zaraz potem dowiaduję się — z dobrego źródła — że pewna producentka, która wkrótce przejmie kierownictwo w ... (nie powinienem tego mówić — w każdym razie jedna z naprawę wpływowych), uwielbia Brontë. Postaram się, żeby projekt trafił na jej biurko następnego dnia po tym, jak się z nim uporasz. Tymczasem podeślij mi trochę informacji, żebym miał czym bajerować przy drinku — ściągnąłem już co nieco z Internetu, ale potrzebny mi twój pogląd na ten materiał. To się może nieźle sprzedać. Odpisz szybko (rzecz jasna, w miarę możliwości).

Pozdrowienia,

Byrne Emmons

Drogi Panie Emmons,

Padł Pan chyba ofiarą grubego nieporozumienia. Przypominam sobie, że spotkaliśmy się na bankiecie promocyjnym książki Claire. Podejrzywałam wtedy, a teraz mam już pewność, że z kimś mnie Pan pomylił.

Przepraszam za wszelkie niedopatrzienia z mojej strony, które wprowadziły Pana w błąd. Może Pan być pewien, że nikomu nie wyjawię Pańskich tajemnic, ponieważ szczęśliwie nie mam pojęcia, do kogo lub czego

odnosi się Pan w swoim e-mailu. Z wielką przyjemnością dostarczę Panu informacji do bajerowania i innych celów, ale co do poglądów — jestem po prostu naukowcem.

Niemniej muszę przyznać, że bardzo mnie Pan zaintrygował i z ochotą jeszcze na ten temat porozmawiam. Chętnie znów się z Panem spotkam, ponieważ nasza krótka rozmowa sprawiła mi prawdziwą przyjemność i zawsze fascynował mnie świat filmu. Jeśli będzie Pan kiedyś w Nowym Jorku, proszę mnie odwiedzić.

Załączam szczerze przeprosiny,

Sara Frost

Saro...

Musisz przyjść na sobotnie przyjęcie. Zadzwoń do mojej asystentki w sprawie szczegółów. C.

Sara zjawiała się na przyjęciu o dziesiątej i ze zdziwieniem stwierdziła, że zabawa trwa już w najlepsze. Nigdzie nie dostrzegła Claire, lecz godny pozazdrosczenia, przestronny apartament na poddaszu, oświetlony świecami, należał chyba do niej. Ściany zdobiły z dwóch stron ogromne fotografie. Sara usłyszała, jak ktoś (być może sam artysta) wyjaśnił, że przedstawiają coś mikroskopijnego powiększonego do ogromnych rozmiarów.

— W rzeczywistości są małe, ale jeśli się nad tym zastanowić, okazują się takie wielkie. To sposób na przydanie biologii erotyzmu — klarował rzekomy artysta.

— Moim zdaniem jest dokładnie na odwrót — odezwał się mężczyzna w winylowych spodniach.

— Hmm?

— Czy to nie przypadkiem biologizowanie erotyzmu?

— Hm. Cóż... w każdym razie to jest wielkie — podsumował w zamyśleniu artysta.

Sara wpatrywała się w sufit, pod którym kłębiły się gustownie białe muślinowe firany. Mieszkanie było oszczędnie urządzone masywnymi granatowymi meblami i zastawione mnóstwem świec, których można się było spodziewać po zdeklarowanej biseksualistce. Dostrzegła mężczyznę po trzydziestce, ubranego niczym nastolatek — w workowate dzinsy i pasiastą koszulkę. Bezwstydnie sięga do miski z mieszanką orzechów, wybierając jedynie owoce nerkowca. Sarę zdziwiły te orzechy. Wydawały się tak banalnym poczęstunkiem — jak na biseksualistkę. Mężczyzna wydobyl dużego orzecha brazylijskiego.

— Kto to je? — spytał Sarę, groźnie wymachując orzechem.

Sara pokręciła głową. Mężczyzna wrzucił orzech do miski, po czym się oddalił. Co za idiotyzm, po winnam stąd wyjść, pomyślała Sara. Nie zostawił ani jednego nerkowca...

— Widziałem, jak spogląda w niebo. Sposób, w jaki założyła ręce, mówił: „Otwórz mnie!”

— Cześć, Denisie.

— Saro, jesteś w moim wierszu.

— Jak ci idzie? — spytała z zażenowaniem, żałując, że nie wyszła, kiedy nadarzyła się okazja.

Denis wzruszył ramionami.

— Są dni, gdy jestem świetny. Kiedy indziej bywa gorzej. Jak w życiu.

— Racja.

Denis wpatrywał się w nią z uśmiechem.

— Skąd znasz Claire? — spytała Sara, wytrącona tym z równowagi.

— Jest w moim wierszu.

— Jasne.

Denis nadal się gapił, a uśmiezek nie schodził mu z ust.

— Bierzesz narkotyki? — spytał wreszcie.

— Słucham? Nie.

Sara rozejrzała się wokół w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy.

— Pytam z powodu wiersza. Muszę trzymać wszystko pod kontrolą.

— O co ci chodzi?

— Paul nie żyje?

— Nie. Wyjechał do Francji.

— Ja jestem z Francji!

— Ma się dobrze.

— Cieszę się.

— Przyniosę coś do picia — powiedziała Sara, szukając drogi wyjścia.

— Weźmy i razem się upijmy.

— Nie, ja tylko...

— Widzisz, kiedy mam przed sobą tajemnicę z założonymi na piersiach rękami, to muszę ją zbadać.

Muszę jakoś poskładać to, czego nie rozumiem. Jestem Francuzem.

— Cóż, ja jestem Amerykanką, a my niszczymy to, czego nie pojmujemy.

Denis wybuchnął śmiechem.

— Dowcipna kobieta, to dobrze — powiedział, prowadząc ją pod ramię do kuchni, gdzie Dell robił właśnie wykład aktorce, którą Sara rozpoznała.

— Rafa koralowa, zupełnie zniknęła! — klarował. — Sam widziałem.

— Dell? — spytała Sara, zaszokowana, że właśnie jego tu spotyka.

— Hej, Saro. — Pomachał do niej niedbale.

Sara musiała przyznać, że Claire wiedziała, jak przeciągać przeciwników na swoją stronę.

— Czy jest tu gdzieś jakiś producent filmowy? — spytała Denisa.

— Wszędzie.

— Nie, chodzi mi o to, że dostałam list...

— List!

— Od producenta, którego spotkałam na poprzednim przyjęciu Claire. Sądziłam, że...

— List miłosny?

— Nie, e-mail...

— E-mail! — Denis machnął lekceważąco ręką, jakby chciał rozproszyć nieprzyjemny zapach. — Internet zostawiam dzieciom i pedofilom.

Istnieją dolegliwości, które dopadają ciało w dogodnym dla siebie momencie, gdy jego odporność spada i całe koncentruje się na sprostaniu poważniejszej tragedii. Są również przyjaźnie, które rodzą się w następstwie wielkiego nieszczęścia, a Denis mienił się specjalistą od tego rodzaju oportunistycznych relacji.

— Kolekcjonuję ludzi, którzy przeżywają kryzys, stają się kimś innym, bo właśnie wtedy są najciekawszy, nie uważasz? Kiedy ich charakter się dopiero określa. Przyjeżdżam do Nowego Jorku, a te kobiety — och! Są przerażające: piękne, zimne istoty, co to zaraz człowiekowi dołożą. Mają wielkie buty i płaszcze, a potem spotykasz je w metrze i co czytają? Te twarde kobiety czytają głupie romansidła! Myślę, ach, to takie małe dziewczynki — wrażliwe jak pierwszoklasistki — co chcą dać się porwać, ale... ach... nic z nich nie będzie. Dopóki ktoś nie złamie ich głupiutkich serduszek. Może wtedy staną się ciekawsze.

Sara spojrzała na zegarek.

— Czas mija. Niesamowite! — Denis w zachwycie uniósł ręce.

Pili jakiś likier — gorzki i ciężki, który do tego stopnia zasmakował Sarze, że się porządnie upiła.

— To mnie właśnie zastanawia w Ameryce: dlaczego tak ją fascynują stosunki z dziećmi? — spytał Denis.

Sara potrząsnęła głową.

— Za każdym razem, jak do was przyjeżdżam, w wiadomościach podają, że dali na coś zastrzyki...

— Szczepienia?

— No tak, dobrze, szczepienia. Więc za każdym razem, przy każdej okazji pokazują, jak dziecku robią zastrzyk.

— I co z tego?

— Mają obsesję na punkcie penetracji dzieci!

Sara zwątpiła. Denis spoglądał w niebo, szykując się do kolejnych wyjaśnień.

— Wiesz — zaczął — pokazują zbliżenia, długie ujęcia igły, która wbija się w ciało, wyraz bólu na twarzy dziecka. Ono staje się obiektem seksualnym, a wy, Amerykanie, nie umiecie sobie poradzić z rzeczywistością, więc udajecie, że chodzi o szczepienia.

— Pożądamy dzieci?

— Dzieci są bardzo rozerotyzowane, ale tylko Francuzi dostrzegają, że erotyzm przepelnia każdy aspekt życia. Nie musimy się kryć za igłami.

— Kopulujecie na ulicach? — spytała znacząco Sara. Denis westchnął.

— Mówię tylko, że nie boimy się seksualności. Jeśli się czegoś boisz, tylko to wzmacniasz. Stąd się u was biorą pedofile...

Sara przewróciła oczami.

— A we Francji ich nie ma?

— Są. — Uśmiechnął się Denis. — Ale wszyscy pochodzą z Ameryki.

Sara się roześmiała, wprowadzając przyjemne odprężenie. Przyjęcie ją uspokoiło, dając pewność, że nadal potrafi się bawić, że mgła, która ją spowija, może się choćby nieznacznie rozproszyć. Rozejrzała się wokół i uświadomiła sobie, że jeszcze nie widziała Claire.

— Gdzie jest Claire? — spytała.

— Uwielbiam Claire za to — oznajmił Denis, nie zważając na pytanie Sary — że zawsze potrafi się odnaleźć. W tym tkwi jej siła. Co do ciebie — trochę się ciebie obawia, a to cię wzmacnia. Widzisz, jako jej rywalka masz nad nią erotyczną władzę: dostrzega w tobie to, czemu zaprzecza w samej sobie. Człowiek w dużym stopniu określa się przez to, czym się nie staje — przypadkiem lub z własnej woli. Nie uważasz?

— Nie rywalizuję z nią — zapewniła Sara.

— Jesteś tu.

— Mówiła coś na mój temat? — Sara znów się rozejrzała w poszukiwaniu Claire, zarumieniona z dumy. Niby drobiazg, a cieszy — jak miło pomyśleć, że jest się zauważanym, że wzbudza się zazdrość.

— Ani słowa. Widzisz, to już twój wpływ. Ludzie boją się inteligentnych osób, które mało mówią. Tylko po cichu oceniają. Co taki człowiek sobie myśli? To rodzaj władzy, a Claire lubi władzę. Powiedziała ci już, że chce się trochę wyciszyć?

Sara w zamyśleniu odwróciła wzrok, pod wpływem likieru czuła się ociężała. Spojrzała na Denisa i tajemniczo się uśmiechnęła. Jeśli jej siła tkwi w milczeniu, niech tak pozostanie. Wzięła z jego rąk butelkę i nalała sobie kolejny kieliszek.

— Ona milczy! — wykrzyknął Denis.

## ...zajmowała mnie choć na chwilę

*Czulałam się tak, jakby mi było obojętne, co robię, pod warunkiem że nie było to do cna złe, że urozmaicało życie i zajmowało mnie choć na chwilę.*

Charlotte Brontë, list do Emily Brontë, 1843

W którymś ze swoich artykułów Sara zauważyła, że nigdzie na świecie idea romantycznej miłości nie zakorzeniła się równie mocno jak w Ameryce. Na jej prymat wskazywały tutejsze piosenki, filmy, zbiorowe oddziaływanie właściwie wszystkich elementów kultury masowej. W wielu kulturach zbieżność małżeństwa z romantyczną miłością świadczy o naiwności i głupocie. Egzaltowane uczucie godzi w porządek społeczny, alienuje pary, co z kolei podważa tradycyjne więzi. Jest po prostu dziecinne.

Romantyczna miłość propaguje ideę przeznaczenia i zrzędzenia losu, a przecież Ameryka opiera się na filozofii oświeceniowej, na pojęciach wolnej woli, autonomii jednostki. Swoboda wyboru partnera w związku miłosnym wydaje się zatem logiczną konsekwencją tych idei. Czym jednak staje się dla ludzi ów akt wyboru? Zrzędzeniem losu. Przeznaczeniem.

Mocna wiara w przeznaczenie wywiera na ludzi duży wpływ. Nawet dwudziestoosmioletnia Sara miała przed Paulem tylko jednego kochanka, a i ten właściwie się nie liczył, ponieważ właśnie z Paulem byli sobie pisani — do diabła z oświeceniem. Niemniej sprzeczne natury wieku rozumu oraz filozofii romantycznej stoczyły ze sobą zaciętą walkę, gdy Sara obudziła się nazajutrz po południu u boku Denisa.

Temu zaciekłemu sporowi towarzyszył w dodatku rozsadzający głowę kac. Sara położyła się na plecach i wpatrywała w białe firanki pod sufitem. Czy to mieszkanie należało do Denisa?

— Dzień dobry.

Sara odwróciła głowę i dostrzegła Claire, która przyrządzała espresso w kuchni na drugim końcu mieszkania. Podeszła z kawą do łóżka i usiadłszy w nogach, podała Sarze filiżankę.

— Dzięki — wydusiła zmieszana dziewczyna, unosząc się na łokciu.

— Widzę, że poznałaś Denisa.

— Przepraszam, gdzie... — wyszeptła Sara, wciąż usiłując odtworzyć w myślach przebieg ubiegłej nocy.

— Nie przejmuj się, nie obudzisz go, zawsze śpi jak kamień. Kiedyś, gdy byliśmy dziećmi, w pobliżu wybuchła bomba podłożona chyba przez jakiegoś terrorystę. To było w Paryżu. W każdym razie eksplodowała kilka przecznic dalej, ale dość blisko, by cały budynek się zatrzęsł, poleciały belki, a Denis wszystko przespał.

— Ja nie... — Sara potrząsnęła głową, nadal zakłopotana.

— Co takiego?

— Wy nie jesteście...

— Kochankami? Nie, odkąd się zorientowałam, że to mój brat. Niektóre sprawy są dla mnie tabu.

Sara zamrugała w nadziei, że jeszcze się nie obudziła.

— Żartuję! — rzuciła wesoło Claire.

— Nie widziałam cię wczoraj.

— Większość czasu spędziłam na dachu.

— Nie wiedziałam, że macie tu jeszcze dach.

— Zawsze jest jakiś dach.

Sara wpatrywała się w espresso. Poczula, że Denis się rusza. Zajrzała pod kołdrę — mieli na sobie ubrania. Tona pewno dobry znak.

— Aha, zastanawia się, czy mnie przypadkiem w nocy nie zdeflorowała — powiedział Denis, przewracając się na plecy. — Albo czy jestem wampirem, który pozbawił ją duszy. — Gapił się w sufit. — Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie boją się wampirów. Obawiają się ich samych czy tego, że się nimi staną? W czym problem? One przecież nie umierają, śpią całymi dniami, wciąż poznają nowych ludzi. Brzmi całkiem nieźle.

— To metafora erotycznego opętania — przypomniała mu szybko Claire.

— To też niczego sobie, w końcu jestem Francuzem...

— Wiemy, Denisie. Musisz nam o tym bez końca przypominać?

— Och, moja Panno z Porządnej Brytyjskiej Szkoły z Internatem, przepraszam za nasze pochodzenie — zadrwił, naśladując akcent Anglików z wyższych sfer.

Claire wybiegła do łazienki. Denis obdarzył Sarę zawstydzonym uśmiechem.

— Jest na mnie wściekła.

— Za co?

— Lubi zatrzymywać swoje odkrycia dla siebie.



Sara wyjrzała przez okno i zaczęła się zastanawiać, jak taktownie opuścić towarzystwo. Denis wstał, a potem usiadł na brzegu łóżka. Sara szukała torebki. Chłopak wyciągnął ją spod łóżka i podał jej.

— Dzięki.

Nachylił się i pocałował ją w czoło.

— Zachowałeś się jak prawdziwy dżentelmen. Czuję się niemal urażony.

Sara uśmiechnęła się.

— Ale w końcu — dodał porozumiewawczo — jestem przecież Francuzem.

Mimo, a może właśnie z powodu scysji z Denistem Claire nalegała, by Sara poszła z nimi na obiad. Choć dziewczyna pragnęła jak najszybciej znaleźć się w domu, nie zdołała się oprzeć pokusie odwiedzin u Burke-Ivesów. Pan Burke i pan Ives byli zamożnymi nowojorskimi ekscentrykami, którzy wiedli prawdziwie dziewiętnastowieczny styl życia. Sara przypomniała sobie, że jakieś czasopismo napisało o nich kiedyś, drążąc temat osobliwości tego wielkiego miasta. *Życie après Paul* stało się co prawda dziwne, ale też nieco bardziej intrygujące.

Ściśnięta między Claire a Denistem na tylnym siedzeniu taksówki, poczuła, że powinna ich jakoś pojednać.

— Ciekawe, jak sobie radzą zimą z ogrzewaniem domu? — spytała wesoło.

Żadne z nich nie przerwało milczenia.

— Dajcie forszę — zażądała Claire, gdy kierowca zatrzymał się w West Village przed kamienicą z elewacją z piaskowca.

Sara szperała w poszukiwaniu dziesięciodolarówki, którą przed wyjściem włożyła do kieszeni płaszcza. Denis wzruszył ramionami.

— No, jasne, po co ci pieniądze? — warknęła Claire, wręczyła taksówkarzowi dziesięć dolarów Sary i wyskoczyła, nie czekając na resztę.

Pierwsza dotarła do drzwi i zastukała. Otworzył jej miło uśmiechnięty mężczyzna, ubrany zgodnie z dziewiętnastowieczną modą, a potem wprowadził do holu Denisa i Sarę. Dziewczyna rozglądała się po zgodnym ze stylem epoki wnętrzu. Czowała się skrupowana, jakby znalazła się w jakimś niezwykłym dziele sztuki performance.

— To panna Frost, o której wspominałam — przedstawiła ją Claire.

— Wspaniale. — Burke ujął ją za rękę.

— Ona również żyje w dziewiętnastym stuleciu. Zajmuje się siostrami Brontë.

— Ach, tak — odparł Burke, odbierając od nich okrycia. — Osobliwe. I cóż się z nimi stało? — spytał, jak gdyby z tęsknotą wspominał dawnych sąsiadów.

— Hmm, pomarły — odpowiedziała ostrożnie Sara. Uświadomiła sobie, że prawdziwi ekscentrycy są rozbrajający, ponieważ ich dziwaczność jest tak całkowita i permanentna.

— Och, jaka szkoda. — Uśmiechnął się współczująco Burke. — Cóż, napijcie się teraz czegoś na rozgrzewkę.

Przeszli do bawialni oświetlonej wyłącznie świecami i lampami gazowymi. Dom był wspaniale wyposażony — pełen antyków i aksamitów na ścianach, jakby żywcem przeniesionych z powieści Edith Wharton, a może z otoczenia postaci odtwarzanych przez Vincenta Price'a.

Na twarzy Ivesa próżno było szukać rumieńców, a jego ręce poruszały się nerwowo niczym drgające płomienie gazowych lamp. Był niższy od Burke'a, miał jasne włosy i bladozielone oczy. Tymczasem jego towarzysz uporczywie spoglądał na gości ogromnymi ciemnymi oczami, co wręcz krępowało.

Niezwykłość minionej doby zaczynała już męczyć Sarę. Poczula nagły przypływ tęsknoty za domem, przemożne pragnienie natychmiastowego znalezienia automatu telefonicznego i opowiedzenia Paulowi o wszystkich osobliwych spotkaniach. Byłby zachwycony tymi facetami, pomyślała ze smutkiem. Jaka szkoda, że go tu nie ma. Szkoda tylko, że taki z niego dupek, całkiem bez serca, upomniała się.

— Mają panowie piękny dom — powiedziała, poirytowana utkwionym w nią wzrokiem Burke'a i jego nieustannym uśmiechem.

— Chroni przed deszczem — odpowiedział, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Ominęło was wczoraj świetne przyjęcie — zgaśniła ich Claire.

— Bardzo wcześnie kładziemy się spać. Cóż możemy na to poradzić?

— Nad jaką książką teraz pracujecie?

— Nie wolno nam o tym mówić. Proszę się jednak nastawić na pewne małżeństwo w kręgach dworskich, w przyszłym roku — odparł Ives, wyraźnie tłumiąc chęć zdradzenia czegoś więcej. Burke podał kieliszki z winem.

— To pewne?

— Bez wątpienia.

— O kogo chodzi?

— Tajemnica.

— Nie moglibyście przynajmniej podać nazwy kraju?

— Po moim trupie. Mogę jednakże podszeptać barwy flagi narodowej. — Ives pochylił się ku Claire, wywołując u niej wybuch śmiechu świadczący o silnej ekscytacji.

Sara szybko wychyliła kieliszek, próbując dodać sobie pewności siebie w towarzystwie. Nagle uświadomiła sobie, że milczy.

— Jest pan pisarzem? — zwróciła się do Burke'a.

— Nie.

— A książka...

— Ach, nie. My tworzymy książki. Dosłownie. Własnoręcznie.

— Po obiedzie musicie jej pokazać pracownię. Całkiem w stylu da Vinci — uzupełniła Claire.

— Naturalnie. Widzi pani, pracujemy teraz nad albumem ślubnym. Coś takiego może trwać miesiącami. Denisie, cóż to za nienaturalne dla ciebie wyciszenie.

— Jest taki nieszczęśliwy, bo go ignoruję — wyjaśniła Claire.

— To fatalnie — zareagował dyplomatycznie Ives. — Nie chcemy chyba zepsuć sobie obiadu, prawda? Dziewczyna, która go dostarczyła, była nawet łaskawa wyjąć na tę okazję kolczyk z nosa.

Obiad składał się z pieczonego bażanta z galaretką pigwową oraz czegoś zawierającego gruszki. Sara dziobała widelcem jedzenie, świadoma natarczywego spojrzenia Burke'a.

— Ogólnie rzecz biorąc, uczę pozbawionych zainteresowania studentów i poszukuję nie istniejących listów. Brzmi to zresztą lepiej, niż wygląda w rzeczywistości — tłumaczyła.

— Sądzę jednak, że kryje się za tym coś więcej — naciskał Burke.

— Nie. Właściwie jest jeszcze pewien bardzo dziwny człowiek. Chyba producent filmowy — dodała Sara, szukając czegoś prowokującego, by móc udać obojętność.

— Faktycznie, dziwne.

— On, zdaje się, myśli, że pracuję w jego branży. Wciąż do mnie pisze o jakimś filmie o rodzeństwie Brontë, a ja nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

— Trzeba brać pieniądze. Ci ludzie mają ich całe stosy. Robiliśmy album dziecięcy dla — jak się nazywała ta aktorka? — spytał Burke'a Ives. Burke wzruszył ramionami. — Wypadło mi z pamięci. W każdym razie mają czym szastać, to pewne.

— Denise, może powinieneś się tym zainteresować? — zaproponowała Claire. — On uwielbia kręcić się wokół wielkich pieniędzy.

— Jestem wierszem — przypomniał jej chłopak przez zaciśnięte zęby.

— No, tak, to takie wyczerpujące. Zauważywszy, że uprzejmości dawno się skończyły, Burke zwrócił się do Ivesa.

— Panie Ives, proszę opowiedzieć o Florencji.

— W zeszłym tygodniu pojechaliśmy z panem Burke do Florencji na coś w rodzaju konwencji wytwórców książek w średniowiecznym stylu — to, jak widać, bardzo osobliwe — ciągnął ironicznie Ives. Denis zrobił do bażanta nadaśaną minę. — Zatrzymaliśmy się w starej willi — adaptowanym klasztorze — prowadzonej przez pewną starowinkę. Była, jakby to ująć, bardzo mistyczna.

— Miała energię wiedzy — wyjaśniła Claire, szykując się na dłuższy wywód. — To archetyp, w który głęboko wierzę. Intryguje mnie siła kobiety, która wykracza poza seks.

Ives odchrząknął.

— W każdym razie zaprowadziła nas do pokoju i opowiedziała historię młodziutkiej nowicjuszki, którą oddano do klasztoru, ponieważ zakochała się w pewnym chłopcu nie aprobowanym przez jej rodziców. Miała więc przebywać w klasztorze do końca swych dni. Wraz z ukochanym zaplanowała jednak ucieczkę i w umówiony wieczór długo na niego czekała. Nie zjawił się. — Ives upił łyk wina. — Więc czekała następnej nocy i kolejnej. Mijały tygodnie. Wreszcie usłyszała, że młodzieniec poślubił inną — dziewczynę z posagiem i przychylniej nastawionymi rodzicami. Młoda dama udała się więc na spoczynek, wprawdzie ze złamanym sercem, ale poza tym zupełnie zdrowa... a następnego dnia znaleziono ją martwą. Umarła we śnie. Odtąd każdemu, kto nocuje w tym pokoju, śni się to samo — jakby sen dziewczyny trwał nieprzerwanie — chociaż widziane z własnej perspektywy. Leżąc w łóżku, obserwuje się ich miłość, łączącą ich wielką namiętność, ale i jej przemijanie — w postaci odtrącenia... lub śmierci. Naturalnie, nie zmrzyłem oka. A pan Burke spał jak zabity. Pytam więc nazajutrz: „Panie Burke, cóż się panu śniło?” A on na to, że nie pamięta. Ot, co.

Powiedziałem o tym staruszce, a ona oznajmiła mi, że na tym właśnie polega problem: jeśli w to wierzysz, nie zaśniesz, a jeśli nie, nic ci się nie przyśni. „Skąd zatem wiadomo, że cała historia jest prawdziwa?” — zapytałem. Wzruszyła ramionami i wyznała, że zna tylko taką wersję.

— Proszę, oto potęga sławy, prawda? — spytała retorycznie Claire.

— Nie. To sen, który sam się śni — poprawił ją Denis.

— Właśnie to miałam na myśli! — ciągnęła rozentuzjasmowana dziewczyna.

Burke i Ives uśmiechnęli się. Opowieść przyniosła zamierzony skutek — każdy powrócił do swojej ulubionej teorii.

— Gdzie to było? — spytała cicho Sara.

Burke odwrócił się do niej, zaciekawiony jej zainteresowaniem.

— Niedaleko Florencji. Chyba jakieś trzydzieści kilometrów. Dlaczego pani pyta? Ma pani ochotę spróbować?

— I tak źle śpiam — odpowiedziała, niezgrabnie skrywając zaniepokojenie. — A jak panu się to udało?

— Nie pamiętam. Ale nie spałem jak zazwyczaj. To przypominało raczej utratę świadomości. Po prostu przestałem zdawać sobie sprawę, że nie śpię. Wyobrażam sobie, że tak się musi czuć umarły — Burke uświadomił sobie, że wszyscy uważnie go słuchają.

— Kto ma ochotę na deser? — spytał radośnie Ives.

— Co pani o tym sądzi? — dopytywał się Burke.

— Są piękne — odparła Sara.

Burke pokazywał jej papier, maszynę drukarską i stare ryciny, które służyły im za inspirację podczas pracy nad nowymi książkami. Żółw morski, zwinięta koliście ryba, ponura postać menady, rzymska statua — wszystkie wisiały przypięte do ściany. Jedną stronę pokoju zajmowały kolekcje muszli, motyli i kawałki kolorowego szkła weneckiego, po drugiej natomiast znajdowały się ogromne okna wychodzące na ogród.

— Chodziło mi o Denisa i Claire.

— Są w porządku — powiedziała Sara, niepewna charakteru jego zainteresowania. Pozostając z nim sam na sam, czuła się niezręcznie.

— Myśli pani, że są kochankami? Nie możemy ich z Ivesem rozgryźć.

— Są przyrodnim rodzeństwem — przypomniała mu dziewczyna.

— Wiem. Proszę sobie wyobrazić, ile słońca tu mamy popołudniami — dodał, wskazując na okna.

— Właściwie nie znam Claire aż tak dobrze — powiedziała Sara.

— To dopiero wyczyn. Przecież ona o niczym innym nie mówi. — Burke uśmiechnął się ciepło i znowu nieco zbyt natarczywie utkwiał w niej wzrok.

Dziewczyna zbliżyła się do jednej z półek, na której piętrzyły się stosy barwnego papieru.

— Czy musi pan importować cały papier? — Odwróciła się i przestraszyła, bo Burke znajdował się w odległości nie większej niż pięć centymetrów od jej twarzy.

— Wiem, że zbyt natarczywie się wpatruję — zaczął.

— Doprawdy?

— Ja... Jak mam to ująć, żeby nie zabrzmiało głupio?

— Może lepiej nic nie mówić.

— Zobaczyłem panią.

— Gdzie? — spytała Sara, zerkając na drzwi.

— We śnie.

Dziewczyna roześmiała się nerwowo. Chcę do domu, pomyślała. Chcę wrócić do codzienności. Chcę spędzać wieczory przed telewizorem, z narzeczonym u boku.

— Nie żartuję — oznajmił. — Dlatego nie mogę oderwać od pani oczu.

— Powiedział pan przecież, że nic się panu nie śniło — przypomniała mu Sara, czując się idiotycznie.

— Skłamałem. To przez Ivesa. Ma na moim punkcie obsesję. Jak mógłbym mu wyznać, że śniłem o kimś innym?

— Nie... Nie wiem. Powinam...

Sara odwróciła się, by wejść na górę, ale Burke mocno przytrzymał ją za nadgarstek.

— Proszę... — wykrztusiła.

— Przepraszam — powiedział łagodnie, zwalniając uchwyt. — Nie chciałem pani przestraszyć.

— Nie przestraszył mnie pan, po prostu jestem zmęczona.

Burke skinął głową, wpatrując się w jej oczy, dogłębnie ją analizując.

— Ktoś złamał pani serce. Domyśliłem się. O to chodzi, prawda?

— Poniekąd — odpowiedziała nagle zażenowana Sara.

— Przepraszam.

— Zdarza się. — Wzruszyła ramionami, siląc się na nonszalancję.

— Zapewne — odparł. — Lecz jeśli to przeznaczenie, można je tylko przyjąć, właśnie w takiej postaci.

Sara odwróciła się do niego i uświadomiła sobie, że na szczycie schodów stoi Denis, gotów przyjść jej z pomocą. Powodowana impulsem, przechyliła się w stronę Burke'a i pocałowała go. Jak mogła powstrzymać przeznaczenie, jeśli faktycznie był jej pisany, a przecież w ciągu ostatniej doby jej los okazał się tak zmienny? Poza tym miał na to dowód albo przynajmniej jakąś mętną historyjkę, którą mógł się podeprzeć, a dla wyobraźni romantyczki im więcej niejasności, tym lepiej.

Pocałunek jednak miał tyle wspólnego z namiętnym kształtowaniem własnego przeznaczenia, ile świadomość, że widzi to Denis. W kalkulacjach związanych z delikatną materią zdrady całowanie dwóch niepokojąco bliskich obłędu mężczyzn w ciągu jednego dnia dawało jednoznaczny rezultat w postaci pewnej modelki — stypendystki Fulbrighta. Być może Sara nie osiągnęła zamierzonego celu, lecz jej postępowanie dało określone efekty. Drzwi u szczytu schodów zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Dziewczyna spojrzała ku górze i raz jeszcze pocałowała Burke'a, uświadamiając sobie, że czerpanie przyjemności, gdy tylko nadarza się ku temu okazja, to całkiem popłatna filozofia życiowa. Zawsze kojarzyła seks z miłością, a miłość z przeznaczeniem. Interpretowała to na dodatek tak dosłownie, że nie zdawała sobie sprawy z atrakcyjności przygodnie poznawanych ludzi, wynikającej właśnie z przelotnego charakteru tych spotkań. Przez całe życie całowała mężczyzn, opierając się na skomplikowanej teorii predestynacji. Teraz zaś uświadomiła sobie, że pocałunki pod błahym pretekstem przynoszą coś w rodzaju zwierzęcej satysfakcji. To istota rzeczy, odkryła Sara. Nie była już bierną konsumentką, lecz namiętną kreatorką.

— Powinniśmy wrócić na górę — stwierdziła.

A Burke się zgodził i podążył za nią.

Zajęła swoje miejsce w salonie. Claire i Ives raczyli się już drugim kieliszkiem porto.

— Oczywiście, że bym to obejrzała — oświadczyła Claire.

— Jak można? — żądał wyjaśnień Ives.

— Co byś obejrzała? — spytała Sara, kątem oka rejestrując nadąsanego Denisa w kącie pokoju.

— Dodiego i Dianę.

— W jakim sensie?

— Jak się kochają.

— Krążą plotki, a jak wiemy, jest w nich ziarno prawdy — tłumaczył Ives, przeciągając samogłoski — że Dodi miał specjalnie wyposażony jacht i rejestrował ich spotkania.

— Obejrzałabyś to? — spytała odruchowo Sara.

— Oczywiście. W końcu jestem badaczką. Zakres moich badań obejmuje dosłownie wszystko.

— Ale to ich prywatna sprawa — upomniała ją Sara. Chciała wracać do domu.

— Prywatność to przedmiot moich badań! — zapewniła Claire.

— Ależ, Claire — wtrącił się Ives — czy nie analizujesz przebiegu granicy między sferą publiczną a prywatną?

— Skądże. Sądzę, że takiej granicy nie ma. Prywatność w zasadzie nigdy nie istniała. To staroświecki wymysł. Wy, Amerykanie... — Burke bezszelestnie usiadł na kanapie obok Ivesa, wpatrując się w Sarę. — ...myślicie, że konstytucja gwarantuje wam prawo do prywatności — ciągnęła Claire. — Nic podobnego. Raczej dążenie do szczęścia. Nie zaś do prywatności. Poszanowanie nieujawniania informacji to nic innego jak koncepcja, zbiorowa iluzja. Coś takiego nigdy nie istniało. Ludzie, emanujecie niezaspokojoną żądzą, której zresztą nie możecie zaakceptować, i z tego się bierze ten dręczący głód. Oczywiście, że obejrzałabym, jak Dodi i Diana uprawiają seks. A ty nie miałabyś ochoty zobaczyć, jak się kocha Charlotte Brontë, gdyby istniało takie nagranie? — zwróciła się do Sary.

— Istnienie takiego zapisu jest raczej wykluczone. — Padła racjonalna uwaga.

— A gdyby jednak był dostępny? — nalegała Claire.

— Nie chciałabym tego oglądać.

— Pewnie, że byś chciała — nie odpuszczała Claire. — Przecież wykorzystujesz jej listy. Czym to się właściwie różni od naruszania prywatności? Czy listy nie są w pewnym sensie równie intymne?

Sara nie znajdowała odpowiedzi.

— Aha! Nasza wyniosła amerykańska czcicielka prywatności zapomniała języka w gębie! — ogłosiła Claire.

— Ona nie podziela twoich voyeurystycznych pasji — zauważył Denis, znacząco wpatrując się w Sarę.

— Nie. Racja — zgodziła się dziewczyna. — Powiedziałabym, że czynności intymne są wyłącznie sprawą ich uczestników. — Rozejrzała się i zauważyła, że Burke wbija w nią wzrok. Och, istne zbiorowisko dziwaków, pomyślała. Tak czarujących, a jednocześnie tak męczących.

— Tu nie chodzi o podglądactwo — uzupełniła Claire. — Tylko o wyczerpującą wiedzę. Każdy odczuwa ciekawość, dlatego więc tego nie zaakceptować, posuwając się o krok dalej — do oglądania? Ciekawość to wyprawa na zewnątrz nas samych, jaką podejmujemy, by zrozumieć przeżycia innych. To nas faktycznie chroni przed egocentryzmem.

— Owszem, Claire, ale co począć, kiedy to się zmienia w niezdrowe nadużycie? — spytał Burke. — Czy widzowie mają prawo oglądać Dianę w łóżku? Czy to służy jakiemuś etycznemu celowi, a może dobru ogółu?

— Oczywiście.

— A w takim razie nagranie z udziałem samej Claire? Można by je rozpowszechnić? — dociekał Ives.

— Jeśli ludzie wykazaliby takie zainteresowanie moją osobą, schlebialoby mi to — zapewniła Claire.

— Nic podobnego — zaatakował Burke.

— Ależ tak.

— A jak zareagowałaś, kiedy sprzedałem twoje listy „Paris Match”? — spytał Denis, za wszelką cenę usiłując kogoś urazić, wszystko jedno kogo.

Claire wyglądała na zaskoczoną, lecz szybko odzyskała równowagę.

— Sprzedałeś jej listy? — dociekała Sara. Denis wzruszył ramionami.

— Nie o sprzedaż listów miałam pretensje, Denisie. Już o tym rozmawialiśmy — rzuciła Claire nie znoszącym sprzeciwu tonem, który wyraźnie sugerował, że nie ma ochoty ponownie roztrząsać tej sprawy. — To było zaraz po ukazaniu się *Feminy*, a Denis chciał kupić samochód...

— Audi — wyjaśnił chłopak.

— Cóż, Denis zawsze lubił sprzedawać, co miał pod ręką. Kiedyś spieniężył bransoletę mojej matki. Innym razem podczas naszej nieobecności wynajął wiejski dom ojca. Rozejrzał się więc i znalazł jakieś stare listy miłosne. Jeśli w ogóle można je tak określić. — Tym razem Claire wzruszyła ramionami.

— Sprzedałeś je? — drążyła Sara.

— Wściekłaś się — przypomniał siostrze Denis.

— Według mnie to nie był odpowiedni moment. *Femina* dopiero co się ukazała, nie narzekałam na brak rozgłosu. A Denis po prostu rzucił te listy w sam środek całego zamieszania. Nigdy nie miał wycucia chwili. Ta publikacja była marnotrawstwem.

— Skąd mogłem wiedzieć? — bronił się Denis.

— To kwestia odpowiedniego rozeznania, trzeba zawsze robić rozeznanie!

— W porządku — odparł stanowczo brat.

Claire odwróciła się od niego, znudzona sporem, w którym miała stuprocentową rację.

— Obejrzałybyś — ponownie odezwała się do Sary.

— Co?

— Brontë i tego... jak mu tam.

— A może oni w ogóle nie uprawiali seksu — wtrącił się Ives.

— Kiedy zmarła, była w ciąży — odparowała Sara.

— Zupełnie jak Diana! — przypomniała wszystkim Claire.

— Nigdy tego nie udowodniono — zauważył Ives.

— Nie stwierdzono też, że tak nie było.

— Co o tym sądzisz? — spytała Sarę Claire, gdy opuścili już dom Burke-Ivesów.

— W jakim sensie?

— Czy oni są kochankami? — dociekała dziewczyna, doskonale wiedząc, że to pytanie wprawia rozmówczynię w zakłopotanie, a Denisa doprowadza do rozpacz. — Nie możemy ich rozgryźć.

— Są mili.

— Obawiam się, że wiersz Denisa uderza w tragiczny ton — oświadczyła Claire.

Brat obdarzył ją pogardliwym spojrzeniem.

— Pomyślałam, że niegrzecznie byłoby ich o to pytać, ale dlaczego wybrali właśnie dziewiętnastowieczny styl życia? — zaciekała się Sara.

— Chodziło im chyba o obecność wszystkich epok jednocześnie, namacalne odczuwanie przeszłości i wolność wyboru czasów, w których chcą żyć — jak zen czy coś w tym rodzaju. No i, jak pewnie zauważyłaś, są kompletnie zwariowani.

Sara skinęła głową. Nie chciała nic mówić, ale Claire wydawała się jej nieco przewrażliwiona na tym punkcie.

— Napijcie się jeszcze przed snem? — spytała Claire, gdy mijali bar.

Sara zaprzeczyła ruchem głowy. Chwilowo miała już dość łączenia alkoholu i filozoficznych wolt, marzyła jedynie o spokojnej nocy — bez Claire. Zeszła do stacji metra, pozostawiając rodzeństwo własnemu losowi.

## Człowiek wielkiego umysłu

*Jest jeszcze ktoś, o kim dotąd nie wspominałam — monsieur Heger, mąż madame — to profesor retoryki, człowiek wielkiego umysłu, lecz bardzo cholerycznego i irytującego temperamentu...*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1843

hej, saro,

mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku — chciałem się tylko dowiedzieć, co porabiasz. u mnie wszystko dobrze (przynajmniej na razie). zastanawiałem się też, czy znalazłaś chwilę czasu, by wysłać mi moje pierwsze wydania. to wprawdzie drobiazg, ale czy masz z tym jakiś kłopot albo z jakiegoś powodu jeszcze tego nie zrobiłaś? oczywiście zwrócę ci pieniądze. proszę, daj mi znać, gdy tylko się tym zajmiesz — z góry dziękuję i mam nadzieję, że świetnie sobie radzisz w tym semestrze.

paul



Saro,

pojęcia nie mam, kim pani, do cholery, jest, ale znalazłem się w sytuacji podbramkowej — sprzedałem już tę historyjkę i połknęli haczyk, a ja nie wiem, o czym, do diabła, mówię. Czy nie wspominała pani kiedyś o jakichś pikantnych szczegółach — romansie pozamałżeńskim albo czymś w tym stylu?

Może moglibyśmy zebrać trochę faktów do kupy — chodzi mi o coś „opartego na autentycznych wydarzeniach”, żeby, rzecz jasna, zachować nazwisko i zrobić z tego historię o „prawdziwej miłości”. Pojutrze przyjeżdżam do Nowego Jorku. Spotkajmy się. Chcę popchnąć sprawę naprzód.

Saro, nie wiem jak pani, ale ja poczułem podczas naszej rozmowy, że świetnie się dogadujemy, a moja akupunkturzystka radzi mi podążać za intuicją. Mam bardzo dobre przeczucia. A pani? Wierzy pani w intuicję? Sądzę, że tak.

Proszę mi przynajmniej pozwolić zaprosić panią na kolację. O ile pamiętam, zapomina pani o jedzeniu... Chciałbym się tym zająć, choćby przez jeden wieczór.

Zatrzymam się w środę w hotelu Roylton. Proszę się odezwać. Nie mogę się doczekać naszego spotkania.

B. E.

Drogi panie Emmons,

Jeszcze raz przepraszam za wszelkie kłopoty, które panu sprawiłam. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, że wszystko to wyniknęło z nieporozumienia, a nie celowego działania. Owszem, wierzę w intuicję i czasami rzeczywiście zapominam o jedzeniu, więc chętnie skorzystam z pana przemiłej propozycji.

Gwoli podsumowania: Emily napisała *Wichrowe Wzgórze*. Anne, najmłodsza z siostr, jest autorką powieści *Agnes Grey* i *The Tenant of Wildfell Hall*, a Charlotte, najstarsza — *The Professor*, *Dziwne losy Jane Eyre*, *Shirley* i *Vilette*. Ich ojciec, Patrick Brontë, owdowiał, gdy dzieci były jeszcze bardzo małe. Był pastorem na północy Anglii, posłał potomstwo do szkół z internatem, gdzie dwie najstarsze córki szybko zmarły. Nic dziwnego zatem, że zabrał dzieci ze szkoły i zdecydował się na ich kształcenie w domu. Pobudzał ich wyobraźnię, więc pozostała czwórka — Charlotte, Anne, Emily i Branwell (syn) — snuła skomplikowane opowieści o przeplatających się fabułach i bohaterach, nawet kiedy już wyrosła.

Charlotte i Emily pojechały kontynuować naukę w Belgii. Pierwsza z nich rzeczywiście zainteresowała się swoim (żonatym) profesorem i pozostała tam jeszcze na krótko, pracując jako nauczycielka. Anne została guwernantką, a Branwell — guwernerem. Ten ostatni nagle stracił posadę, co zrodziło plotki o jego romansie z żoną pracodawcy. Mniej więcej w tym czasie Charlotte i Emily zaczęły pisać pierwsze powieści — wszystkie publikowane pod męskimi pseudonimami (Currer, Acton i Ellis Bell). Branwell zapił się na śmierć. Przypuszczalnie to on zaraził się gruźlicą, która później zabiła jego dwie siostry. Kilka miesięcy po jego śmierci zachorowała i zmarła Emily. Po upływie kolejnych miesięcy w jej ślady poszła Anne. Straciwszy całe rodzeństwo w ciągu zaledwie roku, Charlotte — co w pełni rozumiała — popadła w przygnębienie. Nie porzuciła jednak pisania. Po paru latach poślubiła duchownego, współpracownika ojca z parafii, Arthura Nichollsa. Zmarła w wieku trzydziestu ośmiu lat, przeżywszy niecały rok w małżeństwie, w wyniku powikłań związanych z ciążą (tak się powszechnie przyjmuje, choć to trochę niejasne). Obawiam się, że to wszystko nie

brzmi najweselej, a adaptacja filmowa może sprawić problemy. Mam jednak nadzieję, że okazałam się pomoc-  
pomocna.

Pozdrawiam.

Sara Frost

PS Proszę tego nie uznać za bezczelność z mojej strony, ale chciałabym zaproponować kilka tytułów:

— *Une Grande Passion*

— *Madame Charlotte*

— *Rue d'Isabelle* (to ulica w Brukseli, na której Charlotte studiowała u profesora Hegera)

Sara,

Obawiam się, że ma pani rację. W tej postaci to faktycznie przygnębiająca historia i (z punktu widzenia branży, nie mojego) nieco zbyt sfeminizowana. Trzeba się zdecydować — jedno albo drugie (pod warunkiem że ma się kasową gwiazdę). Takie połączenie jest w każdym razie wykluczone. Niemniej, jak wspominałem, wzbudziłem już zainteresowanie pewnej aktorki. Mamy też osobę na kierowniczym stanowisku w wytwórni, która chce z nią zrobić film, więc potrzebujemy tylko tematu. Szczegółów...

B. E.

PS Podoba mi się, że myśli już pani nad tytułem. Jednak te, które pani podała, z następujących przyczyn raczej się nie nadają:

— francuski

— francuski

— belgijski

Czekam na nowe pomysły!

Sara nie знаła się specjalnie na branży filmowej, przypomniały jej się jednak ironiczne słowa kolegi, który miał z nią do czynienia jako doradca — że to banda idiotów, tylko świetnie ubranych. Domyśliła się więc, że nie powinna epatować inteligencją i że nie zaszkodzi sprawić sobie trochę nowych rzeczy. Rzut oka na zawartość szafy nie pozwolił jej się dłużej łudzić — matka miała rację. Trzy dni później zabrały się więc do dzieła. Matka z niepokojem przyglądała się granatowej sukience, której Sara nigdy nie nosiła.

— Powiedz to.

— Och, mamo.

— To pomaga.

— Pozbywam się ciebie.

— Nie tak, powiedz to do sukienki.

— Chyba żartujesz.

— No, powiedz.

— O Boże.

— Kochanie, próbuję ci pomóc. Sara westchnęła.

— Pozbywam się ciebie.

— Ponieważ...

— Ponieważ rzeczy materialne nie są mi potrzebne do dobrego samopoczucia.

— Wspaniale. — Matka z dumą wypuściła suknię z rąk, jednak zanim odłożyła ją na stos rzeczy przeznaczonych do wyrzucenia, dokładnie sprawdziła metkę z ceną.

— Oj, kochanie, sporo przepłaciłaś.

— Wiem, zabieram ją z powrotem.

— Mogłaś kupić taką samą za połowę ceny w...

— Odcieśli metki.

— A komu potrzebne metki?

— Mnie.

— To dlatego zawsze jesteś bez grosza.

— Nie mam pieniędzy, bo ich nie zarabiam.

— Okay. Skończmy tę rozmowę. Żadnej z nas nie wyjdzie na dobre.

Sara podniosła zielony sweter i przed odrzuceniem zerknęła na jego wzór.

— Jesteś zła.

— Nie.

— Poznaję, że ludzie tłumią gniew, kiedy wyrzucają wszystko lub nie chcą się pozbyć niczego.

— Powiedziałas, że wyrzucanie wychodzi na zdrowie.

— Nie takiego ładnego sweterka.

— Dobrze, zatrzymam go.

— Robisz ze mnie idiotkę.

— Mamo, proszę cię.

Sara przewróciła oczami na znak protestu. Wreszcie obie spokojnie zajęły się mechanicznymi czynnościami usuwania i porządkowania. Sara za nic by się do tego nie przyznała, ale nie mogła odmówić matce racji. Widok uporządkowanej szafy tuż po przebudzeniu na pewno doda jej mnóstwo energii. Starannie poukładane buty wdychały z zadowolenia w swoich bezpiecznych, szczelnych pudełkach. Swetry leżały na stosikach pod pieczą cedrowych płytek przeciwmolowych. Potem nastąpił satysfakcjonujący, acz zaprawiony kroplą goryczy finał, gdy ostatnia rzecz należąca do Paula wylądowała pod łóżkiem w zamkniętej próżniowo torbie.

— Co to takiego? — spytała matka, zauważywszy niewielki karton z pierwodrukami Paula.

— To Paula. Nie zdążyłam mu wysłać — wyznała zmieszana Sara.

— To będzie wspaniałe zakończenie dnia! Zanieśmy tę paczkę na pocztę.

Sara uśmiechnęła się przyzwalająco, że zmartwienia brakowało jej sił. Czy nie mogły poprzestać na szafie? Wysłanie książek oznaczało, że to naprawdę koniec, i to absolutny, czego Sara nie była jeszcze w stanie w pełni pojąć. Matka jednak patrzyła wyczekująco, stojąc z rękami wspartymi na biodrach. Oczekiwała kolejnego kroku ku poprawie stanu psychicznego córki. Cóż było robić? Sara skinęła potakująco głową, a gdy matka wyszła do łazienki, ukradkiem wyciągnęła z kartonu egzemplarz *Na dzień w Paryżu i w Londynie* i ukryła go w sypialni. Nie należała do osób, które zbyt szybko rezygnują.

— Mogę ci coś zasugerować? — odezwała się matka w kolejce na poczcie. Sara kiwnęła potakująco głową. — Ten cały — nie wiem, jak to nazwać — styl Brontë: długie włosy, tyle ciemnych swetrów! Kochanie, włóż od czasu do czasu coś jaśniejszego. Masz taką śliczną buzię — te kości policzkowe — i ładną, szczupłą sylwetkę. Dlaczego nie miałabyś jej pokazać? Chowasz się w tych burych kolorach, one cię przytłaczają. Może pora coś zmienić? To podziałałoby oczyszczająco. Tak sobie tylko myślę. Czy powiedziałam zbyt wiele?

Sara pokręciła głową i smutno się uśmiechnęła. Uniosła paczkę i położyła ją na okienku pocztowym. Urzędniczka obojętnie i rutynowo przyjmowała wartościową przesyłkę ekspresową, dopóki Sara nie wymieniła wymaganej kwoty ubezpieczenia.

— Cholera, dziewczyno. — Kobieta w okienku aż gwizdnęła. — Co ty tam masz?

— Książki — odparła Sara.

— A niech mnie. — Urzędniczka była pod wrażeniem. — Muszą być nie byle jakie.

Sara przytaknęła i uśmiechnęła się.

— Wiesz, co mi przyszło na myśl? — spytała matka z niebezpieczną nutką olśnienia w głosie.

— Lunch? — zgadywała dziewczyna.

— Zmiana fryzury — zaproponowała matka. Uporządkowana szafa wzbudziła w niej gorączkową chęć pójścia za ciosem. Tryskała pomysłami. — Zrzućmy trochę balastu!

Sara uśmiechnęła się niepewnie, po czym stwierdziła: dlaczego nie? Szafa naprawdę sporo zmieniła. Nie ma powodu sprzeczać się z profesjonalistką.

Wieczorem, z uczuciem lekkości (musiała to przyznać), jakiego nie doświadczyła od z górą dziesięciu lat, Sara spotkała się z panem Emmonsem.

— Według mnie problem polega teraz na tym, że nie mamy fabuły.

— Tak — zgodziła się dziewczyna. Pan Emmons był niższy, niż jej się zdawało, zapewne pod wpływem wspomnień o jego heroicznym zachowaniu. Przypominała sobie jednak skoncentrowane spojrzenie, którym ją obdarzał.

Emanował czystością, świeżością i powagą — począwszy od białej koszuli, a skończywszy na nerwowym postukiwaniu stopą, które Sara skojarzyła z głodem nikotynowym.

— Zmieniła się pani — wyznał wreszcie pan Emmons.

— Obcięłam włosy — wyjaśniła dziewczyna, przeczesując dłonią nową fryzurę i targając ją z zażenowaniem. Włosy były krótkie jak u Jean Seberg, zgodnie z radą Claire. Sarze było z nimi do twarzy. Doskonale o tym wiedziała. Jedyne minus polegał na tym, że Claire na pewno przypisze sobie całą zasługę.

— Ale to niekoniecznie musi nam przeszkadzać.

— Co takiego, moja fryzura?

— Nie, brak fabuły. Owszem, to przeszkoda, ale można ją pokonać. A fryzura jest wspaniała.

— Pan się lepiej zna na filmie — zastrzegła się Sara.

— Ale pani zajmuje się tym tematem — dodał kurtuazyjnie pan Emmons. — Śliczna bluzka, świetnie pani w tym kolorze.

— Tak pan sądzi? — spytała Sara z dobrze udawaną obojętnością, spoglądając na zieloną bluzkę od Armaniego, na którą właśnie wydała równowartość swoich tygodniowych zarobków.

— Widzi pani, przyznaję, że to wyjątkowo niekonwencjonalne postępowanie, jeśli chodzi o wprowadzanie nowego projektu, ale zaczynam mieć naprawdę silne przeczucie, że się uda.

— A akupunkturzystka doradziła panu, by się nim kierować?

— Boże, brzmi tak typowo dla LA, prawda? — Pan Emmons przewrócił oczami z politowaniem dla siebie samego.

— Tu też nie brakuje akupunkturzystów — łagodziła sytuację Sara.

— To nie to samo. W każdym razie dziękuję. — Mrugnął do niej pan Emmons. — Dobrze się z panią rozmawia. I wytyka mi pani, kiedy gadam bzdury. To mi się podoba.

Sara skinęła głową. Czuła się niepewnie, zagłębiona w ogromnym białym fotelu hotelowego baru. Rozejrzała się wokół i dostrzegła parę Niemców w skórzanych ubraniach, pochyloną nad rubryką filmową „Timesa”. Pan Emmons podążył za jej wzrokiem i dyskretnie się ku niej przechylił.

— Za rok będą szukać naszego filmu — szepnął konspiracyjnym tonem. Uśmiechnął się ciepło, by ją uspokoić.

— Jeśli wymyślimy fabułę — przypomniała mu dziewczyna.

— To drobiazg.

Kelnerka z odsłoniętym brzuchem postawiła przed nimi drinki.

— Proszę bardzo — wycodziła lodowato, zanim jej podziękowano.

Pan Emmons uśmiechnął się z zachwytem.

— Za to uwielbiam Nowy Jork — powiedział, gdy odchodziła przyjąć zamówienie Niemców.

— Za co?

— Za to, że nikt się tu nie sili na skrywanie niechęci. Wszyscy zazdroszczą innym pieniędzy, pracy, mieszkania i tak dalej i nikomu się nie chce z tym kryć.

— Nie jestem pewna, czy to dobrze — powątpiewała Sara.

— Dlaczego nie? A jaka jest alternatywa? LA? Tam wszyscy udają, że świetnie im się wiedzie, że sprawy idą zgodnie z planem, grają spokojnych i zadowolonych, gdy tymczasem właśnie utopiono ich najnowszy projekt. Stąd tyle wypadków. Od tego pozytywnego nastawienia ludzie po prostu wariują.

— W Nowym Jorku też są wypadki — zaprotestowała Sara.

— Nie tyle, ile w LA.

Pan Emmons wychylił się do przodu, wspierając podbródek na złożonych jak do modlitwy dłoniach. Sara dostrzegła, że spojrzenie jego szaroniebieskich oczu koncentruje się na czymś nieokreślonym. Z jego zaczesanych do tyłu włosów wymknął się niesforny kosmyk, a pan Emmons odgarnął go z irytacją, bo zakłócił tok jego myślenia. Zachowywał się poważnie, niemal jak duchowny.

— Chciałbym opowiedzieć historię miłości — powiedział.

Sara zagryzła wargę.

— Proszę.

— Nie, nie. Chodzi mi o film. Chcę w nim opowiedzieć o miłości.

— Ach, tak — westchnęła Sara z lekkim uśmiechem.

— Mówię serio. Ostatnio miałem wypadek na nartach — dodał znacząco.

— Przykro mi.

— Niepotrzebnie, to było wspaniałe. Dzięki niemu moje życie zupełnie się zmieniło. Widzi pani, leżałem na stoku z niezbyt wdzięcznie wykręconą nogą i zastanawiałem się, czy ktoś mnie w ogóle odnajdzie. Nagle, przysięgam na Boga, to zabrzmia ckliwie, ale przyrzekam, że usłyszałem głosy przodków. Słyszałem, jak mnie wołają.

Sara skinęła głową.

— Przysięgam, że tak było. A potem pomyślałem: świetnie, no cóż, to koniec. Jeśli zmarli przodkowie nawołują, to już po wszystkim, *goodnight, Vienna*, rozumie pani? Ale potem zacząłem się martwić o swój pogrzeb, wie pani, kto będzie przemawiał, i przyznaję — uśmiechnął się zażenowany — niepokoiłem się, czy zjawią się jacyś żalobnicy.

Sara wybuchnęła śmiechem.

— Później zastanowiłem się nad przyszłością: co będą o mnie myśleć za dziesięć, dwadzieścia czy sto lat, jaką „spuścizną” — wiem, to pretensjonalne słowo — po sobie pozostawię? Co ludzie będą na mój temat wiedzieć?

Sara nie miała serca sprowadzać go na ziemię — do teraźniejszości. W końcu ją zaprosił, a ona nawet dokładnie nie wiedziała, kim on właściwie jest.

— W każdym razie od tego wszystko się zaczęło. To znaczy, jestem bardzo wdzięczny, że odniosłem sukces. Nieźle sobie żyłem, najpierw rozwaląłem, a potem znajdowałem bohatera, który ocalał świat, ale... widzi pani, można długo konstruować coraz lepsze pułapki na myszy, dopóki człowiek się nie zastanowi, kto jest myszą, a kto pułapką, prawda?

Sara przytaknęła z niepewną miną.

— Liczy się tylko miłość — skonstatował. — Chcę zrobić coś szczerego, prostego i prawdziwego. Chcę opowiedzieć o miłości. To ma wielką wartość. Świat jest tak cyniczny, więc tęskni się za czymś takim, prawda? Za szczerą, czułą historią miłosną. Bo w gruncie rzeczy najważniejsza jest miłość. Prawda?

Sara nagle się zaniepokoiła. Siostry Brontë wiodły przyzwoite życie zakończone przedwczesną śmiercią. Czy oczekiwania filmowców nie są jednak zbyt wygórowane?

Czy nie obędzie się bez seksu, kazirodztwa, samobójstwa, a może i zdrady małżeńskiej? Branwell, rzecz jasna, wpadał w tarapaty, ale nawet Sara zdawała sobie sprawę, że żadna wytwórnia nie sfinansuje filmu o niespełnionym, zapijaczonym pisarzu, którego imię kojarzy się ludziom z płatkami śniadaniowymi. Musiała powiedzieć o tym panu Emmonsowi. Natychmiast. Miała obowiązek to zrobić dla samej siebie, rodzeństwa Brontë, światowej kinematografii i przodków Byrne'a Emmonsa.

— To nie jest materiał na film — wyznała drżącym głosem.

— Ależ rodzina Brontë musiała przeżyć coś ciekawego.

— Cóż, byli interesującymi ludźmi, ale nie robili nic szczególnego poza pisaniem i umieraniem.

— Mamy problem. A Charlotte? Prawie nawiązała romans?

— Nawet nie prawie. Była w końcu porządną córką pastora. A profesor miał żonę. Myślę, że był ciekawą postacią jedynie dlatego, że pełni funkcję swoistego kamienia z Rosetty dla całej jej twórczości, jej

nowoczesnego bohatera romantycznego, zasadniczo przyzwoitego mężczyzny z przeszłością. Właściwie to bardzo modny pomysł — romans faceta po przejściach...

— Zupełnie w stylu filmu noir!

— Raczej nie, chodzi o dobrego człowieka w złej sytuacji...

— Ależ tak — rzucił podekscytowany pan Emmons. — Bardzo nowoczesne!

— To historia mężczyzny, który tkwi w nieudanym małżeństwie, a ratuje go miłość młodej guwernantki.

W rzeczywistości — w życiu — nic takiego jednak nie zaszło. W każdym razie nie w sensie, o którym pan myśli.

— A pozostali?

— Emily właściwie żyła marzeniami — była cicha, nieśmiała i nieco dziwna. Anne to ciekawa pisarka, ale nic spektakularnego jej się nie przytrafiło. Kiedyś zwolniła się nagle z posady guwernantki, prawdopodobnie z powodu brata Branwella, też guwernera, który zaangażował się w romans z żoną pracodawcy.

— To już coś!

— Uciekł z ukochaną, ona go porzuciła, a po śmierci męża wyszła za bogatego wdowca.

— A co zrobił Branwell?

— Zapił się na śmierć.

— Przydałoby się coś bardziej optymistycznego.

— Umiera Branwell, trzy miesiące później Emily, a po kolejnych trzech miesiącach również Anne.

— Myślałem, że pierwiastek miłosny będzie miał większe znaczenie. — Pan Emmons oskarżycielsko wpatrywał się w swojego drinka.

— Przykro mi, ale go nie ma — przyznała z poczuciem winy Sara. Z przejęcia aż pobladła. — Przepraszam — powiedziała i bez przekonania wzruszyła ramionami, czując nagle ogromny ciężar odpowiedzialności za przygnębiające życiorysy rodzeństwa Brontë, będące raczej kiepskim materiałem na film.

Pan Emmons wziął głęboki oddech i zrobił coś, co ją zdumiało. Zbył wszystko machnięciem ręki.

— Pomysł jest bardzo dobry, a nazwiska znane.

— Czyż nie to właśnie się liczy? — spytała z ulgą Sara.

Pan Emmons wygłosił tyradę o skomplikowanym układzie napiętych terminów, który jakimś cudem umożliwiał swobodną pracę nad filmem od połowy maja do końca czerwca. Aktorka miała w planach thriller techniczno-medyczny, lecz doradcy uznali proponowaną jej rolę genialnego neurochirurga za zbyt mało rozbudowaną, więc się wycofała. Bardzo się interesowała — więcej, nawet fascynowała — rodzeństwem Brontë, dziewiętnastym stuleciem i możliwością zaprezentowania pełni swoich umiejętności aktorskich.

Reżyserowi właśnie urodziło się trzecie dziecko, a żona zagroziła mu, że odejdzie, jeśli zaangażuje się do kolejnego filmu, który będzie wymagał spędzenia roku przy cysternie w Meksyku. Kobieta z wytwórni z kolei — wielbicielka Brontë — przez zapewne krótką chwilę na stanowisku kierowniczym, mogłaby pilotować ten projekt, co ułatwiłby dodatkowo entuzjazm naszej aktorki.

Emmons wyjaśniał, że takie rzeczy zajmują zwykle mnóstwo czasu. Przygotowanie projektu trwa latami, a nawet wtedy, gdy wydaje się już bliski realizacji, jedno tak przecież częste przesunięcie kadrowe

może posłać go z powrotem do szuflady. Niemniej od czasu do czasu wszystko przebiega lotem błyskawicy — elementy układanki tworzą całość, zwykle kosztem niepowodzenia innych projektów, i *voilà!* Należało jednak działać bardzo szybko.

Potrzebna była jedynie fabuła, a co zrobić, jeśli jej bohaterowie nie spełniają filmowych kryteriów? Do diabła z nimi. Kim były te Brontë, głupiutkie dziewczynki żyjące niemal w celibacie, by stanąć na przeszkodzie panu Emmonsowi, gdy wszystkie inne okoliczności okazały się tak kosmicznie pomyślnie? Jeśli ich losy były nieciekawe, należało je ubarwić.

— Wiem! — krzyknął i pewnym ruchem — niczym heros o nadludzkich możliwościach — wyciągnął z kieszeni telefon. Zabrał się do dzieła, wybierając numery, wysyłając wiadomości, przebijając się przez kordony sekretarek za pomocą protekcyjnego, pewnego siebie, a zarazem poufałego tonu głosu. Telefon był dla Byrne'a Emmonsa niczym opera dla Mozarta czy fizyka dla Einsteina. Jako istny wirtuoz potrafił wykonać koloraturę na jego klawiaturze, a gdyby go o to spytać, przyznałby, że chwile spędzone na rozmowach telefonicznych, te błogosławione, rzadkie momenty, kiedy wszystko cudownie się układało, uważał za najszcześniejsze w życiu. Przypominało to kontrolę naziemną: wystarczyło nacisnąć właściwe przyciski, mieć odpowiednie wiadomości, opowiedzieć o nich w należytej kolejności, a czasami — gdy szczęście sprzyjało — można było osiągnąć zamierzony cel. — Świetnie! — rozpromienił się pan Emmons, chowając telefon. — Nykki wyszła z odwyku.

— Kim jest Nykki?

— Pisarką. Wspaniałą. To z nią panią pomyliłem. Ma kobiece podejście, wie pani, dowcipna, wrażliwa. Właśnie skończyła kurację odwykową i nikt nie ma ochoty dać jej kolejnej szansy, więc możemy ją mieć za grosze. — Zachichotał radośnie i znów sięgnął po telefon, na moment unosząc wzrok, by zadać pytanie. — Odpowiada pani hiszpańska kuchnia?

— Tak — zapewniła Sara.

Zjedli w niewielkim barze tapas w Chelsea, który pan Emmons zawsze odwiedzał, będąc w Nowym Jorku. Rozmowa przy kolacji przerodziła się w niejasny ciąg nielogicznych wywodów i sprzecznych twierdzeń pana Emmonsa na temat jego dzieciństwa — wspaniałego, a zarazem okropnego — oraz Los Angeles, które roilo się od oszustów, a jednocześnie można było w nim spotkać najszcześniejszych na świecie ludzi, a także opowieści o tym, jakim wspaniałym facetem jest Mel Gibson. Jego paplanina wydała się Sarze wzruszająca, a nawet przejmująca, w swym ciągłym dążeniu do górowania, przymilania się, wywierania wrażenia. Polubiła go. Zapalała też entuzjazmem do projektu Brontë.

Siedzieli obok sporego towarzystwa — turystów z kraju, którego języka Sara nie zdołała zidentyfikować. Gdy się rozkręcili, zdawało się, że cała restauracja trzęsie się od ich śmiechu i nagłych wybuchów radości z tak błahych powodów jak właśnie podany półmisek krewetek.

Sara i pan Emmons uśmiechali się do siebie poirytowani — nieco zbyt długo. Chwilę czułości przerwała struga sangrii, która zniszczyła opłaconą tygodniowymi zarobkami bluzkę Sary.

— Przepraszam! — krzyknęła kobieta przy sąsiednim stoliku z mieszaniną zakłopotania i obojętności.

Natychmiast podbiegła kelnerka i posypała płamę solą.

— To działa! Naprawdę — zapewniła.



— To Armani, a nie torba popcornu — zauważył zdenerwowany pan Emmons.

— Ja tylko pomóc — wyjaśniła łamaną angielszczyzną kelnerka, wycofując się.

— Przykro mi, Saro. Mam nadzieję, że pozwoli mi pani ją odczyścić — powiedział, szukając portfela.

Szybko uregulował rachunek i wyprowadził dziewczynę z restauracji.

— Zgłoszę się jutro po bluzkę — przypomniał jeszcze w taksówce.

— To drobiazg. Mam ją od dawna — skłamała Sara.

Pan Emmons nalegał, by odwieźć ją do domu. Nie była pewna, czy nie zechce wejść na górę. Obawiała się niezręcznej sytuacji. Nic takiego się jednak nie stało.

— Zatem dobranoc — pożegnał ją, gdy taksówka zatrzymała się przed budynkiem.

— Bardzo się cieszę, że znów się spotkaliśmy. — Sara położyła nacisk na „znów”. — Kiedy pan wyjeżdża?

— Jutro rano. Wkrótce się odezwę. Chcę, żeby jak najszybciej poznała pani Nykki. Razem zabierzecie się do pisania i zrobimy z tego film. Co pani na to?

Sara uśmiechnęła się, próbując sprawić wrażenie osoby, która regularnie prowadzi takie rozmowy.

— Brzmi nieźle.

Pan Emmons odwzajemnił jej uśmiech i z galanterią odczekał, aż otworzy drzwi i wejdzie do środka.

Rano dostarczono jej bukiet kwiatów i identyczną nową bluzkę. Sara z zakłopotaniem stwierdziła, że po jej policzkach płyną łzy szczęścia.

## Zwracam się do pana

*Gdy mówię po francusku, zdaje mi się, że zwracam się do Pana.*

Charlotte Brontë, list do profesora Hegera, 1845

Droga panno Frost,

Piszę w odpowiedzi na pani ogłoszenie. Jestem w posiadaniu listu od Ch. Brontë, który mógłby panią zainteresować. Czy przedstawia on jakąś wartość? Proszę się ze mną skontaktować pod podanym niżej numerem telefonu, by umówić się w celu obejrzenia listu.

Szczerze oddana,

Evelyn Wright

Droga pani Wright,

Jestem bardzo zadowolona listem, o którym pani wspomina. Szczerze powiedziawszy, może się on okazać bardzo cenny dla mnie i innych badaczy rodziny Brontë. Zadzwoń, by umówić się na spotkanie w jak najwcześniejszym dogodnym dla pani terminie. Bardzo chętnie obejrzę ten list i jestem ogromnie wdzięczna, że odpowiedziała pani na mój apel.

Z poważaniem,

Sara Frost

— Czy nie miała pani problemów z gangami? — spytała w progu kobieta.

— Przepraszam, nie zrozumiałam. — Sara weszła za nią do środka. W kuchni ryczało radio nadające program z udziałem słuchaczy. Z sąsiedniego pokoju konkurował z nim włączony telewizor.

— Nazywam się Wright.

— Sara Frost. Bardzo dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas.

— Coraz więcej ludzi uzależnia się od kokainy — powiedziała znacząco pani Wright, prowadząc Sarę do kuchni. Kobieta miała na sobie różowy bliźniak, który marszczył się na biodrach. Usta wysmarowała kiepską, jaskrawą szminką.

— Czy zastałam też pana Wrighta? — spytała Sara, wskazując na salon w końcu korytarza, z którego dobiegał hałas. Łudziła się, że dzięki temu kobieta poprosi o ściszenie telewizora.

— Uchowaj Boże. Zmarł osiem lat temu. Nie powinna pani chodzić w pojedynkę, taka ładna dziewczyna. Nie w tej dzielnicy.

Sara kiwnęła potakująco głową. Pani Wright mieszkała w East Eighties, dzielnicy, której wojny gangów były tak obce jak to tylko możliwe. Zaprzeczaniem jednak nic by tu nie wskórała.

— Mogłaby pani otworzyć? — Pani Wright artretycznymi rękoma podała Sarze butelkę białego wina i korkociąg.

— Oczywiście.

Siedziały w salonie z ustawionym w kącie wielkim ryczącym telewizorem. Nadawano właśnie talk show na temat seksualnych wyczynów pewnego mężczyzny, jego żony i jej siostry, która od czasu do czasu szła z nim do łóżka z powodu otyłości prawowitej małżonki. Program nosił trafny tytuł *Pomocy! Moja żona jest taka gruba, że musiałem sypiać ze szwagierką*. Gdy Sara z panią Wright zasiadły na wiklinowych krzesłach przy zalanym słońcem wykuszowym oknie, jakaś kobieta na telewizyjnej widowni wygłaszała swoje zdanie na temat zdzirowatej natury całej trójki.

— Dziewczyno, ale z ciebie dziwa. A z ciebie opasła dziwa. Na mój rozum, tylko taka między wami różnica. — Tłum zaryczał z aprobatą.

Na pozór obojętna pani Wright pociągnęła spory łyk wina. Sara nie mogła się już połapać, czy jest głucha, pomyłona czy też jedno i drugie.

— Proszę się częstować ciastkami. Sama piekłam. — Było to dość dziwne stwierdzenie, zważywszy na to, że przed chwilą Sara pomogła jej wyłożyć je z pudełka na talerz. Wariatka, ani chybi. — Niech się pani napije. — Pani Wright opróżniła już pół kieliszka, a wiedziona poczuciem przyzwoitości Sara poczuła się zobowiązana dotrzymać jej kroku. Upiła mały łyk wina. Było okropnie słodkie, niemal jak syrop. — Smaczne, prawda? Cena nie ma dla mnie znaczenia. Powtarzam tym snobom: „Dajcie mi coś, co po prostu dobrze wchodzi”.

Sara słabo ją poparła, a pani Wright napełniła swój kieliszek i dołała trunku dziewczynie.

— Mam córkę narkomankę.

— Przykro mi.

— Nigdy mnie nie odwiedza. To dobrze. I tak nie chcę jej widzieć.

Zaczęło się. Sara musiała zapłacić za możliwość oglądania zaginionych listów u zapomnianych wdów. Nieźle sobie z tym zresztą radziła. Ku przerażeniu Sary, jej spokojne usposobienie skłaniało kobiety do zwierzeń. Poczytywały jej powściągliwość za oznakę uczciwości, brak wścibstwa. Zasypywały ją nie kończącymi się rodzinnymi opowieściami: o wdowieństwie, córkach narkomankach, absztyfikantach cierpiących na impotencję. W końcu zawsze do tego dochodziło.

Sara rzeczywiście współczuła pani Wright, chciała pomóc wszystkim tym wdowom. Zanim się jednak spostrzegła, litość zmieniła się w strach, że sama dołączy kiedyś do ich grona. Wszystkie śledziły tabele ryzyka wypadków losowych, musiały więc zdawać sobie sprawę, że według statystyk wdowieństwo to coraz powszechniejszy stan. Nieodmiennie były nim jednak zaskoczone, nawet gdy już się godziły z rzeczywistością. Chodziły co tydzień do fryzjera i odkrawały skórki chleba, choć nikt już tego nie potrzebował.

— ...więc jej powiedziałam: nie życzę sobie, żebyś tu sprowadzała swoich brudnych facetów. I wie pani, jak mnie nazwała? — Pani Wright zniżyła głos do szeptu. — Suka.

Wyprostowała się na krześle, jakby dopiero co złożyła najbardziej obciążające zeznanie na procesie norymberskim.

— Sprawdź, czy mam jeszcze jedną butelkę — powiedziała pogodnie.

Sara zorientowała się, że pani Wright zdołała osuszyć poprzednią przy bardzo niewielkim jej udziale. — Chyba lepiej...

— Oczywiście. Przypuszczam, że chciałaby pani zobaczyć list.

— Cóż, owszem. Dziękuję.

— Podam pani rękawiczki.

Sara ucieszyła się, że pani Wright wiedziała, jak się obchodzić ze starymi dokumentami. Może — mimo jej dziwactwa — będzie miała do czynienia z oryginałem. Nigdy nie wiadomo.

— Proszę bardzo. — Pani Wright wręczyła jej parę rękawic, które wyglądały jak niewydarzone ocieplacze do dzbanka z herbatą. — Miałam inne, ale gangi mi ukradły. — Potrząsnęła głową i wyszła do drugiego pokoju.

Sarze zamarło serce. Zmarnowała kolejny dzień, wysłuchując narzekań jakiejś zwariowanej pijaczki z Upper East Side. Pocieszyła się, że przynajmniej nie musiała jechać aż do Belgii, by tam doznać rozczarowania.

— Dostałam go od kuzynki z Cork — wyjaśniła pani Wright, powróciwszy do pokoju i umieściwszy na stole solidną szkatułkę. — To w Irlandii.

— Wiem.

— No, a ja nie wiedziałam. Nie miałam nawet pojęcia, że mam tam kuzynkę, dopóki nie umarła. — Pani Wright przebierała w fotografiach i listach, które pozostały po nie znanej jej kobiecie. — Właściwie nie wiem, dlaczego sądzili, że mogłoby mi na tym zależeć, ale... — Wyciągnęła niewielką szarą kopertę i gołą ręką wyjęła jej zawartość. — Nie rozumiem, co tu napisane. To po francusku. Ale kiedy zobaczyłam pani ogłoszenie, pomyślałam, że może panią zainteresuje. Może to coś warte?

Jedna z siostr w telewizji wybuchnęła płaczem. Wyznała, że utyla, bo mąż jej nie kocha. A teraz jej nie kocha, bo ma nadwagę. Życie jest okropne, naprawdę. Po prostu wstrętne. Publiczność westchnęła, ocierając

oczy. Gospodyni programu, która przez całe trzydzieści pięć minut drażniła kobietę, weszła teraz na scenę i obdarzyła ją czułym, macierzyńskim uściskiem.

Sarze zadrżała ręka, gdy odbierała list od pani Wright. Po francusku. Z Irlandii. Charlotte zawsze pisała do profesora Hegera po francusku. Po jej śmierci owdowiały Arthur Nicholls przeprowadził się do Irlandii, uciekając przed wielbicielami jej twórczości, którzy dosłownie pielgrzymowali do ich domu. Zadbał jednak o to, by zniszczyć jej listy.

Sara ostrożnie rozwinęła niewielką kartkę, co nie było łatwe ze względu na ocieplacze na rękach. List był jednostronicowy, wyglądał na stary i napisany charakterystycznym ciasnym i drobnym pismem Charlotte. Jeśli ktoś go sfalszował, zrobił to doskonale. Sara wstrzymała oddech. Przebiegła wzrokiem tekst, pospiesznie tłumacząc. Data — grudzień 1845, miesiąc po ostatnim znanym zachowanym liście — była pierwszym sygnałem, że ma do czynienia z czymś wyjątkowym. Nikt nawet nie przypuszczał, że istniała dalsza korespondencja...

*grudzień 1845*

*Od mego ostatniego listu upłynął ledwie miesiąc. Tuszę, że ruga mnie Pan za niecierpliwość. Jednakże, jak już Panu pisałam, Jego listy są całym moim życiem.*

Na dole list się urywał:

*...każdy dzień upływający bez wiadomości od Pana pogrąża mnie w coraz głębszej rozpacz. Jakże się staram o Panu zapomnieć. Te dni zaprzętają moje myśli i powtarzam sobie...*

Dlaczego przerwała? Czy ktoś odwrócił jej uwagę, a po zastanowieniu zmieniła zdanie i nie dokończyła listu? Tak dbały o pośmiertną reputację Charlotte Arthur Nicholls pewnie by zniszczył jej wczesny list miłosny do żonatego mężczyzny. Chyba że nie znał francuskiego. Dlaczego jednak list znajdował się w posiadaniu Charlotte? Mogła go nie wysłać.

— Czy to coś warte? — spytała pani Wright, odwracając uwagę od telewizji.

— Możliwe.

— No proszę! A prawie go wyrzuciłam. Myśli pani, że dużo za niego dostanę?

— Jeśli jest autentyczny, mógłby... miałby nieocenioną wartość badawczą.

— A finansową?

— Również. Myślę, że jest dość cenny. Właściwie nawet bardzo.

— Jak pani myśli, ile?

— Cóż, w Sotheby's sprzedano ostatnio list o nieporównywalnie mniejszej wartości za blisko czterdzieści tysięcy.

— Dolarów? — dociekała zdumiona pani Wright. Wydała krótki okrzyk radości. — Całe szczęście, że wyrzuciłam córkę, zaraz by go sprzedała na kokainę.

— Nie wiem, czy mogłaby go spieniężyć gdzieś na ulicy, jednak rynek pamiątek literackich kwitnie. Rzecz jasna, nie mam pewności, że to oryginał. Należałoby potwierdzić jego autentyczność. Ale sądząc po dacie i charakterze oraz biorąc pod uwagę jego znaczenie w życiu i twórczości autorki, uznałabym, że jest bardzo cenny. Oczywiście istnieje jeszcze możliwość podarowania go...

— Podarowania?

— Uniwersytetowi albo jakiemuś muzeum. Mogłabym panią skontaktować z Muzeum Brontë w...

— Dlaczego miałabym go oddawać?

— Jak już mówiłam, jeśli jest autentyczny, przedstawia ogromną wartość dla instytucji badawczych, takich jak moja uczelnia i wiele innych...

— Rozumiem — ucięła pani Wright, cynicznie marszcząc brwi.

— Chcę tylko powiedzieć...

Kobieta odebrała Sarze list i wcisnęła go do kieszeni swetra.

— Radziłabym przechowywać go w zaklejonej...

— Chyba muszę porozmawiać z prawnikiem — oświadczyła wyniośle pani Wright. Była może odrobinę wstawiona, ale wiedziała, jak chronić swój majątek przed jakąś kombinatorką z dziwnego uniwersytetu. — Teraz wydaje się pani bardzo miła — przyznała — ale przecież muszę się o siebie zatroszczyć.

— Oczywiście. Jeśli chce go pani wycenić, polecam...

— Sama się tym zajmę.

— Naturalnie. Ciekawa jestem, czy pozwoliłaby mi pani go skopiować?

— Dlaczego? — dopytywała się pani Wright, ściskając list w kieszeni.

— To ważne dla moich badań. Nie chcę go pani zabierać. Tylko...

— Chyba powinnam się najpierw poradzić prawnika.

Sarę rozpieszczała taka radość z odkrycia, że zafundowała sobie powrót do domu taksówką. Z czasem pani Wright na pewno uświadomi sobie konieczność podzielenia się treścią listu. Dziewczyna wiedziała, że głupio postąpiła, ujawniając kobiecie jego przypuszczalną wartość. Dlaczego zawsze musi być tak cholernie uczciwa? List był dla niej istotnym — no, dobrze, najważniejszym — odkryciem. Co jej strzeliło do głowy, żeby powiedzieć tej starej wariatce, ile jest wart? Jeśli to oryginał, upomniała się w myślach. Może mogłaby sama zdobyć na niego pieniądze. Może pan Emmons zapłaci jej czterdzieści tysięcy dolarów za konsultacje związane z filmem. Jeśli list jest prawdziwy.

Jak to się stało, że Charlotte nagle przerwała, nie dokończyła takiego listu? Jej korespondencja z profesorem Hegerem zdradzała ogromne zaangażowanie emocjonalne, szokujące zwłaszcza w przypadku kogoś tak powściągliwego. By stłumić jej namietność, profesor zaaplikował jej ścisłą dietę, pozwalając pisać do siebie raz na pół roku, a i wtedy rzadko odpowiadał. Własność pani Wright potwierdzała jawny bunt przeciwko tym zasadom: Charlotte napisała zaledwie parę tygodni po wysłaniu ostatniego zachowanego listu. Tego jednak nie dokończyła i nie nadała, co sugerowałoby zmianę decyzji, odłożyła go i poszedł w zapomnienie. Skąd ta zmiana? Co tak ostudziło jej zapał, gdy formułowała ostatnie zdanie?

W czasie powstania tego listu zwolniono Branwella z posady — obliczyła Sara. Wrócił do domu z nadszarpniętą reputacją z powodu nieskrywanej kontynuacji romansu z żoną pracodawcy. Charlotte była zbulwersowana jego zachowaniem i surowo go oceniała, przypuszczalnie dlatego, że sama pragnęła czegoś podobnego. Była świadkiem, jak Branwell użalał się nad sobą i pogrążał w rozpacz, co ją zapewne otrzeźwiło — może dostrzegła w tym własną przyszłość — efekt autodestrukcji. W listopadzie 1845 pisała do profesora:

*Wzbronilał sobie całkowicie przyjemności mówienia o Panu... lecz nie mogę uporać się z moim żalem czy niecierpliwością — to w istocie uwłaczające — nie panować nad własnymi myślami, być niewolnicą żalu, pamięci, jeńcem wszechwładnej utrwalonej idei, która tyranizuje duszę.*

To upokarzające być niewolnikiem pamięci, uwięzionym pomiędzy bezpowrotnie minioną przeszłością a niewyobrażalną przyszłością. Taki smutny los spotkał Branwella, a Charlotte widziała coraz mniejszą szansę, by samej go uniknąć. Co więcej, wybranka Branwella okazała się niewarta zachodu. Charlotte wiedziała, że okłamuje jej brata i że jego uczucie zostało — łagodnie rzecz ujmując — niewłaściwie ulokowane. Dostrzegając okiem zdystansowanej obserwarki, jak niemądre były jego zachowanie i miłość. Miała do wyboru: dać się ponieść przyływowi namiętności lub rzucić się w wir pracy.

Wtedy też Charlotte odnalazła poezje Emily — „pobrzmiwała w nich osobliwa nuta — dzika, melancholijna i wzniosła”. Postanowiła, że musi wraz z siostrami poświęcić się pisaniu. Przestała korespondować z profesorem. Pochłonęła ją pierwsza powieść, zatytułowana — zapewne nieprzypadkowo — *The Professor*. List należący obecnie do pani Wright mógł powstać właśnie w chwili, gdy stosując chłodną kalkulację, postanowiła ocalić samą siebie. Co się wtedy stało? Czy Branwell przerwał jej pisanie? Czy uniosła wzrok i zobaczyła kolejny nieuregulowany horrendalny rachunek z miejscowego pubu? A może usłyszała, jak wykuwają nagrobek na pobliskim cmentarzu, i przerażająco jasno uświadomiła sobie, że ma tylko jedno życie? Wybrała przetrwanie, z samej siebie uczyniła swój projekt. Jak pisała później, po śmierci rodzeństwa: *jedynym skutecznym lekiem na głęboki smutek jest praca...*

Sara spojrzała przez okno i uświadomiła sobie, że taksówka już dawno minęła jej dom.

— Ojej! Proszę się zatrzymać!

Weszła do sypialni i zobaczyła Denisa wyciągniętego na łóżku usłanym poduszkami i czasopismami.

— W twojej szafie panoszyli się jacyś faszyści — powiedział.

— Jak tu wszedłeś?

— Nie wiem, jak możesz tak żyć — co rano gapi się na ciebie taka szafa. — Denis zgasił gauloise'a w puszcze po pepsi.

— Otworzyłeś zamek wytrychem?

— A co to są zamki? — spytał, wzruszając ramionami. — Nic nie znaczą.

— Denisie, co ty tu w ogóle robisz?

— Czuję się samotny. Pomyślałem, że chciałbym się z tobą kochać. Masz okropne pisma. — Zapalił kolejnego papierosa.

— Chcę, żebyś sobie poszedł.

— Claire nie wie, że tu jestem.

— Denisie... — Sara pragnęła podzielić się z kimś swoim odkryciem, a jednocześnie nie miała ochoty na towarzystwo.

— Nawet o tym nie pamiętasz. Ani ja.

— Czego nie pamiętasz?

— Tamtego wieczoru. On jest w moim wierszu, ale tak naprawdę nic nie pamiętam.

— Mówiłeś, że nic się nie stało — zaczęła niepewnie Sara.

— Faktycznie nie mam pojęcia. Byłem pijany.

— No cóż, ja także.

— Ilu kochankom uprawiającym ze sobą seks po raz pierwszy udaje się aż dwa razy?

— Żadnemu.

— Ten facet jest homoseksualistą.

— Kto? — spytała Sara, a potem jej się przypomniało. Burke. — Aha.

— I narkomanem.

— Denisie...

— Wiesz, jesteśmy z Claire tylko przyrodnim rodzeństwem.

— Nie obchodzi mnie to.

— Byron kochał się ze swoją przyrodnią siostrą. — Denis wbił wzrok w stronę poświęconą modzie.

Wyglądał na zmęczonego. — Ale chyba też był narkomanem.

— To nie ma znaczenia.

— Czy nie dlatego nie chcesz się ze mną spotykać? Co ten homoseksualista ci nagadał?

Sara poczuła przypływ tęsknoty i rozplakała się.

— *Chérie*, co on ci naopowiadał?

— Nic — wykrztusiła Sara.

Nic na ten temat — chciała dokończyć. Była szczęśliwa. Szczęśliwa, że znalazła list Brontë. Jeśli to oryginał, napominała się, jeśli tylko to oryginał. Miała ochotę zadzwonić do Byrne'a Emmonsa i podzielić się z nim tą radosną nowiną, ale on pewnie też by nie zrozumiał wagi tego wydarzenia. Przecież nie dodawało fabule pikanterii. Jediną osobą, która potrafiła to zrozumieć, był Paul, ale on związał się teraz ze stypendystką Fulbrighta i modelką prezentującą kostiumy kąpielowe, a Sara siedziała tu z Francuzem rozsypującym popiół z papierosa na ich łóżko — jakie to przygnębiające. Dlatego zaczęli się kochać.

Denis sądził, że płakała, kiedy uprawiali seks, bo ma czułe serduszko pensjonarki. Te Amerykanki, pomyślał z uznaniem, tyle to dla nich znaczy.

Gdy jego palce błądziły po jej ciele, Sara zastanawiała się, czy naprawdę zostali kiedyś z Claire kochankami. Jaka ona była w łóżku? Czytała gdzieś, że ludzie, którzy wciąż mówią o swoim apetycie erotycznym, w rzeczywistości są pod tym względem nijacy. Denis musiał poczuć, że myśli o czymś innym, bo obrzucił ją spojrzeniem przepelnionym urazą i irytacją.

„Ludzie są albo czarujący, albo nudni”. Oscar Wilde. Mniej więcej tak brzmiałoby credo Denisa. Sara stawiała się nużąca. Odsunął się od niej i poszukał na podłodze papierosów.

— We Francji — zaczął, patrząc w sufit i wypuszczając kłęb dymu — kochamy się całym ciałem i całą duszą.

Sara poczuła się idiotycznie. Otarła głupiutkie amerykańskie łzy i w pełni odczuła, że nie udało jej się go oczarować. Leżeli w milczeniu po obu stronach łóżka.

— Co z tobą? — Wzruszył ramionami Denis. — Jesteś na lekach przeciwdepresyjnych?

— Co takiego? Nie — zaprzeczyła Sara. — To po prostu pierwszy raz... Byłam z Paulem przez... Zresztą, nieważne. Chyba jednak powinnam brać coś na depresję.

— Claire uważa, że musisz mieć kilku kochanków. A ja sędzę, że poza mną nikogo nie potrzebujesz.

— Tak myślisz? — Claire i Denis omawiają jej życie seksualne? Sara marzyła tylko o tym, by natychmiast się od nich uwolnić...

— Dlaczego ten chłopak wciąż skacze na kiju? — spytał wreszcie Denis.

— Sądziś, że to kij do skakania?

— A co innego? — odparł, wzruszając ramionami. Sara uśmiechnęła się.

— Dlaczego amerykańskiej dziewczyny nie zadowala seks, tylko kij do skakania? Na tym polega wasz problem. — Denis pokręcił głową i strzepnął z piersi popiół. — Opowiedz mi o swoim pierwszym erotycznym doświadczeniu — zażądał jak gdyby nigdy nic, jakby zatrudniał Sarę na stanowisko sprzedawczyni.

— Co? Chodzi ci o pierwszy...

— Nie. To jest zawsze nudne. Powiedz o doświadczeniu, które zrobiło na tobie wrażenie. Przedtem. Albo potem.

— No, nie wiem — zawahała się Sara. Denis uśmiechnął się krzepiąco.

Sara sięgnęła pamięcią wstecz, by wreszcie wyznać:

— Gdy miałam szesnaście lat, dotykał mnie pewien mężczyzna w galerii sztuki.

— Tylko tyle?

— Pozwoliłam mu na to.

— Dlaczego nie?

— To zupełnie nie leżało w moim charakterze.

— Tym lepiej.

— Nie powinnam mu na to pozwolić.

— Powinnaś czerpać z tego przyjemność.

— Bałam się.

— To normalna kolej rzeczy. Nie byłaś sobą.

— Powiedział mi, że podnieca się tylko w obecności wielkiej sztuki. Potem mówił jeszcze, że przy młodziutkich dziewczętach. Reagował wyłącznie na nieletnie i na akwarele. Dał mi dwadzieścia dolarów i kazał trzymać buzię na kłódkę. Był członkiem zarządu muzeum czy jakiejś równie ważnej instytucji. A ja sama tego chciałam.

— I co zrobiłaś?

— Poprosiłam o pięćdziesiąt.

Denis przyjrzał się jej, a zauważywszy błysk w oku, stwierdził:

— Kłamiesz.

Sara wybuchnęła śmiechem. Denis nie spuszczał z niej wzroku, oburzony, a zarazem zachwycony.

— Nie wszystko zmyśliłam.

— A co wydarzyło się naprawdę?

Sara wymijająco wzruszyła ramionami, a Denis ją pocałował. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej takiej bliskości — odczuwania na swoim ciele ciepła czyjejś skóry. Przesuwał dłoń coraz



nizej, aż wreszcie wsunął w nią palec, dotykając z wyczuciem. Ma zbyt wielką wprawę, przemknęło Sarze przez głowę.

— O czym myślisz? — spytał.

— To miłe.

— Ale co sobie myślisz? O czym myśli kobieta, kiedy dotyka jej mężczyzna?

— To ci się przyda do wiersza? — spytała szybko Sara. Dlaczego on tyle gada? Paul nigdy nic nie mówił.

— Chcę o wszystkim wiedzieć.

Sara zastanowiła się nad swoimi myślami. Chciała odpowiedzieć coś seksownego. Gorączkowo myślała.

— Nie wiem. Mam wrażenie, że powinnam powiedzieć...

— Co? — Wsunął palec nieco głębiej... Ciągle gada, pomyślała Sara.

— Hmm. Coś seksownego.

— Prawda jest seksowna. O czym myślą kobiety? — Seks stanowił dla Denisa kolejny sposób prowadzenia rozmowy. Sara właśnie to sobie uświadomiła. Nieodłącznie wiązał się z gadaniem. Denis nie uznawał przerw, które tradycyjnie robili z Paulem na początku czy na zakończenie, dla niego wszystko odbywało się po prostu nieprzerwanym ciągiem.

— Chyba myślimy, że trzeba się spieszyć. To znaczy, tak myślą kobiety. Potrzebujemy mnóstwo czasu.

Denis westchnął. Ach, ci skuteczni Amerykanie i ten ich pośpiech w łóżku. Co za marnotrawstwo seksu. Jego westchnienie odblokowało Sarę. Nareszcie się rozluźniła.

— Chcę się kochać z kobietą — wyszeptał — która potrzebuje zbyt wiele czasu i jest za głośna w łóżku. Tak też uczynił.

Nazajutrz Sarę obudził odgłos kija do skakania. Denis już nie spał, trzymał się żelaznej zasady wypalania przed południem pięciu papierosów. Dziewczyna dostrzegła na parapecie zgniecione niedopałki. Nie wiadomo dlaczego, dobitniej świadczyły o jego obecności niż ukryte w pościeli ciało. Nie mogła się wyzbyć nawyków z monogamicznego związku, więc obserwowała go z poczuciem winy. Seks z kimś innym niż stały partner wydawał jej się obcy, pachniał zdradą. Sara poczuła ciężar braku lojalności w stosunku do Paula, a jednocześnie pomyślała: Przecież on całymi tygodniami mi to fundował, więc dlaczego ja mam się czuć winna?

Jak łatwo być Denisem, przyszło Sarze do głowy. Albo Claire. Na tym to chyba polega. Człowiek budzi się rano w nowej sytuacji i po prostu myśli: jest wspaniale. To taki luksus — dar zachwyty nad prostymi rzeczami. Doświadcza się rozmaitych rzeczy, a potem wznosi ręce i woła: „To niezwykle!” Nie trzeba się liczyć z przeznaczeniem, nie ma misternych konstrukcji ani odkrywania boskiego planu. Przeżywa się tylko niezwykle wydarzenia — jedno po drugim.

— Co teraz zrobimy? — spytała. Denis beztrząsco wzruszył ramionami.

— Gdyby to był film — powiedział — to by coś zmontowali. Zajęlibyśmy się kupą bzdur, z twarzy nie zniknęłyby nam głupie uśmiechy i co chwilę byśmy się całowali.

— Ale to nie film.

— Nie. Musimy rozkoszować się rzeczywistością — dokończył, wydmuchując kłęby dymu. — W każdym razie powinniśmy coś zjeść.

Denis postanowił, że zjedzą lunch w jednej z najdroższych nowojorskich restauracji. Sara czytała o niej w jakimś czasopiśmie. Szef kuchni był Francuzem, a Denis koniecznie chciał zamówić wszystko, co zawierało węzły chłonne, flaki i inne smakołyki, które wymyślili Francuzi, by zrazić do siebie resztę świata. Przy każdej potrawie wykrzykiwał: „Zupełnie jak we Francji!” albo: „We Francji smakuje inaczej!”, po czym nieodmiennie opróżniał talerz. Gdy przyniesiono rachunek, podał kartę kredytową Claire i zdecydował się jeszcze na deser.

— Oczywiście, że Claire jest narcystyczna. Dlaczego nie? — spytał. — Koty zachowują się tak samo. Taki mają charakter, więc jak można je za to winić? Sposób bycia Claire jest dla niej naturalny.

— Tak, ale nie sądzisz, że... Nie wiem.

— Co masz na myśli?

— Że jest... niemoralna.

— Ach tak, Ameryka uwielbia moralizować.

— Nie, nie o to mi chodzi. Po prostu Claire nie uznaje żadnych norm...

— Oprócz tych, które sama stwarza. Doskonale! W takim razie jest znacznie bardziej moralna niż my oboje. Cały czas pozostaje sobą, jest spełnieniem swoich oczekiwań. To bardzo ucziwe. Zawsze interesuje ją tylko to, co ją samą interesuje. To z gruntu moralne. Jedynym grzechem w życiu jest zaniechanie czegoś? Ciekawości! — Denis urwał nagle, zorientowawszy się, że zarówno restauracja, jak i jego kieliszek są puste.

— Możemy się teraz przejść po parku albo postarać o jakiegoś szczeniaka — oznajmił, na zakończenie odrzucając serwetkę.

Sara zaproponowała najpierw przechadzkę, a potem podjęcie decyzji w sprawie kupna szczeniaka. Denis na to przystał. Spacerowali po Central Parku, w dość malowniczej scenerii. Gdy przecinali Sheep Meadow, Sara obserwowała parę Hindusów z synkiem w spacerówce. Chłopczyk z zachwytem rzucał płatki Cheerios łakomym gołębiom, które niemal go obsiadły. Gdy się zbliżały, krzyczał z radości, więc się wycofywały.

Sara przypomniała sobie Bengalczyka, którego znała z college'u, i jego zaaranżowane małżeństwo zaraz po dyplomie. Była tym zbulwersowana.

— A miłość? — spytała go wtedy.

Uśmiechnął się cierpliwie, jakby Sara chciała się dowiedzieć, czy jego rodacy nadal bujają się na lianach w dżungli albo wysysają małpom mózg przez słomkę. Wykonał gest zapewniający, że bez wątpienia jest przy zdrowych zmysłach.

— Człowiek dojrzewa do miłości — tłumaczył.

Sara obserwowała hinduską parę, zastanawiając się, czy pokochali się z czasem, czy może połączyło ich uczucie, zanim się pobrali. Albo też sądzili, że dojrzeją do miłości, a tymczasem się nienawidzili i trzymali razem wyłącznie ze względu na zachwycone gołębiami dziecko i wspólne spacerowanie po parku. Może z czasem sama pokocha Denisa. Jest przystojny i korzysta z kart kredytowych Claire. Wiele hinduskich par z pewnością startowało ze znacznie skromniejszej pozycji i żadna się nie skarżyła.

— Okay, a teraz kupimy szczeniaka? — spytał Denis.

— Raczej nie. Umówiłam się po południu na spotkanie — poinformowała go Sara. Miała się zobaczyć z promotorką w sprawie wciąż niedokończonego doktoratu. Poza tym przed wieczorem zamierzała jeszcze zadzwonić do pani Wright... Popołudnie było zajęte. Brakowało jej czasu na romanse, jeśli można tak określić to, co zaszło między nią a Denisem. Nagle poczuła się bardzo europejsko — kochankowie i spotkania. Co za życie!

— Za każdym razem, gdy ktoś mówi „mam spotkanie”, w niebie umiera anioł. Wiedziałaś o tym? Przez te spotkania niebo pustoszeje.

— Nie miałam pojęcia — roześmiała się.

Denis po galijsku wzruszył ramionami. Jasne, że nie wiedziała. Zabawny jest, pomyślała Sara. Może powinna trochę zaszaleć. Może wróci do domu i wyśle Paulowi ostatni pierwodruk. W końcu przecież romansuje, a nie podpala.

— Co zwykle robisz w tygodniu? — spytała, przypuszczając, że to rutynowa odzywka w świecie miłosnych przygód.

— Nie. Nie będziemy w ten sposób rozmawiać — zaprotestował Denis, wymachując rękami.

— Aha. W porządku.

— Nie mówmy o tygodniach czy planach. Po prostu będziemy w wierszu. Razem. I spotkamy się ponownie wtedy, kiedy mamy się zobaczyć.

Sara się uśmiechnęła.

— Czy to działa na wszystkie kobiety, z którymi sypiasz? — spytała chytrze. Może nie miała w tej dziedzinie zbyt wielkiego doświadczenia, ale naoglądała się przecież filmów.

— Co znaczy „działa”? — spytał zakłopotany Denis.

— Nic — odparła niepewnie.

Poczuła, że gwałtownie pozbywa się niezależności i nieoczekiwanie powraca tęsknota, infantylne uzależnienie, cierpienie związane z rozłąką — ścisnęło jej się serce. Pocałowała Denisa na pożegnanie — przecież to wiersz — i ruszyła w kierunku metra.

## Jakie zarzuty, jakie sympatie

*Czy przy tak wielu przyjaciółach, tak szerokim kręgu znajomości, można — zasiadając do pisania — z łatwością wyzwolić się z tych wszystkich więzów i ich słodkich następstw, by zapanować nad sobą bez reszty — nie ulegać wpływom, nie zmieniać zdania po uświadomieniu sobie, jak własna praca może oddziaływać na innych, jakie wywołać zarzuty, jakie wzbudzić sympatie?*

Charlotte Brontë, list do pani Gaskell, 1853

Pod koniec semestru Sara dostrzegła na wydziale przemianę, która, jak sądziła, dobrze jej wróżyła: wszyscy mieli już Claire powyżej uszu. Zmęczyło ich jej pozerstwo, wieczna autoreklama, obniżone standardy akademickie, przy czym wszystko to byłoby jeszcze do zniesienia w przypadku jakiegoś spokojniejszego profesora, lecz Claire musiała się z tym wszędzie obnosić. Bez wątplenia wydział wykaże raczej gotowość

sfinansowania poszukiwań listów Brontë niż historii społecznej pasztecików czy damskich stringów. Sara sądziła, że przedłużenie jej grantu jest właściwie przesądzone.

— Co pani ma na myśli? — spytała, wpatrując się w kamienną twarz promotorki. — Przypuszczam, że nieco bardziej tradycyjne badania byłyby na naszym wydziale mile widziane.

Promotorka wyprostowała się na krześle.

— Saro, wie pani równie dobrze jak ja, że mnóstwo osób ubiega się o granty Fundacji Keane'a, a ilość pieniędzy jest ograniczona. Miała pani cały rok i jakie osiągnęła rezultaty?

— Ależ odnalazłam list! Świadczy on o zmianie postawy Charlotte Brontë, stała się bardziej pragmatyczna...

— A powiązania między postaciami Diany i Brontë, którymi się pani zajmowała? Sądziłam, że właśnie to pani proponuje.

— To jeden z wielu wątków, nie zasadnicza część rozprawy — jęknęła Sara. — Ale ten list to dopiero odkrycie, może mieć olbrzymie znaczenie.

— Gdzie on się znajduje?

— To własność prywatna. Należy do pewnej kobiety, która służy mi wszelką pomocą — skłamała Sara. Pani Wright nie wpuściła jej do domu. Nie odpowiedziała też na jej liczne listy ani telefony. Dziewczyna posłała jej nawet kwiaty. Może powinna była zdecydować się na wino.

— Cóż, możliwe... Jeśli naprawdę przedstawi pani nowy list...

— Nie mam stuprocentowej pewności, ale go widziałam, wiem, że istnieje. Jest niezwykły, jeśli to oryginał — zapewniła Sara, uświadamiając sobie, że kontynuacja jej długoletnich badań wisi na włosku, a ich los zależy wyłącznie od wspaniałomyślności pani Wright. Dziewczyna westchnęła. Wszystko wymykało jej się z rąk.

— No, cóż, jeśli zdobędzie pani ten list... Ale bez niego, powiem zupełnie szczerze, nie widzę większego sensu, by dalej się tym zajmować — ostrożnie zaczęła promotorka.

— Nie widzi pani? Naprawdę? Czy to nie ważniejsze niż romanse księżnej Diany?

— Claire Vigee nie ma tu nic do rzeczy.

Sara zaśmiała się krótko, z niedowierzaniem.

— Chodzi o pani pracę. Po prostu nie jest specjalnie... atrakcyjna.

— Czyżby wydział narzekał na brak ekscesów?

— Proszę, niech pani przestanie... — odpowiedziała znużonym głosem promotorka.

Sara miała jednak rację. Wydziałowi zaaplikowano już wystarczającą dawkę seksualnych ekscesów. Pod koniec semestru edukacyjne obowiązki dawały się już Claire we znaki. Nauczanie wiązało się z regularną obecnością w określonym miejscu. Ponadto należało poprawiać prace pisemne oraz wysłuchiwać rozmaitych problemów. Książka nie sprzedawała się tak dobrze, jak oczekiwano, lecz czyż Claire nie uprzedzała wydawcy, by nieco się wstrzymał i pozwolił jej zadbać o reklamę oraz ugruntowanie swojego wizerunku w Ameryce? Takie sprawy wymagają czasu.

Przytłaczała ją perspektywa oceny dziesiątek prac semestralnych, szczególnie w okolicach Bożego Narodzenia — idealnym okresie dla promocji książki. Była naturalnie pionierką badań nad Dianą i miały one

dla niej niemałe znaczenie, ale nie działała przecież wyłącznie w tej dziedzinie. Czy nie dostrzegano jej prawdziwej wartości jako osoby opiniotwórczej, nie jakiejś tam maszyny do wystawiania ocen? Odpowiedzi na to pytanie dostarczyła różowowłosa studentka imieniem Róża.

Była na ostatnim roku, chodziła na zajęcia Claire i czuła się werbalnie skolonizowana. Na potwierdzenie mogła przedstawić wypisane małymi literami zaświadczenie od psychiatry z Upper East Side. Róża uważała, że wielkie litery stanowią formę ucisku językowego, ponieważ nie tylko zachęcają do wartościujących osądów, lecz same w sobie są jego przejawem. Taki pogląd zmieniał napisanie czegoś, co tradycyjnie nazywano „pracą semestralną”, w represyjną formę totalitaryzmu na poziomie, nie przymierzając, Republiki Weimarskiej. W zamian Róża mogła przecież dostarczyć dzieło sztuki wyrażające jej wewnętrzną reakcję na przerobiony na zajęciach materiał.

Szczęśliwie, uwolniło to zarazem Claire od uciążliwych zajęć określanych kiedyś jako „czytanie” i „analiza”. Pod wpływem tej inspiracji zdecydowała się na odstępstwo od tradycyjnego porządku. Wszyscy studenci mieli więc przedstawić prace w podobnym stylu. Ci nie posiadali się z radości, gdy do nich dotarło, że wymagany od nich „projekt artystyczny” definiowany jest najszerzej jak to tylko możliwe. Ktoś wypchał tamponem fajeczkę do palenia marihuany i dostał za to piątkę. Inna studentka wykonała z pokryw studzienek odpływowych oraz łańcucha wielki biustonosz. Otrzymała piątkę i zamiar na marszanda. Niemniej jedynie praca Róży okazała się na tyle prowokująca, by ściągnąć inspekcję z Wydziału Opieki Zdrowotnej.

Była niezwykle barwna, co odpowiadało zresztą wizerunkowi autorki, i w sam raz na święta. Róża bowiem sporo rozmyślała nad narodzinami Chrystusa i ich znaczeniem. *Dojście* było naturalnej wielkości rzeźbą „maryi” rodzącej „jesusa”. Całość przedstawiała się nader dynamicznie: widz miał okazję obejrzeć leżącą „maryję” z twarzą wykrzywioną cierpieniem wiecznej szczęśliwości i rozrzuconymi w geście uległości rękami. Jednakże nie to przyciągało uwagę. Natychmiast rzucała się w oczy jaskraworóżowa pochwa pomiędzy szeroko rozpostartymi nogami „maryi” i ledwo w niej widoczna — dosłownie ginąca w szokującym różu narządu rozrodczego — maleńka główka.

Ludzie nie wiedzieli, co o tym myśleć. Najpierw reagowali zmieszonym chichotem lub — w wypadku bardziej obytych — wymownym wzruszeniem ramion dającym do zrozumienia, że to nic oryginalnego. Początkowo rzeźba zdawała się wywoływać jedynie nad wyraz umiarkowane oburzenie. Potem o całej historii rozpięły się gazety. Wzmianki o dziele, niczym o jakiejś wschodzącej gwiazdce, ukazywały się najpierw na ostatnich stronach, by z wolna znaleźć się na tytułowych — w świetle reflektorów.

Dokładnie nie wiadomo, jak i kiedy do akcji wkroczyła społeczność katolicka. Pojawiły się pogłoski, że sama Claire w obawie, że sprawa nigdy nie nabierze rozgłosu, po cichu poinformowała o niej archidiecezję. W każdym razie Kościół nie był skłonny przyjąć za dobrą monetę zapewnień Róży, że wyeksponowanie cipy Przenajświętszej Dziewicy wynikało z „głębokich i z gruntu religijnych przemyśleń na temat prawdziwej natury «maryi» jako naczynia, kobiety, dawczyni życia, wcielenia biologii i natury, a wreszcie — nieskończonego cudu”.

Główną metaforą w zamierzeniu Róży był właśnie „cud życia”. W „maryi” pulsowało życie. Urocze i proste odczucie. Mimo całej swej pozy Róża była w gruncie rzeczy bardzo sentymentalna. Dlatego jej rzeźba musiała przedstawiać najprawdziwsze życie. Z tego powodu w jaskraworóżowej pochwie „maryi” umieściła

świński płód. Nie chodziło bynajmniej o to, że zrównywała „jezusa” ze świnia, jak niektórzy później twierdzili. Po prostu nie udało jej się zdobyć ludzkiego płodu, nawet martwego. Mimo usilnych starań. Wydział Opieki Zdrowotnej nie zezwolił jednak nawet na świński, więc gdy na całym kampusie na dobre rozgorzały debaty, płód usunięto i zniszczono, pozostawiając w figurze „maryi” ziejący pustką krater. Był to najsmutniejszy widok, jaki róży zdarzyło się w życiu oglądać.

Rodzice zabierali studentów z uczelni. Politycy walili pięściami w mównice, wykorzystując dzieło róży jako dowód na wszelkie zło panoszące się na publicznych uniwersytetach — na brak poszanowania jakichkolwiek wartości, nieobecność modlitwy, feminizm w ogóle, a szczególnie jaskraworóżowe pochwy. Claire zaliczyła niejedną talk show.

Umieściła również fotografię rzeźby — jakżeby inaczej — na świątecznej okładce pisma „Labia”, żeby przypadkiem cała historia zbyt prędko nie ucichła. róża obserwowała to z zakłopotaniem i rosnącą irytacją. Dlaczego jej nikt nie słuchał? Odgrywała drugoplanową rolę we własnym przedstawieniu, a przy tym nikt nawet nie odczytał jej przesłania.

Tuż po tym, jak Kościół, ugrupowania kobiece, grupy opowiadające się za wolnością przekonań oraz obrońcy praw zwierząt ogłosili swoje stanowiska i szykowali się do poważnego starcia, róża oświadczyła, że zwołuje własną konferencję prasową. Opisała na niej spokojnym, niepewnym głosem swoją niedawną aborcję, podczas której — gdy otrzymała już narkozę — ukazał jej się „jezus”.

Wyjaśnił jej, dlaczego to, co właśnie robi, jest sprzeczne z jego wolą, lecz kiedy się obudziła, było już za późno. Zabieg został przeprowadzony, a róża stała się żarliwą katoliczką. Dzieło, które stworzyła, wyrażało jej żal i dopiero co osiągnięte zrozumienie tajemnicy i cudu narodzin, szczególnie „dzieciątka jezus”.

Według niej rzeźba była do głębi religijna. Potraktowała temat zupełnie poważnie. Nie planowała żadnej ironicznej dekonstrukcji ideologii ani też nonszalanckiej autopromocji i zdobycia rozgłosu. Dzieło było świadectwem jej wiary. Tylko i wyłącznie.

— co by było, gdyby maryja postanowiła się pozbyć dzieciątka jezus, bo przeszkadzałoby jej w karierze albo coś w tym stylu? chyba wszyscy zgodzimy się co do tego, że nie wyszłoby to nam na dobre, mam tu też na myśli żydów i muzułmanów.

W pomieszczeniu zaległa cisza, gdyż zebrani w nim zszokowani przedstawiciele rozmaitych grup interesów przetwarzali te słowa pod kątem własnych stanowisk. Reprezentantki ruchów kobiecych były zawiedzione — zakładały oczywiście, że róża sympatyzuje z ich poglądami. Kościół zupełnie zmienił zdanie — oto odnalazł sztandarową przedstawicielkę nowego pokolenia katolików! Młoda, modna, może trochę błędzi, ale niech tam, taka jest dzisiejsza młodzież — może to z winy leków przeciwdepresyjnych (albo ich braku!). Dlaczego nauka zawsze próbuje wyleczyć ludzi z tradycyjnie pojmowanej dobroci? Obrońcy praw zwierząt nadal się wściekali, grupy walczące o wolność przekonań nie wiedziały, za czym się opowiedzieć, a Wydział Opieki Zdrowotnej zajął się już masowym zakażeniem pałeczką okrężnicy w północnej części stanu Nowy Jork.

Claire lawirowała w takich sytuacjach tak zręcznie, że nawet się nie spieszyła. Miała w nosie amerykańską debatę dotyczącą początku życia. Dla niej człowiek zaczynał istnieć dopiero wtedy, gdy czasopismo „Vanity Fair” opisywało na swych łamach jego sylwetkę. róża odkrywała po prostu erotykę

porodu. Claire zaś, nigdy nie tracąc okazji bezpłatnej reklamy, pojawiła się na konferencji prasowej dziewczyny, by stanąć w jej obronie.

— Dlaczego to tak wszystkich przeraża? To matka, która jest zarazem macierzyńska i seksualna. To wyraz potęgi Kobiety, o czym zresztą piszę w swojej nowej książce *Amazonka*. Z tego samego powodu rodzina królewska tak się obawiała Diany, która była wspaniałą matką, a zarazem — co niewybaczalne — pieprzyła się z muzułmaninem...

— chciałabym tylko powiedzieć — wtrąciła róża, ledwo dosłyszalnie mimo mikrofonu — że uważam się za chrześcijankę w najprawdziwszej, nienarzucającej niczego postaci, pełną dobroci i miłosierdzia.

Skandal przysporzył wydziałowi poważnych kłopotów. Co gorsza, jego władze nie mogły winić za zatrudnienie Claire nikogo poza sobą. Zwaliły zatem wszystko na samą Claire. Ukaraly też kadrę dydaktyczną niższego stopnia, ograniczając stypendia naukowo-badawcze.

— Tak się składa, że moimi badaniami zainteresował się producent filmowy, który odnosi w tej branży niemałe sukcesy — powiedziała Sara promotorce, wyciągając asa z rękawa. Wiedziała, że to i tak nic nie zmieni.

— Naprawdę? — spytała radośnie kobieta.

— Czy to ma aż takie znaczenie? — nie dowierzała Sara.

— Uważam, że należało nas o tym powiadomić.

— Spędziłam nad tym całe lata, a jakiś facet, który robi filmy akcji, sprawia, że nagle wszystko się zmienia?

— To z pewnością ciekawy aspekt sprawy — zapiała promotorka, widząc się już w myślach na premierze.

Sara wpatrywała się w nią ze zdumieniem. Usłyszała właśnie najcieplejsze od lat słowa zachęty i uświadomiła sobie, jak niewiele są warte.

— W przyszłym semestrze będę nadal prowadzić zajęcia, prawda?

Promotorka bawiła się zatyczką długopisu.

— Rodzice wycofują dzieci z zajęć na wydziale. Bez względu na tematykę. Wszystkich nas przycisnęli.

— A czyja to wina?

— Saro, nie czas na szukanie winnych. Musimy się teraz wspierać. To tymczasowe. Może latem się uda?

Sara patrzyła na nią szklanym wzrokiem.

— Przepraszam — wykrztusiła wreszcie. — Mam spotkanie w sprawie scenariusza.

# Naga prawda

*Oto naga prawda: moje cierpienie jest przeogromne, noce nie do opisania, choroba nie daje wytchnienia — męczę się, aż torsje mieszają się z krwią. Leki już całkiem zarzuciłam...*

Charlotte Brontë, list do Amelii Taylor, 1855

Kiedys musiało nastąpić załamanie. W momencie uświadomienia sobie, dokąd nieodwracalnie zmierza życie naznaczone chorobą. Podobno najgorsze, co może spotkać człowieka, to doświadczenie śmierci własnych dzieci. Sześciokrotne przeżycie takiej tragedii wydawałoby się więc ponad ludzkie siły. W momencie odejścia Charlotte jej ojciec Patrick Brontë powinien już być nader nawykły do tego rodzaju wydarzeń. W ich domu zawsze panowała choroba, która zazwyczaj zabierała młode życie, nie tykając wiecznie niedomagającej głowy rodziny.

Listy Charlotte do przyjaciół początkowo brzmią optymistycznie. Nie czuła się najlepiej, lecz jej stan zdrowia miał się wkrótce poprawić. Jej żołądek wciąż się buntował, dręczyły ją torsje, czuła się wyczerpana. Był styczeń. Może zbyt podeksytowała się świętami i to spowodowało osłabienie. Wreszcie, w marcu 1855 roku, napisała:

*...straciliśmy nadzieję. Pozostaje nam tylko z powagą wyczekiwać tego, co musi nadejść, modląc się do Boga, by obdarzył nas łaską i siłą, która pozwoli nam godnie to znieść.*

Uświadomiła sobie wszystko. Czy stało się to stopniowo czy raptownie — czy ojciec dostrzegł pustkę w jej oczach, a może znajomą zapowiedź śmierci? Czy zdążył już do tego przywyknąć? A może nadal go to zaskakiwało?

Odejście każdego z dzieci zdawało się je charakteryzować. Branwell był arogancki i gwałtowny, dumnie, z góry spoglądał na śmierć, z rozmysłem dążąc do samozniszczenia. Emily zaciekle negowała chorobę, odmawiała przyjęcia pomocy lekarskiej i puszczenia krwi. Zachowywała się tak, jakby mogła pokonać słabość siłą swej wyobraźni. Anne zaś, wiedząc, jaki ból sprawiła rodzinie śmierć Emily, przystała na wszelkie tortury dziewiętnastowiecznej medycyny. Charlotte, w której zawiedzione uczucie mieszało się zawsze z silnym poczuciem przyzwoitości, okazała się zbyt słaba, by kontynuować ulubioną korespondencję. W czasie ciąży nie mogła niczego przełknąć. Odeszła grzecznie ostatniego dnia marca 1855 roku.

Co musiał w ten sobotni ranek czuć ojciec, po śmierci ostatniego z dzieci?

W DOMU BRONTË - 31 MARCA 1855, RANO

Patrick wpatruje się w kamienny mur z nieruchomym, przygnębionym wyrazem twarzy, jakby...

— Był kiedyś taki buddyjski mnich, który tak długo medytował, że zwyrodniały i odpadły mu powieki — powiedziała Nykki, wpatrując się bezmyślnie w laptopa, w którym z kolei Patrick Brontë utkwiał nieruchomy wzrok w kamiennym murze. — Tak się zaczynam czuć. — Utknęły na scenie śmierci Charlotte, czyli na pierwszej stronie.

Zdecydowały, że opowiedzą jej historię jak cykl wspomnień. Nykki usłużnie wyjaśniła, że natychmiast po ukończeniu szkoły filmowej scenarzystki zaczynają sobie pozwalać na wszystkie środki wyrazu, które im odradzano, mianowicie na retrospektywę, narrację z podłożonym głosem oraz pretensjonalne sekwencje snu.



Tłumaczyła, że koniecznie powinny zastosować w filmie te trzy chwyt, a może nawet coś więcej. Wszelkie problemy narracyjne rozwiążą za pomocą nastrojowej, pełnej romantyzmu atmosfery, która przecież przenika prozę Brontë.

Do wyboru miały wiele wersji postaci Charlotte. Każda biografia oferowała inną, opisując krytyczną neurotyczkę, poświęcającą się, cierpieniczą marzycielkę czy błyskotliwą, lecz stłamszoną feministyczną ikonę. W filmie postanowiły postawić na miłość i legendę. Opowiedzą romantyczną historię jej życia — pokażą jej młodzięcze uczucie, stłumione pragnienia, sukces zawodowy, tragiczną utratę rodzeństwa, a na koniec przypomną, że — jak na ironię — udało jej się osiągnąć prawdziwe szczęście, by zaraz potem niespodziewanie odejść.

Sara była w pełni świadoma, że ma wpływ na stworzenie ostatecznego wizerunku Brontë. Czyż wersja filmowa nie przebija słowa pisanego? Ludzie mogą pogardliwie kręcić nosem i udawać, że szalenie nieściska, przepełniona hollywoodzkim blichtrzem wersja „prawdziwych wydarzeń” w ogóle na nich nie podziałała, ale wrażenia wzrokowe głęboko w nich wnika. Sara czuła, że tak właśnie jest, choćby dlatego, że siedząc teraz w hotelowym pokoju, usiłowała wymazać z pamięci to, że Paul tak zadziwiająco przypominał młodego Laurence'a Oliviera z *Wichrowych Wzgórz*, a jego utrata tragicznie wpłynęła na całe jej życie. Cóż jednak straciła? Obraz, który tak świetnie korespondował z jej romantycznym wyobrażeniem? Czy mężczyznę, którego przedstawiał?

— Chyba wyskoczę na dymka — oświadczyła Nykki, narzucając płaszcz na ramiona i pozostawiając Patricka przed kamiennym murem. — Zaraz wrócę.

Sara nie miała żadnego doświadczenia w pisaniu scenariuszy, lecz po pierwszym tygodniu pracy przekonała się, że polega to głównie na wpatrywaniu się w ekran komputera oraz wychodzeniu na przydługie przerwy na papierosa. Gdy Nykki opuściła pokój, Sara zerknęła na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Zaczęła mierzyć czas, jaki scenarzystka spędza na paleniu. Wczoraj padł nowy rekord — trzy i pół godziny.

Początkowo Sara krępowała się poprosić, by Nykki nie paliła podczas ich wspólnej pracy w hotelu. Pałace są tak przeculeni na punkcie utraty swoich praw, że każde kolejne ustępstwo zazwyczaj budzi ich niechęć. Nykki jednak aż nadto zastosowała się do życzenia Sary — dosłownie nalegała na wychodzenie do hotelowego holu, w którym, jak się wkrótce okazało, panował zakaz palenia.

Nykki wychodziła zatem na zewnątrz — na mroźne grudniowe powietrze. Najwyraźniej zabierało jej to sporo czasu. Wracała ożywiona i uszczęśliwiona, gotowa znów wpatrywać się w komputer. Mając rodziców terapeutów, Sara zdawała sobie sprawę, że wskaźnik recydywy w przypadku uzależnienia od narkotyków jest bardzo wysoki, lecz mimo wątpliwości sama wołała wierzyć ludziom na słowo. Gdy po raz pierwszy spotkała się z Nykki, ucieszyła się, że ludzie dostrzegają podobieństwo między nimi — scenarzystka była szczupłą i bystrą dziewczyną o żywych oczach. Po kilku godzinach poznała jednak inną Nykki, mizerną i ponurą. Którą z nich przypominam? — zastanawiała się.

Około wpół do szóstej zaczęła się niepokoić. Siedmiogodzinna przerwa na papierosa była chyba przesadą. Sara straciła cały dzień — i to pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia — obserwując ruch przed hotelem Algonquin po drugiej stronie ulicy i rozwiązując krzyżówkę z „Timesa”. Odebrała e-mail od Paula, wysłany zresztą także do mnóstwa innych osób — fotografię, na której stoi uśmiechnięty na tle Wersalu, i

okolicznościowe życzenia. Jakie to wzruszające, pomyślała z ironią, dotknięta tym bezosobowym odruchem. Próbowwała dodzwonić się do pani Wright, by złożyć jej świąteczne życzenia oraz — mimochodem — spytać o list Brontë. Jak zwykle bez powodzenia. Tymczasem Patrick nadal wpatrywał się w kamienny mur. Potem obejrzała na kanale CNN, jak Claire wałkuje temat erotyki porodu z jakąś senator z Teksasu, która zupełnie nie dawała się nabrać na jej wywody.

W końcu doszła do wniosku, że warto by zadzwonić do rodziców i poradzić się w sprawie Nykki. Wiedziała, że zaproponują bezpośrednie działanie, które nigdy nie było jej mocną stroną. Poza tym musiałyby się znów tłumaczyć, dlaczego nie może spędzić tego dnia z nimi w Connecticut. Wyjaśniała im, że pracują teraz z Nykki bardzo intensywnie — dzień i noc — ze względu na bardzo napięte terminy itd. W rzeczywistości zaś nie chciała spędzać pierwszych samotnych świąt z rodzicami psychoterapeutami. Nie miała ochoty na delikatne sondowanie Jej Uczuć ani na ich akceptację czy wsparcie w Tym Trudnym Okresie. Aż podskoczyła, słysząc gwałtowne pukanie do drzwi. Nykki zawsze zapomniała karty magnetycznej.

— *Merde!* Nawet nie wiesz, jak długo cię szukałem — powiedział oskarżycielskim tonem Denis i minąwszy ją, wszedł do środka.

Sara zauważyła, że wniósł walizki.

— Co ty tu robisz? — spytała.

— A ty? — odparował.

— Po co ci walizki?

— Nie uwierzysz, Claire mnie wyrzuciła. — Denis zapalił papierosa i zaczął szperać w minibarze.

— Co się stało?

— Nic! — Denis jednym haustem opróżnił buteleczkę whisky. — Obrzydlistwo. Masz jakieś pieniądze?

— Jesteś splukany? — spytała nerwowo Sara. Denis ze złością zamachał rękami. Jasne, że tak.

— Miło tu — oznajmił radośnie, rozglądając się.

— Nie możesz tu zostać.

— Niby dlaczego?

Katastrofa goni katastrofę, pomyślała Sara. Oby ten facet nie zepsuł jedynej rzeczy, która mi się w życiu udaje.

— Bo tu pracujemy.

— Ja również — zaprotestował oburzony Denis. — Moglibyśmy pójść do łóżka — zaproponował ostrożnie, zapalając papierosa.

— To nie najlepszy pomysł.

— To jest zawsze dobry pomysł — odpowiedział. Ci Amerykanie!

— Mamy terminową robotę — nie ustępowała Sara.

— A tobie się zdaje, że ja nie?

— Czyżby?

— Codziennie tylko praca, praca, praca.

Sara usłyszała trzask otwieranych drzwi. Do pokoju weszła Nykki i bez powitania ani jakichkolwiek wyjaśnień usiadła w eleganckim fotelu naprzeciwko Sary.

— Chyba będziemy musiały zrobić tu palarnię — oświadczyła, wypuszczając nosem kłęby dymu.

— To twoja siostra? — spytał Denis, przyglądając się dziewczynom z zakłopotaniem.

— Nie. Nykki, to Denis — przedstawiła chłopaka Sara.

— A takie jesteście podobne — zdziwił się.

— Nie jesteśmy — odparły obie naraz.

Nykki ponownie zasiadła przy komputerze. Uświadomiła sobie, że Patrick Brontë już od tygodnia znajduje się wciąż w tym samym miejscu, i złapała się za głowę.

— Kto to jest Szampański Charlie? — zapytał Denis jakby nigdy nic.

— To ksywka, jaką londyńskie tabloidy ochrzcili Charlesa Spencera, brata Diany, księżnej Walii — odpowiedziała niemal odruchowo Sara. Ze zdumieniem spostrzegła, ile informacji mimowolnie wchłonęła, przebywając w otoczeniu Claire. — Dlaczego pytasz?

— Claire mnie tak nazwała.

— A co zmalowałeś?

— Nic.

— Musiała przecież mieć jakiś powód.

— Muszę skądś wykombinować herę — odezwała się Nykki.

Herę? Sarze przypomniał się fragment starej piosenki Sinatry: „Sammy, musisz zejść z tej hery”.

— Przecież ja nie lubię szampana — stwierdził ze smutkiem Denis.

— Zdajecie sobie sprawę, jak wyglądają święta na odwykowce? — rzuciła w przestrzeń Nykki.

— Jak w McDonaldsie? — spytał Denis.

— Taa, coś w ten deseń — potwierdziła Nykki. — Jeśli mamy to skończyć, muszę coś wziąć.

— Czego potrzebujesz? — Sara starała się przybrać zblazowany ton światowca.

— Heroiny — odparła Nykki, jakby to było oczywiste. Wtedy Sarze najwyraźniej zabrakło obycia, bo scenarzystka zaczęła się bronić. — Ja tylko wciągam.

— Jak zamierzasz ją zdobyć? — drażyła ostrożnie Sara.

— Nie wolno mi — uświadomiła ją Nykki. — Mam nadzór kuratorski. Jak mnie złapią, to mnie znowu wsadzą.

— Chyba nie chcesz, żebym ja to zrobiła?

Sara nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie znaleźć narkotyki. Jedyne miejsca, jakie przychodziły jej na myśl, nie liczyły się już w tego rodzaju handlu. Opisane w „Timesie” Tompkins i Union Square zmieniły się w prosperujące dzielnice z przesadnie drogimi bistrami oferującymi różne wymyślne potrawy z koprem włoskim i tuńczykiem żółtopłetwym.

— Może po prostu zejdiesz do holu — zaproponował Denis.

— Mają to tutaj na dole? — spytała zdumiona Sara.

— Połowa klienteli to Niemcy — wyjaśnił Denis, z dezaprobatą przeciągając ostatnie słowo.

— I co z tego?

— Niemcy uwielbiają igły. Naprawdę, badania to potwierdziły — poinformował.

— A co lubią Francuzi? — dociekała Sara. Denis odpowiedział z uśmiechem:

— Czopki.

W ciągu następnych kilku dni Denis z radością odkrył, że w hotelowej restauracji jada wielu redaktorów czasopism, którzy chętnie stawiali mu lunch w zamian za nieco informacji o Claire. Naturalny kolor włosów: rudy. Prawdziwa orientacja seksualna: kto wie? Pierwszy flirt z politykiem: w wieku szesnastu lat. Doświadczenia z prostytutką: jako anarchistyczny eksperyment w wieku lat dziewiętnastu. Obecny kochanek/kochanka: jak to, nie wiecie? róża.

Denis zasuwał gadkę, a potem patrzył, jak redaktorzy pospiesznie wybiegają z powrotem do biur, rzekomo przypomniawszy sobie o jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie.

— Strzępiel był wspaniały! — doniósł Sarze i Nykki. — Ale nikt poza mną nie pił. Oni nie ruszą niczego mocniejszego niż pellegrino. Może później będę miał więcej szczęścia do narkotyków.

Nykki z niepokojem zerknęła na zegarek. Patrick Brontë nadal wpatrywał się w mur. Sara spojrzała na Denisa z wyrzutem.

— Czy to moja wina, że lubię dobrze zjeść? Czasami w życiu — powiedział głośno, wyraźnie wstawiony — trzeba się po prostu zdać na swój urok i dobrą prezencję.

— Jak ona mogła przespać się z własną studentką? — rzuciła na głos Sara, spoglądając na opatrzony nagłówkiem PORNO PROFESORKA artykuł w ostatnim numerze „Post” z rozbieranym zdjęciem Claire, tym z obwoluty książki.

— O co ci chodzi? Przecież jest atrakcyjna — stwierdził z lekkim zdziwieniem Denis.

— Nie w tym rzecz.

— A ja myślę, że właśnie w tym.

— Claire nie może tak po prostu uwodzić każdego, kto wyda jej się pociągający.

— Dlaczego nie? — spytał skonsternowany Denis.

Późnym popołudniem wrócił pijany i z pustymi rękami, osunął się na fotel, po czym zwrócił się do obcasa własnego buta.

— Jest coś, co moglibyśmy zrobić dla Nykki. Ale to wymaga odpowiedniego stroju.

— Zastanawialiśmy się, kiedy znów się zobaczymy.

Sara i Denis odczuli ulgę, że zamiast Burke'a otworzył im Ives.

— Pan Burke właśnie przygotowuje herbatę — powiedział, odbierając od nich okrycia i prowadząc do salonu. Sarę ciekawiło, jak zimą radzili sobie z ogrzewaniem — najwyraźniej po prostu marzli. Wszyscy skupili się wokół kominka i niemal nie dostrzegli wnoszącego imbryk z herbatą Burke'a.

— Zastanawialiśmy się, kiedy znów się zobaczymy — zwrócił się szczególnie do Nykki.

Sara uświadomiła sobie jego pomyłkę i dokonała prezentacji.

— Saro, czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać? — spytał Burke. — W kuchni. Państwo wybaczą — powiedział i odciągnął ją od reszty towarzystwa. — To bardzo krępujące — zaczął.

— Proszę, nie. — Sara za wszelką cenę pragnęła uniknąć kolejnej niezręcznej sytuacji. Ostatnie przeżycia zupełnie jej wystarczały.

— Chodzi mi o to, co kiedyś powiedziałem...

— Puśćmy to w niepamięć. Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

— Oczywiście. Zastanawiałem się, dlaczego nie otrzymałem wtedy żadnej odpowiedzi. Po prostu musiałś o tym wiedzieć.

— O czym?

— Ta kobieta, Nykki. Pomyliłem ją z tobą. Ona bardziej przypomina postać z mojego snu. To ona jest moim przeznaczeniem.

— Ach tak.

— Przykro mi.

— No cóż, przypuszczam, że w takich sprawach zawsze istnieje niewielkie ryzyko pomyłki.

— Owszem.

— Nykki bardzo by chciała zobaczyć chiński gabinet — powiedziała znacząco Sara, używając szyfru, który podpowiedział jej Denis.

Burke się uśmiechnął.

— Wedle życzenia.

Nykki pisała swe dzieło odręcznie na specjalnym filigranowanym papierze florenckim w domu Burke-Ivesów, Sara przepisywała je na komputerze w Royaltonie, a Denis chodził na wspaniałe trzygodzinne lunche. Piątego dnia na niego oraz patronujących mu słuchaczy natknęła się Claire, która umówiła się w hotelu z reporterem wiadomości.

— Ty nędzny alfonsie! — wyszczała, zrzucając mu na kolana talerz dyniowego risotta. — Tylko ja mam prawo sprzedawać swoje prywatne życie.

## Ile kosztuje mężczyznę...

*Drżąc na całym ciele, blednąc śmiertelnie i mówiąc cichym głosem, żarliwie, lecz nie bez trudu, uświadomił mi, ile kosztuje mężczyznę wyznanie uczucia, gdy nie jest pewien przychylnego przyjęcia.*

Charlotte Brontë, list do Margaret Wooler, 1852

Wspaniale! Najlepsza wstępna wersja, jaką zdarzyło mi się czytać — powiedział pan Emmons, wznosząc toast.

— Naprawdę? — spytała szczerze zdziwiona Sara.

— Oczywiście, że tak.

— Nykki mówi, że kiedy producent uznaje szkic scenariusza za świetny, oznacza to utratę pracy.

— Szybko się pani uczy — skomentował pan Emmons, puszczając do niej oko. — Ale poważnie. Scenariusz jest pełen marzeń, namiętności, jakby powstawał w malignie, jest ekscentryczny, a zarazem piękny. I głęboki. Jest jak miłość. — Obdarzył Sarę znaczącym spojrzeniem, które kazało jej rozejrzeć się za winem.

— Dziewięćdziesiąty czwarty rok był w Piemoncie bardzo deszczowy — oznajmił kelner, niepytany, stawiając przed nimi kieliszki.

Pan Emmons odprawił go gestem dłoni, razem z jego Piemontem.

— Saro, wspaniale się pani spisała. O to nam właśnie chodziło: o szczerą, czułą i autentyczną opowieść o miłości.

Dziewczyna aż pokraśniała z zadowolenia — jakąż przyjemność sprawiały podziw i przelotny flirt. Ogromnie się bała, jak pan Emmons zareaguje. W jego ocenie widziała ostatnią szansę na potwierdzenie własnej wartości. W końcu!

— Dziękuję. Nykki powiedziała, że powinnam z panem porozmawiać — zaczęła z wahaniem — o wynagrodzeniu. Nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Zastanawiałam się, czy moje usługi nie są warte jakichś pięćdziesięciu tysięcy dolarów. — Nykki radziła, żeby pod żadnym pozorem nie podawać kwoty. Sara postąpiła wbrew jej jedynemu zaleceniu.

— Nigdy nie wymienia się sumy, Saro. Powiedziałbym, że jest pani warta znacznie więcej — to pani stworzyła wraz z Nykki całą fabułę. Dostarczyła wszystkich informacji. Czy zdaje sobie pani sprawę, ile miesięcy stracilibyśmy na badania? To pani napisała scenariusz, kontrolowała działki narkotyków drugiej scenarzystki — cholera, to przecież więcej niż pisanie — to już robota producenta!

— Skąd pan o tym wie?

— O czym? O Nykki? No cóż, kiedy się czyta *Alicję w krainie czarów*, dostrzega się w niej wiele zadziwiających rzeczy, ale przede wszystkim odnosi się wrażenie, że autor musiał brać coś niesamowitego.

— Nie było żadnego niebezpieczeństwa. Tak się składa, że znajomi, którzy żyją praktycznie w dziewiętnastym wieku, są miłośnikami opium.

— Doskonale!

— Są przemili.

— Saro, pani mnie rozbraja. Tak trzeźwo pani myśli.

— Dzięki — powiedziała Sara, utkwivszy wzrok w sałatce z koprem włoskim.

— Przepraszam, spędziłem właśnie dwa tygodnie z rodzicami. Lekarze odwalili kawał dobrej roboty i matka wygląda teraz młodziej ode mnie. Trochę mnie to niepokoi.

— Jakiej roboty?

— Mam na myśli operacje plastyczne.

— To rzeczywiście niepokojące.

— W każdym razie — zaczął z wyraźnym roztargnieniem pan Emmons — mam opinię dobrego negocjatora, a właśnie przyznałem, że jest pani znacznie więcej warta niż wymieniona przez panią suma. Czy domyśla się pani, dlaczego popełniłem taki podstawowy błąd?

Sara pokręciła przecząco głową. Pan Emmons wyciągnął z kieszeni pudełeczko na biżuterię, po czym wręczył dziewczynie. Sara je otworzyła i zobaczyła srebrny wisior z ametystem.

— To DNA. Genialne, prawda?

— Nie rozumiem.

— Natrafiłem na to w Anglii i zaraz dla pani kupiłem. W tym kamieniu umieszczono DNA Charlotte Brontë. To naprawdę możliwe.

— Po co? — spytała Sara, dotykając wisiorka.

— Robią też breloczki do kluczy.

— Świetnie. — Sara niepewnie wpatrywała się w ozdobę.

— Pozyskują DNA z kosmyków włosów. Moja matka ma zegarek z Charlesem Lindberghiem.

— Nie wiedziałam, że istnieją kolekcjonerzy włosów.

— Niegłupi pomysł, co?

Sara nie miała pewności, czy pan Emmons nie żartuje.

— No, owszem — zgodziła się, przybierając figlarny ton. Pan Emmons pochylił się, by pomóc jej zapiąć wisiołek, i dziwnie niechętnie cofnął dłonie.

— Saro. — Odchrząknął, jakby zapowiadając rozliczenie. — To chyba jasne, co do ciebie czuję.

Sara nigdy nie wiedziała, jak reagować na takie słowa.

— Mhm.

— Wiem, że to zbyt wielki pośpiech z mojej strony, ale czasami człowiek po prostu czuje, że coś mu odpowiada, prawda?

— Mhm.

— No więc?

— Co takiego?

— *Pójdź ze mną, zostań moją miłą,*

*Iżby nam wspólnie dni słodziło*

*Wszystko, czym tchną doliny, gaje*

*Szczyty gór, bory i ruczaje\*.*

\* Fragment wiersza Christophera Marlowe'a, *Namiętny pasterz do swej lubej*, przeł. Stanisław Barańczak, „Znak” 1992, nr 2.

Sara nie znosiła, gdy dorośli ludzie podczas rozmowy cytowali poezję. To w stylu nad wiek rozwiniętych dzieciaków, który sprawdził się jedynie w przypadku wspaniałego Richarda Burtona. Pan Emmons zdawał się tracić pewność siebie, więc nieznacznie wzruszył ramionami, by udowodnić, jak swobodnie traktuje tak doniosłe chwile.

— To Christopher Marlowe.

— Wiem.

Sara uśmiechnęła się z pewnością siebie, a pan Emmons zorientował się, że nieco przesadził.

— Związek na odległość? To bzdura. Przecież cię kocham, więc wyjedź ze mną do LA. Przeprowadź się do mnie. Wiem, że cię zaskakuję, ale po wypadku chyba trudno mi się dziwić? Po prostu kieruję się intuicją. Chcę cię mieć przy sobie. Nie chcę być nowoczesny.

Przemawiał teraz jej językiem. Posługiwał się *lingua franca* tych, którzy umierają na zimnych wrzosowiskach, szepcząc imiona ukochanych...

— Nie chcę się męczyć — ciągnął — ani omawiać naszych potrzeb przez telefon. To takie sterylne. Typowe dla dwudziestego pierwszego wieku. Przecież oboje wiemy, co czujemy. Dajmy się ponieść namiętności! Bądźmy romantykami. Wyjedź ze mną. Na swoich warunkach.

Sara zorientowała się, że zbliżają się do tematów łóżkowych. Uśmiechnęła się. Niezachwiana pewność pana Emmonsa schlebiała jej, a zarazem wprawiała w panikę.

— Hej! Nie musisz natychmiast decydować, co z nami będzie. Wiem, że... — Skinął na kelnera, próbując zamówić kolejny kieliszek wina. Sposób, w jaki domagał się uwagi — niby zwykły biznesmen — całkiem ją rozczył i zapragnęła powiedzieć mu to, co chciał usłyszeć.

Zaraz, zaraz, nie spiesz się, pomyślała. Co właściwie o nim wiedziała? Oczywiście, podobał jej się, ale — kto wie — mógł mieć pełną piwnicę przykutych do ścian młodych badaczek, błagających o rychłą śmierć. A co się stanie z meblami? Trzeba też wszędzie podać informację o zmianie adresu i zadzwonić do Con Edison — istne wariactwo.

— Chciałabym, naprawdę. Tylko że... właśnie rozpada mi się poprzedni związek, zostałam bez pracy i ogarnia mnie...

Pan Emmons uśmiechnął się uprzejmie. Dorosłe osoby zwykle zasłaniają się takimi wyliczankami, pielęgnując w ten sposób własne nieszczęście.

— Nie chodzi o to, że nie chcę — tłumaczyła dalej Sara. — Bardzo chcę. Potrzebuję jedynie trochę czasu.

Odpowiedział jej łagodnym uśmiechem. Jeśli trzeba, potrafił być cierpliwy.

— Sprawiasz, że chcę być z tobą zupełnie szczerzy — powiedział. — Nieczęsto mi się to zdarza, odkąd zerwałem z nałogiem.

— Kiedy to się stało?

— Pół roku temu.

— Po wypadku na nartach?

Sara widziała, że pan Emmons sięga pamięcią w przeszłość. Najwyraźniej istniała oficjalna wersja całej historii. Coś go jednak powstrzymało. Otworzył szeroko oczy i obdarzył ją uśmiechem.

— Byłem ciągle nawalony — przyznał. — Tylko mój sponsor o tym wie. A teraz także ty.

— Dziękuję.

Pan Emmons dopił wino.

— A to?

— Wino mam pod kontrolą. Mam słabość do koki. I metadonu. I trawy. Przerazające, co?

Sara roześmiała się i już miała zaprzeczyć.

— Trochę — przyznała.

— Dzięki za szczerłość. Jesteś zupełnie inna niż wszyscy w LA.

Dziewczyna zauważyła, że jej rozmówca często szufladkuje ludzi według miejsca pochodzenia czy zamieszkania: „jest taki londyński”, „absolutnie nie w nowojorskim stylu”. Wyczuła, że bycie zupełnie inną niż w LA zajmowało w jego hierarchii bardzo wysoką pozycję.

— Co przez to rozumiesz? — spytała.

— Nie kręcisz. Dlatego przebywanie w twoim towarzystwie jest takie przyjemne. Chociaż jednocześnie chyba trochę przerażające — wyznał z uśmiechem.

— Dlaczego?



— Czuję, że poddajesz mnie próbie. Kobiety sprawdzają mężczyzn, prawda?

— Życie ich testuje, a kobiety oglądają to z pierwszego rzędu.

Pan Emmons uśmiechnął się szeroko.

— Dowcipne. To mi się podoba.

— A teraz powiedz mi, czego się boisz. Tylko szczerze.

Mężczyzna odetchnął głęboko. Kolejna próba! Ale w końcu przecież zawsze lubił wyzwania.

— Boję się, że wszystko popsuję. Że wrócę do narkotyków. Że projekt się posypie. A ty?

— Obawiam się, że moja kariera akademicka legła w gruzach — odpowiedziała Sara.

— To wszystko? — podpuszczał pan Emmons.

— Tylko pewien list może mnie ocalić, ale nie potrafię go zdobyć.

— Dlaczego?

— Należy do jednej kobiety. Zrobiła się bardzo podejrzliwa, gdy jej powiedziałam, ile może za niego dostać.

Panu Emmonsowi wyraźnie ulżyło. Ratowanie Sary z opresji okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Błogosławione problemy, które można rozwiązać za pomocą pieniędzy, pomyślał.

— Zapłacimy rachunek, a potem wsiądziemy do taksówki i pojedziemy po ten list.

— Och, nie, on może być wiele wart. Dzwoniłam do niej tysiące razy. Nie odpowiada na moje telefony...

— Chodź, kupimy ten list. Potraktuj to jako prezent.

— Nie, nie mogłabym go przyjąć. Jeśli jest autentyczny, może kosztować dziesiątki tysięcy dolarów. Co najmniej.

Pan Emmons machnął lekceważąco ręką, jakby to był najmniejszy kłopot.

— Saro, nos mojej matki kosztował znacznie więcej!

\* \* \*

Drzwi otworzyło im młodsze wcielenie pani Wright.

— Nazywam się Carolyn Anson. Jestem jej córką — wyjaśniła. — W czym mogę państwu pomóc?

— Jakiś czas temu spotkałam się z pani matką. W sprawie listu — poinformowała w progę Sara.

Carolyn potrząsnęła głową, wyraźnie zdziwiona. To pewnie ta kokainistka, pomyślała Sara, chociaż na to nie wygląda.

— Matka jest w szpitalu. Miała udar.

— O Boże. Tak mi przykro.

— Zajmuję się jej mieszkaniem. Pakuję rzeczy. Lekarze powiedzieli, że musi się przenieść do domu opieki, bo przez całą dobę ktoś powinien jej doglądać. Modlimy się tylko, żeby starczyło jej sił.

— Przykro mi.

— Nigdy nie wspominała...

— Odpowiedziała na ogłoszenie, które zamieściłam, i powiadomiła mnie o pewnym starym liście, jaki znalazł się w jej posiadaniu.

— Proszę do środka. Przepraszam, ale okropny tu bałagan.

Carolyn zaprowadziła ich do salonu. Wielki telewizor był czarny, niemy i czał się w kącie jak śmierć. Nic dziwnego, że pani Wright nigdy go nie wyłączała, pomyślała Sara. W świetle dziennym zauważyła, że Carolyn nie wygląda na uzależnioną od narkotyków ani też na wielbicielek brudasów. Była miłą reprezentantką klasy średniej. Sarze nie przyszło do głowy, że pani Wright mogła tyle nazmyślać. Carolyn mieszkała w Westchesterze. Często widywała matkę — dzięki Bogu, znalazła ją tego dnia, gdy miała udar.

— Czy nie wydawała się trochę... — ściszyła głos do dyskretnego szeptu — no, wie pani, wstawiona?

— Nie, chyba wszystko było w porządku. Dlaczego?

— Po prostu od śmierci taty cierpi na lekką... depresję. I pije. To znaczy, od czasu do czasu wypija kieliszek wina. Proszę mnie tylko źle nie zrozumieć, to nie Betty Ford ani nikt w tym stylu.

— Kiedy pani o tym wspomniała, przypomniałam sobie, że być może wypła parę kieliszków — przyznała Sara.

— Wiedziałam — zmartwiła się Carolyn, nerwowo splatając i rozplatając palce. — Mogła popaść w lekką paranoję. Mam nadzieję, że nie zachowała się w ten sposób w pani obecności.

— Była bardzo miła — zapewniła Sara.

— Przyszliśmy się dowiedzieć, czy postanowiła coś w sprawie tego listu — powiedział łagodnie pan Emmons.

Carolyn skinęła głową i poszła szukać szkatułki matki. Skrzyneczka okazała się pusta.

— Czy gdy ją pani znalazła, miała na sobie różowy rozpinany sweter? — spytała Sara.

— Tak, to takie przygnębiające. To był jej ulubiony bliźniak — przypomniała sobie Carolyn.

— Przygnębiające?

— Wyrzuciłam go. Gdy ją zastałam, była w okropnym stanie.

Na wspomnienie wciśniętego do kieszeni listu Sarze skurczył się żołądek.

— Rozumiem — odpowiedziała, powoli wydychając powietrze. Drapało ją w gardle od tłumionego płaczu.

— Saro, tak mi przykro — pocieszał ją w taksówce pan Emmons.

— Ach... — westchnęła. Może nie był autentyczny, przekonywała się, sama w to nie wierząc.

— Czy istnieją jakieś inne listy?

— To był pierwszy, który widziałam z bliska. Bez niego moje badania tracą sens.

— Nie dla mnie. Mamy przecież wspólny projekt, prawda? — Mrugnął do niej, starając się ją rozweselić.

Sara tylko smutno się uśmiechnęła. Rzeczywiście, miał rację. Faktycznie zajmowała się projektem. Może los chciał, by jedynie rzuciła okiem na ten list, poznała jego treść i go utraciła? Przetrawanie też jest jakimś rozwiązaniem. To wszystko, co ma do dyspozycji, więc musi to jakoś wykorzystać.

— Masz rację — rzuciła stanowczo. — Lepiej zrobmy film.

— To mi się podoba — pochwalił pan Emmons, gdy zatrzymywali się przed jej domem.

Sara zdobyła się na uśmiech i odwróciła się w jego stronę.

— Nie miałbyś ochoty wejść na górę?

# Prawdziwe szczęście

*Los, jaki w swej mądrości i dobroci ofiarowuje mi Opatrzność, nie wszystkim — mam tego świadomość— wydałby się wspaniały, lecz ufam, że odnajdę w nim odrobinę prawdziwego szczęścia.*

Charlotte Brontë, list do Margaret Wooler, 1854

LA? Naprawdę Los Angeles? Saro, przecież ty tam zupełnie nie pasujesz — stwierdziła Meredith. — Pan Emmons też tak mówi.

— Nazywasz go panem Emmonsem? Brzmi okropnie — oceniła Meredith. — Jak on właściwie ma na imię?

— Byrne — odpowiedziała Sara.

— Dobra, lepiej zostań przy panu Emmonsie. — Meredith zgarnęła z talerza resztki sałatki ziemniaczanej prosto do stołkowego kosza. — Masz rację, że go spławiłaś. LA, daj spokój.

— Nadal się spotykamy. Potrzebuję tylko trochę czasu. Poza tym muszę się rozejrzeć za pracą.

— Nawet o tym nie wspominaj — powiedziała Meredith, sięgając do torebki po papierosa i zapalki.

— Czy on nie jest przypadkiem jakimś scjentologiem albo kimś w tym rodzaju?

— Prawie — przyznała niepewnie Sara. — Jest w AA. Nie, właściwie jest anonimowym narkomanem. Pić może.

Meredith uśmiechnęła się i przewróciła oczami.

— Też mi pocieszenie.

Sara rozejrzała się po kampusie ziejącym pustką w czasie zimowej przerwy wakacyjnej. W oddali, na jego skraju, dostrzegła niedobitki protestujących, którzy nadal coś wykrzykiwali *à propos dojścia*, choć Boże Narodzenie już minęło. W promieniach popołudniowego słońca wyglądali jak chór występujący w specjalnym świątecznym wydaniu programu telewizyjnego. Tego ranka spadł śnieg, który jeszcze lśnił świeżym, telegenicznym połyskiem. Pokryte bielą miasto przez pierwszych kilka godzin zawsze wyglądało pięknie. Potem zarastało warstwą zlodowaciałego brudu, a w końcu ludzie zaczęli się pozbywać starych choinek i materaców, umieszczając je wzdłuż chodników.

— Poza tym... — zaczęła Sara, grzebiąc widelcem w sałatce z tuńczyka.

— Co poza tym?

— Nic. Jestem szczęśliwa...

— Nic podobnego. Co poza tym?

— Po prostu nadal... cholera, nadal... jestem taka przywiązana do Paula...

— Niech to szlag! — zdumiała się Meredith, kojarząc fakty. — Nic ci nie powiedział?

— O czym? — dopytywała się nerwowo Sara.

— Przeprowadza się do tej kobiety, Therese. Nie mogę uwierzyć, że nic nie wiesz, że ci nie powiedział. Pieprzony kochaś. Widzisz? Ale to ci wyjdzie na dobre.

Sara doznała znajomego już uczucia, że żołądek wywraca jej się na lewą stronę. W zdumieniu patrzyła przez okno.

— Boże, ależ ze mnie idiotka. Kiedy to się stało? Meredith wzruszyła ramionami. Nie miała pewności.

Początkowo Sara była wściekła, bo przepełniał ją ból. Potem po prostu odrętwiała i zaczęła się denerwować, że cierpienie minęło, skryło się gdzieś w głębi niej, zupełnie niedostępne. Jak w tej piosence, pomyślała, *Dzień dobry, smutku, usiądź sobie*. Czuła do Paula jedynie nienawiść. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie stanowiła ona wcale przeciwieństwa miłości, lecz jej brutalny ciąg dalszy.

— Naprawdę mi przykro.

Boże, musiało być rzeczywiście strasznie, skoro nawet Meredith zdobyła się na wrażliwość. Sara pokiwała głową i spróbowała coś z siebie wyrzucić. Rozpaczliwie pragnęła samotności.

— Muszę już iść — wybąkała wreszcie i wyrzuciła lunch do kosza. Usłyszała jeszcze, jak Meredith ją woła, lecz współczucie koleżanki tylko pogarszało sprawę. Wypadła na zewnątrz i sztywnym krokiem przeszła przez kampus, mijając budynek, w którym spotkała Paula, dziedziniec, gdzie wspólnie jedli kupowane na wynos lunchy — jakie to okropne, a moja naiwność jest po prostu śmieszna, pomyślała. Maszerując obok Wydziału Literatury i Kulturoznawstwa, Sara przez nieuwagę znalazła się w samym środku grupki demonstrantów. Nagle coś zwróciło jej uwagę. Wpatrywała się w ich twarze — ich nastrój odpowiadał jej własnemu — byli oteźpiali, smutni, przekonani o tym, że świat zawiódł ich oczekiwania.

Ich liczba znacznie się skurczyła. Jak policzyła Sara, pakowanie „maryi” do skrzyni obserwowało już tylko około piętnastu osób. Sprawiały wrażenie publiczności, która pojawiła się po zakończeniu przedstawienia — Claire została zawieszona, badano sprawę jej „niestosownego związku” z różą. Dziewczyna rzuciła zresztą studia i podpisała z jakimś agentem umowę na montaż kilku rockowych wideoklipów w duchu chrześcijańskim.

Stali na świeżym śniegu, a słońce odbijało się od okien pomieszczenia, w którym leżała „maryja” z udami pogrążonymi w morzu styropianowych kulek przywracających jej skromność. Wszystko odbywało się w absolutnej ciszy. Sara miałaby trudności z ustaleniem, czy tłumek popierał te działania czy nie. Stała obok kobiety w zielonym aksamitnym kapeluszu, który wyglądał dziwnie figlarnie ponad jej surową, napiętą twarzą. Może mieć około czterdziestu pięciu lat, domyślała się.

— Zabierają ją do centrum miasta. — Kobieta niepytana zwróciła się do Sary. — Tam, gdzie jej miejsce. — Obojętny ton, jakim to powiedziała, nie pozwolił Sarze ocenić, czy ze złośliwością odnosi się do starego miasta czy do jego obrzeży. Na twarzach większości zebranych malował się taki sam wyraz zmęczenia, który kojarzył się dziewczynie z wieczną urazą. Czuła się tu nie na miejscu. Nie wyrobiła sobie nawet zdania na temat rzeźby. Do tej pory w ogóle jej nie widziała.

Teraz było już jednak za późno. Dzieło budziło ogromne kontrowersje, udział w dyskusji nie miałby więc sensu. Jednak owe kontrowersje, zamiast podgrzewać debatę, zdawały się ją tłumić. Gdy coś zyskuje renomę obiektu skandalu, odbiera się to w jakiejś nadludzkiej skali. Staje się rzeczą samą w sobie, jak gatunek ryby czy jednostka waluty. Popieranie lub sprzeciwianie się czemuś, co osiągnęło ten status, nie ma sensu, ponieważ tak czy inaczej wykracza to już ponad wszelkie sądy. Ludzie oglądali rzeźbę, ponieważ o niej czytali, albo czytali o niej dlatego, że ją widzieli. Istniały już obozy jej zwolenników i przeciwników, każdy z ustaloną ideologią, więc można się było jedynie do nich ustosunkować. Jako przedmiot rzeźba stała się samowystarczalna. Była jak naczynie, przez które wciąż przepływały bezsensowne opinie.

Słońce chowało się za drzewami, oświetlając złocistymi plamami „maryję” i dwóch zajmujących się jej transportem mężczyzn. Jeden z nich, niewysoki Portorykańczyk, ciągle zagarniał rozsypujące się styropianowe kulki. Drugi był młody, umięśniony i uczesany na Elvisa. Zdawał się odpowiadać za bezpieczeństwo przewozu „maryi”. Ostrożnie i delikatnie umieszczał ją w skrzyni.

Gdy ją unosił, wyslizgnęła mu się z rąk i znalazła w plamie światła, która przez chwilę zdawała się utrzymywać ją w powietrzu. Sara usłyszała, jak kobieta obok wciąga powietrze i jak po chwili sama to robi. Jednakże ufryzowany chłopak z wdziękiem wsunął rękę pod biodro Dziewicy. Zdawał się niemal zmieszany tą intymnością. Uchwyciwszy rzeźbę, Elvis zdał sobie sprawę, że jedynym bezpiecznym sposobem przeniesienia „maryi” jest wzięcie jej w ramiona, objęcie jej wygiętej jak w ekstazie sylwetki. Wyglądali, jakby wykonywali jakiś uwodzicielski nowoczesny taniec. Wreszcie chłopak powoli umieścił rzeźbę w skrzyni. Była to uroczą chwilą. Sara niemal usłyszała w myślach pełne prowincjonalnego szacunku słowa mężczyzny: „Przepraszam za tamto, pani Chrystusowa”.

Sara rozejrzała się po twarzach towarzyszących jej osób — na wszystkich malował się wyraz zażenowania i zdumienia, „maryja” zmieniła się na chwilę w piękność, w niezapomniany widok. Przytulona i uniesiona niewyćwiczonym, czułym i erotycznym gestem stworzyła dziwny, a zarazem wspaniały obraz — pietę z „maryją” i Elvisem. Protestujący spojrzeli po sobie z lekkim poczuciem winy, zastanawiając się, co właściwie się stało na ich oczach.

Sara na moment zapomniała, że nie wie, co począć, jak jej smutno i jak zmęczyło ją rozczarowanie. Ta chwila jednak wkrótce minęła. Tłumek zaczął się przegrupowywać, a ona zastanawiała się, w jaki sposób zniszczyć ulubiony pierwodruk Paula. Ogniem czy wodą? Jeśli wodą, należałoby wejść do rzeki i patrzeć, jak Orwell tonie. Zbyt przygnębiające, zdecydowała. Za to ogień szybko się rozprzestrzenia, jest niebezpieczny, a przez to bardziej upajający. Mogłaby też sprzedać książkę. Nie, to zbyt pragmatyczne. Sara pragnęła zadać cierpienie. Tylko komu? Paul żył już swoim życiem, nieczułym na jej drobne okrucieństwa. Zniszczenie jego książki uwydatniało jedynie jej bezsilność, targający nią gniew, jej niezdolność do radzenia sobie z życiowymi niepowodzeniami. Pogłębiało jej słabość. Potrzebowała kontrataku, który wskazywałby na potężne rezerwy odporności na stres i żelazne zdrowie psychiczne. Musiała ułożyć sobie życie, a jeśli nie było jej na to stać, powinna choćby udawać, że to potrafi. Czyż nie tak doradzali jej często rodzice psychoterapeuci? Uśmiechnij się, a od razu poczujesz się szczęśliwsza! Coś w tym stylu, przypomniała sobie Sara.

— A potem odeślą ją do Los Angeles. Tam kończą wszystkie świry — relacjonowała kobieta w zielonym aksamitnym kapeluszu.

— Właśnie tam wyjeżdżam — nagle radośnie zdecydowała Sara. Zbyt radośnie, gdyż wzbudziła tym podejrzliwość kobiety, która odwróciła się i utkwiała wzrok w mężczyznach tak sprawnie zajmujących się transportem Dziewicy. Sara nie ruszyła się z miejsca. Wszyscy zostali i obserwowali, jak uczesany na Elvisa chłopak zamyka skrzynię z „maryją”.

Gdy Sara ruszyła do domu, słońce już zaszło. Plakaty w witrynach sklepowych zachęcały do oszczędności i nedorzecznych sposobów uczczenia Nowego Roku. Sara nie miała pewności, na co się zdecydowała, ale czuła, że to całkiem sprytne wyjście z sytuacji.

W panu Emmonsie podobają mi się następujące cechy, myślała, tworząc w głowie listę. Jest stanowczy, męski, inteligentny i wykształcony, wie, do czego dąży, ma garnitury i odpowiada na telefony. Wydawał się dorosły w zupełnie nowy dla niej sposób. Okazał się przecież wystarczająco dojrzały, by uświadomić sobie swój nałóg i sobie z nim poradzić — to lepsze niż płytkość mężczyzny, który tak naprawdę nigdy z niczym nie walczył. Poza tym był opiekuńczy, w jego obecności miała poczucie, że ktoś nad nią czuwa, czuła się pożądana. Interesował się nią, i to zupełnie szczerze, może nawet bardziej niż ona nim. To ją uspokajało. Moment, w którym pojawił się w jej życiu, zdawał się niemal magiczny pod względem wycucia czasu.

Raziło ją z kolei to, że bywał odrobinę pretensjonalny, popisywał się znawstwem win i zdradzał swoje wysokie mniemanie o sobie, gdy mówiąc o codziennych sprawach, w wystudiowany sposób wplatał obcojęzyczne wstawki. Był porywczy i nie cierpiał frajerów. Jego poczucie humoru trąciło złośliwością, ale mimo swojej powierzchownej uprzejmości Sara również nie należała do bezkrytycznych osób. Wszystkie jego wady wydawały jej się znośne. Sama nie była zresztą wcieleniem doskonałości.

Oto, co mi się podoba w Los Angeles, ciągnęła w myślach: mogę tam zrobić karierę (jeśli realizacja filmu przebiegnie pomyślnie), trochę się boję tego miasta, a poza tym oddzieli mnie od Paula nie tylko ocean, ale i cały kontynent. „Potrzebujesz w Nowym Roku więcej przestrzeni?” — pytał napis przy wejściu do sklepu żelaznego. Sara zatrzymała się i utkwiała w nim wzrok. Owszem, miejsca na przechowanie rzeczy. Jeśli mam się przeprowadzić, muszę gdzieś umieścić swoje rzeczy. Zapisała w notesie numer telefonu i skierowała się w stronę domu.

## Można wiele wybaczyć

*Jeśli Lucy kogoś poślubi, niech to będzie Profesor — człowiek, któremu można wiele wybaczyć, wiele „przetrimać”.*

Charlotte Brontë, list do George'a Smitha, 1852

Jego styczniowego popołudnia, gdy Sara przyleciała do Los Angeles, było ponad dwadzieścia stopni powyżej zera, a słońce czasem wyglądało zza chmur. Pan Emmons czekał na nią z kwiatami tuż przy punkcie kontroli paszportowej. Odebrała to jako kolejny dobry znak potwierdzający słuszność jej decyzji. Od dzieciństwa nikt nigdy nie odbierał jej z lotniska.

— Ślicznie wyglądasz.

— Dziękuję. Długo czekałeś? — spytała, całując go. Jeszcze niezręcznie się ze sobą czuli, byli sobie fizycznie obcy — zauważyła. Uściski niezgrabnie przechodziły w pocałunki i na odwrót.

— Skądże. Przyleciałaś wcześniej, niż zaplanowano.

— A gdzie ten nowy samochód, o którym tyle mi opowiadałeś?

Pan Emmons uśmiechnął się i zaprowadził ją na obszerny parking, gdzie czekało na nich nowiutkie auto Facel Vega. Pan Emmons miał ciężki orzech do zgryzienia — trudno mu było stwierdzić, co bardziej go ekscytowało: przeprowadzka Sary do Los Angeles czy stary samochód, na którego dostarczenie z Francji czekał już od pół roku. Cudownym zbiegiem okoliczności dziewczyna i auto zjawiły się tego samego dnia, a pan Emmons

przyjął to jako dobrą wróżbę. Nagle wszystko wydało mu się takie proste. Z pewnością wynikało to z jednoczesnego przyjazdu do Los Angeles kobiety i samochodu, o których marzył.

— To ten? — spytała Sara, zauważywszy piękny stary automobil z bladożółtą karoserią i siedzeniami obitymi ciemnoczerwoną skórą. To prawda, ma wyjątkowy gust, pomyślała, tym bardziej polechtana faktem, że wybrał właśnie ją.

— W sam raz dla królowej — powiedział, kurtuazyjnie otwierając drzwi.

— Ta rzeźba pochodzi z Lhasy, przelicytowałem dla niej Davida Geffena — pochwalił się pan Emmons, wskazując na ogromną statwę medytującego Buddy w ogrodzie na tarasie.

— A kto to jest? — spytała Sara.

— Zabawna jesteś. — Uśmiechnął się i zajął przygotowanym już jedzeniem. — Zwykle siadywałem tutaj po tym, jak rzuciłem narkotyki. Marzyłem o kresce koki — wyjaśnił. — Pewnej nocy nie mogłem zasnąć. Pragnąłem tylko wsiąść do samochodu i pojechać na jakąś imprezę. Ale wytrzymałem już wtedy około miesiąca. Byłem z siebie dumny. Więc wyszedłem na taras i pomyślałem, że muszę wyjechać z tego miasta — zbyt wiele wspomnień. A potem przypomniało mi się, co mówili na terapii o zmianie miejsca pobytu. Człowiekowi się wydaje, że jeśli się przeprowadzi, pozbędzie się wszystkich problemów, więc wyjeżdża albo radykalnie zmienia swoje życie i... no cóż, to na nic. Wiesz o tym? Sara przytaknęła.

— Więc wyszedłem na taras, usiadłem — była chyba trzecia nad ranem — i powiedziałem sobie: „Dobra. Nie wyjadę. Zostaję. Zostaję tu, gdzie jestem. Będę uprawiał ten ogród, poznam nazwy wszystkich kwiatów, drzew, motyli i ptaków...” Wiem, że to brzmi ckliwie.

— Nie, wcale nie.

Pan Emmons uśmiechnął się uspokojony.

— Ten tutaj to bielinek kapustnik — powiedział, wskazując na białego motyla unoszącego się nad gałązką fioletowej bugenwilli. — Nazywa się tak, bo przeważnie składa jajeczka w kapuście. A ten pomarańczowy to perłowiec. Zasadziłem dla nich tę passiflorę. Uwielbiają ją. Męczennica, czyli passiflora, pojawiła się w widzeniu świętego Franciszka, zobaczył, jak porasta krzyż. Stąd ta nazwa, którą wymyślili jezuici — informował, pokazując dziewczynie pnącze. — Płatki jej kwiatów mają symbolizować apostołów, a przykoronek aureolę lub koronę cierniową, zależnie od nastroju — ja dostrzegałem obie — a pręcik ma się kojarzyć z pięcioma ranami zadanyymi Chrystusowi. Pewnie ci się wydaje, że zwariowałem?

— Nie — roześmiała się Sara.

Rozejrzała się po ogrodzie. Wszystko, co usłyszała, powinno ją zaniepokoić, a mimo to czuła się dziwnie ukojona przez to otoczenie i samego pana Emmonsa, który zdawał się taki wszechwiedzący, znał nazwy, przyczyny, cały plan. Nachyliła się, by go pocałować. Efekt po raz pierwszy okazał się zupełnie niewymuszony i oboje niezmiernie się z tego ucieszyli. Zniszczony list był dla nich widocznie ukrytym błogosławieństwem. Ile jeszcze lat spędziłaby, szukając korespondencji Charlotte, racząc przygnębione wdowy chablis i błagając o stypendia?

— Wiesz, co nas łączy? — spytał pan Emmons.

— Co takiego?

— Oboje jesteśmy romantykami. Sara uśmiechnęła się, mile polechtana.

— Chyba masz rację — powiedziała, lekko go całując.

— Chcesz wejść do środka?

— Czyżbyś nie chciał się przejechać nowym samochodem? — przekomarzała się Sara.

Pan Emmons uśmiechnął się z miną winowajcy.

— To nie jest zwyczajny samochód. To facel II z 1962 roku.

— Mhm.

— I bardzo chciałbym go wypróbować.

— Może przejedziemy się brzegiem oceanu, a potem tu wrócimy. Mamy mnóstwo czasu.

— Wiedziałem, że nie bez powodu tak cię Kocham — odpowiedział, znów ją pocałował i sięgnął po kluczyki.

## Część druga

*Duch romantyzmu wymagałby innego stylu, bardziej kwiecistego i kuszącego; wprowadzałby wielkiego bohatera, wiernie się go trzymali uczynił z niego „przezacną” postać — powinien bowiem mieć bożyszcze, i to nie nieme, obojętne. Byłoby to jednak do gruntu sprzeczne z Prawdziwym Życiem, niezgodne z Prawdą — wbrew Prawdopodobieństwu.*

Charlotte Brontë, list do George'a Smitha, 1852

## Prawda

*Czy pomiędzy Panią a surową Prawdą nigdy nie pojawia się świetlisty obłok — ponieważ ma Pani jej świadomość w głębi swej przenikliwej Duszy?*

Charlotte Brontë, list do pani Gaskell, 1853

Niektórym kochankom los daje tylko jedną szansę na spotkanie. Innym zaś zsyła niezliczone okazje. Bez względu na okoliczności, do takiego fortunnego zdarzenia dochodzi dzięki zaistnieniu jakichś koniecznych warunków. W przypadku Sary i pana Emmonsa było to połączenie mdłości, nieprzeniknioności pewnej nowojorskiej toalety oraz chimerycznej natury jego telefonu komórkowego. Mieli tylko jedną okazję, by się spotkać, lecz tak wykorzystali ten skromny dar, że po roku leżeli już obok siebie, w półśnie, z niemym uznaniem dla dobrego smaku pana Emmonsa, przejawiającego się w doborze pościeli.

Powszechnie uważa się, że romantyczka musi się wyzbyć mnóstwa złudzeń, by wylądować w łóżku z producentem filmowym, jednak iluzje Sary pozostawały nienaruszone, gdy budziła się co rano u boku pana Emmonsa. Za pomocą przeznaczenia można tłumaczyć najrozmaitsze rzeczy. Można się przenieść na drugi koniec kraju, by być z niemal nieznanym człowiekiem o dość burzliwej przeszłości. Można podjąć taką decyzję w porywie romantycznej desperacji albo, jak określiliby to lekarze, podczas ataku afektywnej depresji sytuacyjnej.



Sara mogła się budzić co rano z nagłą świadomością sytuacji, z błakającą się po głowie myślą: Chcę do domu. Mogła przyglądać się kochankowi i zastanawiać, jak to się stało, że w ciągu ośmiu miesięcy wspólnego życia stał się jej bardziej — nie mniej — obcy. A jeśli cechuje ją słabość romantycznego usposobienia, stwierdzi, że to los zawiódł ją do łóżka tego nieznanego człowieka. W ten sposób wytłumaczy sobie własne życie, bo do tej pory czynnik losu dominuje w nim nad ledwie skrywaną troską przyjaciół i rodziny.

Po miesiącach krótkich i mało konkretnych telefonów do domu zaczną się najpewniej długie nocne rozmowy z matką, przerywane długą ciszą, w których Sara usłyszy wypowiedane z westchnieniem słowa: „Cóż, kochanie, przecież wiesz, że zawsze jesteśmy z ojcem po twojej stronie”, co zapowie nieuchronny kryzys, albo bardziej wymijające: „Cóż, sama wiesz, co dla ciebie najlepsze”, albo praktyczne: „Jak długo jeszcze zamierzasz trzymać swoje rzeczy w garażu?” Dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę, że według teorii matki zbyt szybko i nie do końca pozbiierała się po rozstaniu z Pauliem — krótko mówiąc, wcale z tego nie wyszła — a teraz zaangażowała się w typowy związek na pokaz, który przysporzy jej więcej cierpienia niż jej byłemu chłopakowi, jeśli na dobre się rozwinie. Jeżeli, na przykład, Sara wprowadzi się do tego mężczyzny.

Coraz rzadziej odbierała więc telefony. Nawiazywała nowe przyjaźnie lub przynajmniej znajomości. Zaczęła postrzegać swoje wcześniejsze pasje jako niedojrzałe, wręcz głupie. Porzuciła doktorat i kupowała nowe buty. Nie miała pewności, czy jest szczęśliwa, ale przynajmniej otoczenie zapewniało ją, że powinna. Któż by nie marzył, by znaleźć się na jej miejscu? W końcu dom pana Emmonsa opisano w kolorowym czasopiśmie. Jej partner kolekcjonował meble, rozmaite przedmioty, obrazy i z dumą powtarzał, że zawsze o krok wyprzedza otoczenie. *Stalowe szafy apteczne? Chińskie tabakiery? Sztuka lat pięćdziesiątych? Przecież od lat to zbieram! To biurko? Stare drewno — już się takich nie dostanie. Znalazłem je w jakimś magazynie w Pensylwanii. Możecie mi nie wierzyć, ale chcieli je wyrzucić. Chociaż nie, teraz byle gnojek ma kogoś, kto poluje dla niego na stare drewno.*

Nawet pościel była z prawdziwego lnu, z Irlandii, jak powiedział pan Emmons, a dbała o nią służąca mówiąca z lekkim akcentem z Zielonej Wyspy. Zresztą każdy, kogo poznawała tu Sara, zdawał się mówić z lekkim obcym akcentem, który wynikał raczej z aspiracji niż pochodzenia. Przecież była pewna, że słyszała, jak tamta kobieta opowiadała o swoim dzieciństwie w Redondo Beach.

— Kiedy myśli, że miłość już odeszła, odnajduje ostatnie wielkie uczucie. — Instruktorka jogi Sary, Jasmyn, doradziła jej wybór bardziej optymistycznej mantry. — A teraz coś więcej. Żyj terazniejszością. — Sara zdawała się odzyskiwać spokój, gdy po takich sesjach popijała imbirowo-cytrynową herbatę. Z poczuciem winy skrywała przekonanie, że natura poskapiła jej możliwości odczucia wewnętrznego światła. — Wdychaj ciepło i radość, teraz wydech, poddaj się temu... — zażądała Jasmyn. Sara posłusznie kiwała głową, patrząc na gęsty smog spowijający Los Angeles.

A jej „szczęśliwe miejsce”? Miejsce, gdzie czuła, że pozostaje w zgodzie z otoczeniem? O dziwo, marzyła o powrocie do stanu sprzed roku, o nauczaniu i karierze zmierzającej przecież wtedy ku akademickiej porażce. To po prostu tęsknota za samsarą, skłonność ego do Igniecia do własnych dramatów — skwitowałyby zapewne Jasmyn. Pan Emmons uwolnił ją od tego i w swoim czasie bardzo jej to odpowiadało. W końcu romantycy zawsze tęsknią za wyzwoleniem. Powinnam być mu wdzięczna, upomniała się. Gdyby tylko się nie odzywał.

— WIESZ, JAK SMAKUJE TWOJE GÓWNO? — Z gabinetu na końcu korytarza brzmiał donośny głos pana Emmonsa. Od rana rozmawiał przez telefon. Sara nawet nie słyszała, jak wstał. — Lepiej przywyknij do tego smaku, bo CIĘ ZAKOPIĘ W TWOICH PIERDOLONYCH ODCHODACH, ROZUMIEMY SIĘ? Mam gdzieś, ile chce. Sorry, ale zdaje się, że jej ostatni film nie zarobił tych dziesięciu milionów? Nie, to bzdury, przecież nawet Japonia siedziała w domu. Kantujesz mnie, a na dodatek wcale nie słuchasz. Dobiore ci się do dupy, zatłukę cię, ZAMORDUJĘ, nic nie zostanie, zobaczysz, to będzie EKSTERMINACJA.

Telefony pana Emmonsa rozdzwaniały się zaraz po lekkim śniadaniu złożonym z owsianki i owoców i nie cichły aż do jedenastej, kiedy to zjawiał się jego osobisty trener.

— Dlaczego mówię jak antysemita? Jestem Żydem. Żydem, który nienawidzi samego siebie? Skąd, uwielbiam siebie. To ciebie nienawidzę, żydowski wypierdku! Nie pouczaj mnie, kurwa, o zarządzaniu gniewem!

Sam fakt, że jeszcze żyjesz, świadczy o tym, że świetnie sobie z nim radzę. Och, daj spokój! To nie była groźba. Halo? Drań!

Sara usłyszała agonalne rżenie telefonu, gdy pan Emmons wyrzucał go przez okno. Nowy telefon przez nowe zamknięte okno.

— Dzień dobry, kochanie. Obudziłem cię? — spytał radośnie, ukazując się w drzwiach.

— Nie, już nie spałam. — Nie mogła się przyzwycząić do jego błyskawicznych zmian nastroju. Będzie musiała mu się lepiej przyjrzeć.

Pan Emmons padł na łóżko, uważając, by zamszowymi butami do samochodu nie dotknąć Inianej pościeli.

— Upiera się przy dziesięciu milionach. Powiedziałem jej agentowi, że to praktycznie połowa naszego budżetu, a to prestiżowy projekt — ustalaliśmy to już ustnie. Marty będzie zachwycony. To wystarczy, żeby położył krzyżyk na całej sprawie...

Marty był kierownikiem w wytwórni filmowej. W ostatniej chwili zastąpił wielbicielkę Brontë, która przez siedem miesięcy dopraszała się poprawek scenariusza, a w końcu została zwolniona. Pan Emmons doskonale wiedział, że Marty chciał utopić projekt, ponieważ dostał go w spadku po kimś innym. Całkiem otwarcie przyznawał, że nie wróży mu wielkiej przyszłości, ale przekonali się do niego bardzo popularni aktorzy, którzy akurat nie byli związani z niczym prestiżowym, więc wytwórnia nadal chciała to ciągnąć. Przynajmniej dopóki Marty nie znajdzie powodu, by ją od tego odwieść.

— Może jeszcze o tym nie wie. Nadal mam trochę czasu, żeby ją ugadać — dorzucił smutno pan Emmons.

Sara uważnie go obserwowała. Zauważyła nabrzmiałe żyły pulsujące na jego skroniach. Przez cały dzień będzie w fatalnym humorze.

— Nie miałam pojęcia, że jesteś Żydem — powiedziała wreszcie. To wystarczyło, by odwrócić uwagę pana Emmonsa od rozmyślań nad zdobyciem dziesięciu milionów dolarów.

— Nie jestem. Ale prędzej szczenę, niż pozwolę temu zwyrodniałemu padalcowi wyzywać się od antysemitów.

Pan Emmons wpatrywał się w sufit, przyznając w myślach, że uwaga o eksterminacji zapewne była nierozważna i w decydującym momencie może się obrócić przeciwko niemu. Przeniósł wzrok na Sarę.

— To ma dla ciebie jakieś znaczenie?

— Nie, skądże — odpowiedziała Sara, przytulając się, by go uspokoić. — Tylko... czasami zdaję sobie sprawę, jak mało o tobie wiem.

Oczy pana Emmonsa zwilgotniały. Świadomie dramatycznym gestem przyciągnął jej dłoń do piersi.

— Przecież mnie dobrze znasz.

Sara uśmiechnęła się, niepewna, czy wzruszyła ją szczerść tego gestu czy starania pana Emmonsa, by wydawać się szczerym. Pocałował ją, a ona przyciągnęła go do siebie, przez co jego zamszowe buty niebezpiecznie zbliżyły się do pościeli. Nagle pan Emmons usiadł na łóżku.

— Zaraz przyjdzie trener. Przepraszam, kochanie, ale muszę być dzisiaj skoncentrowany.

— W porządku — odparła Sara. Pan Emmons spojrział w lustro.

— Pieprzone dziesięć milionów — wymamrotał, nieświadomy nawet, że to robi.

Sara przyglądała się, jak wkłada koszulkę. Rozprostował zagniecenia, które go irytowały.

— Była twoją kochanką? — domyśliła się.

— Kto?

— No, jak jej tam. Ta aktorka.

Skłonność Sary do zapominania nazwisk prawdziwych sław nie wydawała się już panu Emmonsowi czarująca, raczej denerwująca. Zdradził go krótki śmiech, przypominający prychnięcie.

— W twoich ustach brzmi to tak romantycznie. — Dobrodusznie wzruszył ramionami, przyjmując ton światowca. — Zabawiliśmy się kilka razy. Dawno temu, grała jeszcze same ogony w telewizji.

Sara uważnie na niego spojrzała.

— Pewnie zapomniałem do niej zadzwonić czy coś... jestem taki zapominalski. — Pan Emmons był wystarczająco wrażliwy, by zauważyć, że nieco rozczarował dziewczynę, sprawiając wrażenie typowego samca. — Czasami wyłaził ze mnie kawał kutasa — przyznał. — Zanim poznałem ciebie — dodał, pamiętając o powszechnym, pierwotnym przekonaniu każdej kobiety o własnej zdolności do przemiany łajdaka w księcia, które pozwoliło mu zresztą uniknąć wielu nieprzyjemności.

Sara uśmiechnęła się. Może mu kiedyś uwierzy, ale ta chwila jeszcze nie nadeszła.

— To było w czasach, kiedy nadużywałem różnych niedozwolonych substancji — wyznał. — Tak bardzo pragnę, żeby wszystko się udało. Z nami i projektem.

— Wiem. — Uśmiechnęła się znowu Sara. Dźwięk dzwonka u drzwi sprawił panu Emmonsowi wyraźną ulgę.

— To pewnie Eryk! Pieprzone dziesięć milionów — mówił do samego siebie, bezgłośnie przechodząc do salonu.

Sara znów się położyła. Dobiegał ją odgłos spryskiwania, jaki co rano wydawały zraszacze trawników. Oprócz niego słychać było tylko ocean. Przysłuchiwała się więc temu wodnemu duetowi — falom oraz pstrykaniu i szumowi zraszaczy. Jak zawsze, nic nie mąciło spokoju. Spryskiwanie ustało, więc oprócz oceanu słychać było jedynie szcęk sztangi podnoszonej przez pana Emmonsa pod okiem Eryka.

Wkrótce partner Sary znów stanął w drzwiach.

— Kochanie, nawet się nie ubrałaś. Eryk czeka, a o pierwszej mamy spotkanie.

— Niebo opustoszało od tych spotkań — mruknęła pod nosem Sara.

Pan Emmons wpatrywał się w nią, nic nie rozumiejąc.

— Dobrze się czujesz, kochanie?

## Paroksyzm cierpienia

*Zastałam go opartego o furtkę do ogrodu, w paroksyzmie cierpienia — łkał tak, jak nigdy nie szlochają kobiety... wszyscy w Hayworth sądzą, że odrzuciłam jego oświadczenia etc. Jeśli współczucie mogłoby się okazać Panu N. pomocne, powinien go doznawać i wierzyć, że tak w istocie się dzieje. Mogą mi ubliżyć, jeśli taka jest ich wola... Czy to robią czy nie, nie mam pojęcia.*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1853

Czy można coś zrobić, żeby Charlotte nie wyszła na... taką jędzę? Jak myślisz? Zwłaszcza w scenie, w której daje kosza temu Nichollowski...?

— Jasne, Marty, nie ma problemu — natychmiast zapewnił pan Emmons. — Przyznaję, że jest trochę złośliwa.

— Nykki i mnie wydawało się, że to najistotniejszy moment — odezwała się Sara. — Pokazuje jej siłę, pragmatyzm. Jest romantyczką, ale tutaj kalkuluje na zimno — przypomniawszy najwyraźniej wbrew zasadom obowiązującym na tego rodzaju spotkaniach, bo pan Emmons lekko pokręcił głową, nim pociągnął kolejny łyk pellegrino.

— Chyba jednak istnieje jakiś pośredni sposób, by nie zaprzeczając faktom, pokazać jej siłę, eliminując złośliwość — ratował sytuację. — Sara dopiero od niedawna pisze scenariusze. Jestem pewien, że Nykki w lot to złapie.

— Potrzebujemy... nie wiem, jak to ująć... efektu *Titanica*. Rozumiecie, o co mi chodzi? — spytał Marty. Zawsze profesjonalny, dozował uwagi do scenariusza, ukradkiem sabotując projekt.

— Ja chyba nie — zjeżyła się Sara.

— Nykki zrozumie — powtórzył szybko pan Emmons. Siedzieli z Sarą naprzeciw Marty'ego i jego asystentki

Elyse niczym na dziwacznej podwójnej randce.

Na takich spotkaniach Sara zawsze czuła się nieswojo. Nigdy nie miała pewności, jaki właściwie powinien być jej „wkład”.

— Potrzebny nam jakiś powalający moment, rozumiecie? — rozwodził się Marty.

— Słusznie, jakaś mocna rzecz... — zgodził się pan Emmons.

— Jak ten, kiedy on uczy ją pluć — podsunęła Elyse.

— Co takiego? — spytała Sara.

— W *Titanicu*.

— Charlotte musi być sympatyczniejsza — dodał Marty. — Dlaczego mielibyśmy ją polubić?

— Przecież ona jest sympatyczna — podkreśliła Sara. — Po prostu musi się pozbierać po utracie...

— Poprawimy to — wtrącił się pan Emmons.

— Myślę, że widzowie zrozumieją jej trochę... ambiwalentną postawę. Nadal dochodzi do siebie po śmierci całego rodzeństwa — podjęła Sara, nie patrząc na pana Emmonsa ani na wymanikiowane paznokcie Marty'ego. — Co więcej, należy koniecznie wskazać na ówczesne obyczaje: kobiecie po trzydziestce nie wypadało być niezamężną, a ona odrzuca oświadczyzny. Wcześniej nie zgodziła się wyjść za dwóch innych mężczyzn — choć były to bardzo przyzwoite partie — ponieważ ich nie kochała. W tamtych czasach tak się nie postępowo, więc jej zachowanie wiele o niej mówi. — Ostrożnie spojrzała na pana Emmonsa. Nie był zadowolony.

— Ale przecież przez następne półtora roku bawi się z tym Nichollsem w kotka i myszkę — zaprotestowała Elyse, która przekroczyła już trzydziestkę i znacznie bardziej niż Charlotte przeżywała brak partnera.

— Owszem, kiedy oświadczył się po raz drugi, jej odpowiedź była przychylna, ale musieli czekać na pozwolenie jej ojca, tak to zazwyczaj wyglądało — tłumaczyła dalej Sara.

— Oj, dajcie spokój — powiedział Marty, odchylając się do tyłu. — Facet się oświadcza, ona odmawia, on wyjeżdża z miasta, wraca, znów się oświadcza, a ona na to: „Niech no spytam tatusia”? Nie. To świetny, romantyczny moment i trzeba go wykorzystać. A tymczasem ten Nicholls odgrywa byle jaką, podrzędną rolę. To on, a nie ten profesor, musi być jej wielką miłością — oświadczył, wczuwając się w sytuację, a potem, zachowując pozory dyplomacji, dodał: — To tylko drobna sugestia.

— W końcu się nią stał — wyjaśniła Sara. — Tylko że była to stateczniejsza, dojrzała miłość. Z czasem Charlotte go pokochała. Miała co do niego pewne wątpliwości, podobnie zresztą jak jej ojciec i przyjaciele, nie była przekonana, czy do siebie pasują. Chodzi o to, że w ostatnim roku życia odkryła spokojniejszą, lecz równie intensywną miłość, która zrodziła się z ich wzajemnego szacunku do siebie.

Marty w zamyśleniu złączył palce.

— No tak, ale co w tym interesującego i zabawnego? No nie? Tak czy inaczej facet wygląda tu jak zбитy pies.

Przez długie lata po śmierci Charlotte jej wielbicieli toczyli dyskusję, w której Arthur Bell Nicholls wypadł dosyć niekorzystnie. Niektórzy utrzymywali, że nie okazywał odpowiedniego zrozumienia dla jej geniuszu, próbował cenzurować korespondencję i zbytnio krytykował twórczość, ponieważ pragnął raczej posłusznej żony wikariusza niż znakomitej pisarki. Podzielili się na dwa obozy: jeden opowiadał się za Arthurem, drugi przeciwko niemu. W końcu jednak szala zwycięstwa przechyliła się na jego stronę. Nie dlatego, że Arthur Bell Nicholls miał słuszość. Albo że jej nie miał. Kiedy Charlotte Brontë wychodziła za mąż w wieku trzydziestu siedmiu lat, była samotną, depresyjną dziewczyną — czyż można ją winić, że zapragnęła oddać się bez reszty radości małżeńskiego życia? Dawala zresztą wyraz temu nieoczekiwanemu szczęściu. Niemniej bynajmniej nie to wpłynęło na zmianę stosunku do Arthura Bella Nicholla. Sto pięćdziesiąt lat po

śmierci Charlotte zdobędzie on sympatię potomności, ponieważ aktor odtwarzający w filmie jego rolę ma bardzo wpływowego agenta, który nie życzy sobie, by jego klient grywał słabeuszy.

Sara powoli uświadamiała sobie, że pośmiertna reputacja pana Nichollsa nie ulegnie zmianie z powodu ambicji wschodzącej gwiazdy brytyjskiego kina. Aktor marzył bowiem o przebiciu się do hollywoodzkiej czołówki. Miał niezły dorobek: kilka sezonów w Royal Shakespeare Company, niewielkie rólki w telewizji, a nawet sensacyjną kreację psychopaty w brytyjskiej produkcji, która nieoczekiwanie stała się przebojem. Weźmie teraz udział w nieodzownym dla rozwoju swojej kariery dramacie kostiumowym, zbierze przyzwoite recenzje za wyważoną, pełną godności interpretację roli, za co spotka go nagroda w postaci odgrywanych na przemian postaci romantycznych, zadurzonych Anglików i genialnych psychopatów (wszechstronny, a przy tym zabójczo przystojny — miał warunki!).

Brytyjski aktor miał świetną pozycję w negocjacjach. Aktorka zaś nadal się wahała. Zastanawiała się teraz, czy projekt rzeczywiście jest tak „interesujący”, jak pierwotnie przypuszczała, i czy zaoferowano jej wystarczająco wysoką gażę. Owszem, w przypadku wartościowego projektu można było obniżyć stawkę, jednak musiał on zapewniać prawdziwy prestiż. Charlotte Brontë natomiast nie wydawała się wystarczająco skomplikowana. Pan Emmons westchnął cierpliwie. „Tak, oczywiście. Ale chyba wie, że to dopiero etap przedprodukcyjny?”

W czerwcu rozpoczęcie realizacji projektu przesunięto na lipiec, potem na sierpień, a teraz — dobry Boże — na wrzesień. Strach przed rezygnacją aktorki potęgował obawy pana Emmonsa o utratę reszty obsady. Zwłaszcza nieźle zapowiadający się brytyjski aktor wzbudzał już spore zainteresowanie w środowisku. Należało mieć niemało szczęścia, by go teraz pozyskać. Zanim niezdecydowanie aktorki nie nasunie mu myśli, by przyjąć inną propozycję. „Uczynić pana Nichollsa sympatyczniejszym? Żaden problem”. Powinien być kochankiem, który przez wiele lat wyczekiwał, aż Charlotte wystawi głowę z chmur i go dostrzeże. Przystanie poszukiwać wymarzonego byronicznego ideału i odkryje, że prawdziwe szczęście ma tuż pod nosem. Wystarczyło tylko się rozejrzeć...

— Sam nie wiem — powiedział zamyślony Marty, ze wzrokiem utkwionym gdzieś za oknem. W pogodny dzień z jego biura widać było Catalinę, ale, jak często żartował, nigdy dotąd mu się to nie zdarzyło. — Moim zdaniem te drugie oświadczyńy robią z niego totalną ciotę. — Wzruszył ramionami, dając im do zrozumienia, że może wychodzi na wariata, ale tak właśnie sądzi.

Pan Emmons pospieszył z zapewnieniem, że jest całkowicie przy zdrowych zmysłach.

— Tak, zgadzam się z tym — potwierdził.

— Ale to takie przejmujące, gdy Charlotte przed śmiercią odkrywa tę spokojniejszą miłość — zaprotestowała Sara.

— Saro — Marty nachylił się w jej stronę — szczerze podziwiam pani wiedzę, ale niech mi pani zaufa, spokojna miłość jest dobra dla telewizji publicznej. A my tu robimy film z prawdziwego zdarzenia. Ludzie nie potrzebują takiej miłości, w codziennym życiu mają jej aż nadto! — Roześmiał się. — Właściwie myśleliśmy, żeby skończyć na weselu i wyciąć ten cały bałagan z jej śmiercią. I tak jej wszędzie pełno. Przecież całe jej rodzeństwo umiera. Na końcu damy tylko informację, dostojnym tonem.

Pan Emmons potakująco kiwał głową.

— Jezu, Emmons — roześmiał się znów Marty. — Masz tu chyba więcej trupów niż do kupy we wszystkich częściach *Śmiercionośnej siły!*

Pan Emmons i Marty serdecznie się z tego uśmiali. Sara dostała wypieków.

— A co z zawodem Nichollsa? — spytała Elyse.

— Co powiesz na kowala? — zaproponował Marty.

— Nicholls był wikarym — przypomniała im Sara. Usłyszała westchnienie pana Emmonsa.

— Myśleliśmy o czymś bardziej fizycznym — poinformował Marty. — Aktywnym...

— Męskim. W końcu Charlotte się w nim zakochuje — nonszalancko wyjaśniła Elyse. — W dzisiejszych czasach ludzie nie mają bladego pojęcia, co robi wikary.

— A kto wie, czym się zajmuje kowal?

— Wszyscy — powiedział Marty.

— Racja — zgodził się pan Emmons.

— Czy kowal pracuje w kowalni? — zapytała Elyse.

— Wikariusz jest jak pastor... — zaczęła Sara. Czy przypadkiem już im tego nie wyjaśniała?

— Czyli robi dokładnie to, co ojciec Charlotte. Nie potrzeba nam dwóch — zdecydowała Elyse.

— Czy w ich wsi był szeryf? Albo jakiś jego angielski odpowiednik? — spytał Marty, urządzając burzę mózgów.

— Ze Scotland Yardu? — podjęła podekscytowana Elyse.

— Albo lekarz? Prosty, zaangażowany, szlachetny — ciągnął Marty. — A przy tym przyzwoity. No właśnie, a ta scena, w której każe jej spalić listy...?

Sara poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

— Tak?

— Może... zamiast tego... mógłby ją nakłonić, żeby je zachowała, bo ma świadomość jej wielkiego talentu? To tylko taki pomysł — rzucił Marty.

— Och, wspaniale, świetnie! — zachwyciła się Elyse.

— Zastanowimy się — zapewnił pan Emmons.

— I nadal trzymamy się budżetu, łącznie z gażami aktorów? — spytał niewinnie Marty. Co nieco obilo mu się o uszy.

Pan Emmons wyprostował się, gotów stawić czoło każdemu wyzwaniu.

— Jak najbardziej — zapewnił.

Marty się uśmiechnął. Potem uśmiechnęła się Elyse. Złowieszczy uśmiech jarmarcznego naganiacza, przyszło na myśl Sarze.

— Saro, proszę. Pozwól mi prowadzić rozmowy — poprosił pan Emmons w drodze powrotnej, gdy utknęli w korku.

— Przepraszam, tylko że to zupełnie coś innego, niż ustaliliśmy. Wszystko jest takie pozmyślane. Poprzednia wersja była może nieco zwodnicza, ale przynajmniej spójna...

— Saro, pozwól mi zająć się Martym.

— Jeśli nie chcesz robić filmu o Brontë, opowiedz o kimś nieznanym, anonimowym...

Pan Emmons wybierał już numer na klawiaturze telefonu.

— Nykki, cześć, tu Emmons. Słuchaj, Marty ma kilka świetnych sugestii odnośnie do projektu Brontë...

Obecna strategia Sary ograniczała się raczej do promowania opowieści „opartej na motywach biografii...” niż „historii życia”. Wzbudziło to u niej poczucie winy z dwóch powodów: czuła się teraz osobiście odpowiedzialna przed Charlotte Brontë za błędną interpretację jej losów, a przy tym sprawiała zawód panu Emmonsowi. Pełna rozmachu, romantyczna epopeja, nad którą tak długo się rozwodził, obróciła się w nicość z jednej, nieuniknionej przyczyny — życie Charlotte po prostu nie było historią, jaką pragnął opowiedzieć: zamiast wspaniałej opery usłyszał smętne, suchotnicze zawodzenie.

Sara nie miała wyrzutów sumienia z powodu odejścia z uczelni. Czyż to nie sam wydział postawił na niej krzyżyk? Rodzeństwo Brontë to jednak zupełnie inna sprawa. W jej naturze nie leżało porzucanie ludzi ani rzeczy, więc nie mogła zrezygnować z projektu mimo stopniowej utraty nadziei, że uda się je odpowiednio pokazać. Z każdym dniem jej poczucie winy się pogłębiało. Starła się je ukoić, stale za wszystko przeprasząc: „Przepraszam, nie było mleka sojowego”, „Przepraszam, takie dziś korki”, „Przepraszam, że jesteś taki zdenerwowany”.

Poza tym zdawało jej się, że im miłszy stawał się pan Nicholls, tym mniej sympatii okazywał jej pan Emmons. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie podlega to jakimś uniwersalnym prawom. W miarę bowiem jak pan Nicholls nabierał sympatycznych cech charakteru, pan Emmons je tracił. Irytowały go, oczywiście, ciągle opóźnienia, zadufany sprzeciw odtwórczyni głównej roli, świadomość, że czas ucieka, a on gada po próżnicy.

Kompletował meble Eamesa, które zdobiły jego doskonale zaprojektowany dom. Sara zaczęła się czuć jak żywy dodatek do tej kolekcji. Jej obecność u jego boku, podobnie jak gustowne meble i stylowe samochody, świadczyła o jego umiejętności wyrafinowanej oceny tego, co się liczy — nieprzeładowanej prostoty, idealnej sylwetki, funkcjonalności.

„Odprężające” weekendy spędzane na przejażdżkach facelem vegą i polowaniu na kolejne meble przerodziły się w uciążliwy obowiązek. Cotygodniowe wypadki do Palm Springs w poszukiwaniu okazji z połowy XX stulecia wzbudzały w panu Emmonsie sztuczny zapach, który obejmował również Sarę. Czuła, jak jego spojrzenie prześlizguje się po idealnych kształtach perfekcyjnie wykonanych szafek, pełnej ekscentrycznego uroku, lśniącej chromem i skórą kanapie w stylu art déco czy krzykliwie tapicerowanym fotelu. Oskarżycielsko przypatrywał się prostemu, nadmiernie drogiemu jadalnianemu stołowi, przesuwając dłonią po jego doskonale uformowanych krawędziach, i monotonnym głosem oddawał mu cześć: „To się nazywa rzemiosło”.

Sara spojrzała na skórzane siedzenia cennego facela vegi, na gustowny przepych luksusowego starocia. Pan Emmons czekał pół roku, nim udało mu się go sprowadzić z Francji. Westchnęła i znów spojrzała na sidła, w które wpadła.

— Przepraszam, że życie Brontë wyglądało inaczej, niż się tego spodziewałeś.

— Słucham? — spytał pan Emmons zdziwiony przeprosinami.

— Czasami wydaje mi się, że winisz mnie za jej mało... filmowe życie.



Pan Emmons popatrzył na nią i pożałował swojego wcześniejszego grubiańskiego postępowania. Była naprawdę słodka, dzisiejsze dziewczyny już się tak nie zachowują. Po prostu słodka. Pan Emmons uśmiechnął się ciepło.

— Przepraszam, straszny ze mnie drań — stwierdził. — Przechodzę na styl LA i staję się zupełnie nieludzki. Przepraszam.

Sara uśmiechnęła się niepewnie.

— Musimy stąd wyjechać. W innych miejscach jestem bardziej rozluźniony. Zrobmy sobie dłuższą przerwę, gdy...

Wyczekiwanego z utęsknieniem facela vegę wyprzedził wysłużony hyundai. Pan Emmons nacisnął hamulec i na chwilę zamilkł, a potem wrzasnął przez okno:

— Uważaj, jak jedziesz!

Zadzwoił telefon komórkowy, po który sięgnął płynnym ruchem.

— To śmieszne. Przecież zawarliśmy już ustne porozumienie. Nie dam dziesięciu milionów — to skandal! Mhm. Nie. Bo to po prostu niemożliwe, oto dlaczego. Mhm. Nie przemyślę tego. Bo na etapie przedprodukcyjnym nie podwaja się gaży aktorskiej. To nie... Nie odpowiadam za te opóźnienia. Dobra. To ty się pierdol. — Pan Emmons gwałtownie wyrzucił telefon przez okno.

— Kurwa!

— Co się stało? — badała ostrożnie Sara.

— Ona nadal chce dziesięciu milionów. Rozmawiałem z jej agentem.

— Czy to możliwe?

— Kurwa mać. Przecież właśnie tyle zażądała i w tym problem. Przejebane. Wie, że mamy nóż na gardle. Kurwa.

— Przykro mi.

Wieczorem pan Emmons zdrzemnął się na łóżku, a Sara okryła go kocem. Mówił, że wino to jedyna używka, na którą sobie pozwala i stosuje z umiarem, jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy lista powiększyła się o marihuanę i sporadyczny niuch kokainy. Miał ciężki dzień, potem tydzień. Sara obserwowała go i próbowała pocieszyć się myślą, że w szybko, zrzędzeniem losu zawieranych związkach zapewne nierzadko się zdarza, że spogląda się na ukochanego z niemym pytaniem: „Kim ty, u diabła, jesteś?” Julia musiała przeżywać to samo. Na tym właśnie polega problem z przeznaczeniem — serce czasami za nim nie nadąża.

Rano obudził ją dzwonek telefonu. Odwróciła się, by sprawdzić, czy pan Emmons zamierza odebrać, lecz jego już nie było.

— Halo?

— Saro, tu Claire. Nie dzwonię zbyt wcześnie? Tutaj wszyscy tak się zrywają. Siedzę sobie, wyglądam przez okno i pomyślałam o tobie. Co u ciebie?

— W porządku — odpowiedziała Sara, jeszcze zaspana. Od miesiący nie rozmawiała z Claire.

— Słuchaj, skoro jestem w mieście, pomyślałam, że mogłybyśmy zjeść razem lunch. Wiem, że jesteś zajęta, ale nie możesz mi odmówić. O pierwszej. Pasuje? Moja rzeczniczka mówi, że mam dzisiaj zdjęcia albo jakieś inne nudziarstwo, a potem o piątej wykład na Uniwersytecie Kalifornijskim. Co ty na to, odpowiada ci?

— Chyba... — zaczęła Sara. Ogarnęło ją coś, co lekarze nazwaliby atakiem paniki, a ona sama przyplwem tęsknoty za domem. Telefon Claire spowodował, że opanował ją nagły niepokój. Będzie musiała poświęcić całe rano na głębokie oddechy. Spotka się z Claire na lunchu i zrobi na niej ogromne wrażenie. Sara była zadbana i miała doskonalszą figurę, zbliżała się niemal do ideału. Nigdy nie wyglądała lepiej — zresztą w gruncie rzeczy nigdy tak o sobie nie dbała. Miała teraz mięśnie dwugłowe i trójgłowe, regularnie robiła peeling, a jej rzeczy były modne i uprasowane. Głos Claire w słuchawce telefonu uświadomił jej, że roczna separacja z Paulem dobiegła końca. Dzisiaj. Co za dzień.

— Świetnie! — odparła Claire. — Muszę ci coś wyznać.

— Co takiego?

Wyznanie wiązało się z jakimiś konsekwencjami, przyznaniem się do winy, czyli czymś, czego Claire unikała jak ognia.

— No, niezupełnie wyznać, po prostu nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

— Ja też — odparła Sara.

## Przyjaciele

*Mogę się ustrzec wrogów, ale chroń mnie, Boże, przed przyjaciółmi!*

Charlotte Brontë, list do G. H. Lewesa, 1850

Wiedziałaś, że Kennedy miał zwyczaj dzwonić do Sinatry? — Claire praktycznie poszybowała na patio i zwiwnie usadowiła się na swoim miejscu. Pomocnicy kelnera pospieszyli z obsługą, podając rozmaite wody. — Kennedy jako Chicky Boy! Czy to nie świetne?! — rzuciła znowu głośno.

Sara dostrzegła, jak przy odległym stoliku odwraca się w ich stronę mężczyzna przypominający Merva Griffina. Już dawno zauważyła, że w restauracjach Los Angeles przesiadują tłumy nieco do niego podobnych mężczyzn. Zwykle pracowali jako agenci czy producenci i odnosili umiarkowane sukcesy. Mieli ponad siedemdziesiąt lat, byli pulchni, zamożni i opaleni, wysiadali w restauracjach, rozmawiając o nieruchomościach i wielkości swoich prostat. Sara w myślach nazywała ich „Mervami Griffinami”.

— Sinatra chciał być JFK, a JFK Sinatrą. To kwintesencja XX wieku, nie uważasz? — spytała Claire, zapalając papierosa.

„Merv Griffin” podszedł do niej i poinformował, że w tym miejscu obowiązuje zakaz palenia. Claire wydeła usta i zgasiła papierosa na hiszpańskich ceglanych płytkach.

— Poczułam się, jakbym znów była w szkole — skomentowała szeptem.

Sara z małostkową wyższością zauważyła, że Claire nieco przytyła.

— Świetnie wyglądasz! — wykrzyknęła Claire bez cienia zazdrości, co zdenerwowało Sarę.

— Ty też — odpowiedziała.

— Zapomniałam cię ucałować. — Claire nachyliła się do pocałunków *à la française*. Sara nigdy nie mogła zapamiętać — dwa czy trzy — i w duchu szczerze nie znosiła tej zwyczajowej, kontynentalnej zmysłowości narzucanej spiętym Amerykanom przez triumfujących Europejczyków. Dwa czy trzy? — głowiła

się Sara, tymczasem Claire pocałowała ją w usta. Sara poczuła, jak ogarnia ją zażenowanie. Claire prowokacyjno-prowokacyjnie rozparła się na krześle i znów zapaliła, czekając, aż „Merv” zwróci jej uwagę. — Przytyłam — oznajmiła.

— Wyglądasz świetnie — powiedziała Sara, uświadamiając sobie, że to prawda.

Claire miała na sobie prostą, świetnie skrojoną, wydekoltowaną lnianą sukienkę w kolorze rozjaśnionej miedzi, z rozbrajającymi falbanami u dołu — zupełnie nie w jej stylu. Była radosna i dziewczęca, zarumieniona i zmysłowa — sprawiała wrażenie zakochanej.

Claire pochylała się nad stolikiem i wyznała w zaufaniu:

— Jestem w odmiennym stanie. — Potem wybuchnęła swoim gardłowym śmiechem. — Czy to nie brzmi dziwnie? — spytała i ponownie zaciągnęła się papierosem, posyłając „Mervowi” uwodzicielski uśmiech.

— Niezbyt — odparła Sara, czując ucisk w żołądku. Ze zdziwieniem odkryła, że jest zazdrosna. Zastanawiała się kiedyś, ile czasu zajmie Claire podjęcie decyzji o zajściu w ciążę. Było to niezwykle zręczne posunięcie wobec krytyki w mediach po sprawie *dojścia* i róży. Claire została zmuszona do opuszczenia uniwersytetu, zawarła ugodę pozasądową z rodziną studentki, a jej wizerunek doznał uszczerbku, co więcej — utraciła nad nim kontrolę.

— Właściwie otarłam się o śmierć — wyjaśniła obrazowo. — Skandal to śmierć, śmierć towarzyska. Po takim doświadczeniu życie wydaje się jednak pełniejsze, cenniejsze. Na szczęście, odkąd pamiętam, cały czas się do tego przygotowywałam, chwilami nawet nieźle się bawiłam. Maratończyk biegnie z ochotą, choć maraton bywa wyczerpujący. Dzięki temu naprawdę poznałam piekło, przez które przeszła Diana — zupełnie bez przygotowania. Musiała być bardzo zagubiona. Szkoda, że nie mogłam jej wtedy pomóc. — Claire ze smutkiem pokręciła głową.

— Kto jest ojcem twojego dziecka? — spytała Sara.

— Co powiesz na Ewę?

— To dziewczynka?

— Nie, nazwę tak moje czasopismo. „Labia” działa na ludzi odpychająco. Na początku się sprawdzało, ale teraz nie odpowiada już naszym potrzebom, bo poszerzamy zakres działalności. Ewa jest niezła, ale przyznam szczerze, że poza historią i Biblią nie ma dla mnie większego znaczenia. Co o tym sądzisz?

— A róża?

— Jako nazwa?

— Nie, osoba. Co się z nią dzieje?

— Cóż, nic już nas nie łączy. Oczywiście znasz tę bezsensowną historię z samobójstwem?

— Samobójstwem? Claire przewróciła oczami.

— Jeśli mam być szczerą, zawsze uważałam, że samobójstwa kobiet to uwsteczniający, oklepany chwyt — w literaturze i w życiu. Począwszy od Kleopatry, a skończywszy na Sylvii Plath. Zawsze podejrzewałam, że samobójstwo to tania metoda przeciętnej kobiety, by zyskać rozgłos.

— Zabiła się? — spytała oszołomiona Sara.

— W każdym razie próbowała. Nie potrafię poważnie traktować samobójstw. Wywierają taką presję. A jak tam Brontë? — odbiła piłeczkę Claire. Zastosowała swoją starą taktykę dezorientowania słuchacza.

Sara pokręciła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Nadal w przygotowaniu. Jeszcze na wczesnym etapie. Ale wszystko świetnie się układa. Bardzo dobrze...

— Czy wiesz, że księżna Grace interesowała się siłami nadprzyrodzonymi?

— Nie.

— Mam na myśli sektę, wiesz, tę szwajcarską. Chyba ze Szwajcarii. Myślisz, że można zmienić czyjeś życie?

— Pewnie...

— Ale bez bezpośredniego udziału. Jak wywrzeć wpływ przy minimalnym wysiłku, bez czynnej manipulacji?

— Chyba usuwając przeszkody, które uniemożliwiają danej osobie osiągnąć cele?

— Właśnie! Po Dianie zaczęłam się nad tym zastanawiać i wykładając, postanowiłam pomóc innym kobietom. Projekt częściowo się nie powiódł. Czułam, że szczególnie nie udało mi się pomóc Dianie. Bardzo mnie to przygnębiło. Mijały dni, a ja nie umiałam sobie z tym poradzić. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam cię na imprezie, pomyślałam: Mam! Ocalę milczącą wiktoriankę, uratuję ją przed nią samą! — Claire z dumą pokiwała głową. Sara z trudem łapała oddech. — A naprawdę tak niewiele było trzeba. Wystarczył maleńki bodziec. I proszę, spójrz tylko na siebie. — Claire pokręciła głową pełna podziwu dla Sary. — Widzisz, bazowałam na tym, że jeśli masz dobre intencje, zawsze wyniknie z tego coś dobrego. Na podstawowym poziomie życie jest naprawdę nieskomplikowane. Dobro rodzi dobro, jak mi kiedyś powiedział Dalajlama. To uroczy człowiek, wiesz? Poczułam w sercu czystość, która przełożyła się na konkretny efekt.

— Skąd przypuszczenie, że wiesz, co dla mnie dobre? — spytała Sara, a jej oddech stał się płytszy i przyspieszony.

— To zadziwiające, jakie to było proste. Wystarczyło tak niewiele wysiłku z mojej strony i popatrz, ile się wydarzyło. Nawet moje własne życie uległo zmianie. Oczywiście zmartwiłam się, kiedy przyplątał się Denis. On zawsze wszystko spieprzy. Ale szybko się zorientowałam, że to pomyłka — z tego też byłam dumna.

— Dlatego namówiłaś wtedy Paula na wyjazd do Francji?

— Właśnie, to on!

— Co on?

— Jest ojcem.

— Co takiego?

Sara poczuła nagle, wewnętrzne przyspieszenie. Według jej własnych ustaleń zaszła rzecz następująca: cała krew zgromadzona w stopach postanowiła uderzyć jej do głowy i na odwrót — ta z głowy nagle postanowiła spłynąć do nóg. Gdzieś pośrodku ciała Sary doszło do kolizji, przez co dziewczyna zgięła się niczym scyzoryk. Nie była pewna, czy krzyknęła, ale zauważyła, że „Merv Griffin” obrzucił ją zatroskanym spojrzeniem.

Łyknęła wody i uświadomiła sobie, że w ogóle się nie poruszyła, nie wydała żadnego dźwięku.

— Czy to nie zabawne? — spytała Claire. — Natknęłam się na niego w jakiejś paryskiej restauracji. Nasz związek przechodzi teraz naprawdę piękny etap wzajemnego zasypywania się pytaniami. Mówi, że się gubi w splotach moich włosów.

Sara rozpoznała fragmenty ich rozmowy. Słowa „Naprawdę piękny etap wzajemnego zasypywania się pytaniami” pochodziły z wypowiedzi redaktorki „Interview” Ingrid Sischy na temat jej współpracy z Eltonem Johnem nad jego wspomnieniami. Paul z kolei nieco subtelniej, w zawoalowany sposób zawłaszczył wers Yeatsa. Sarę ogarnęła wściekłość na myśl, że oboje przekreślili słowa poety.

— Tak naprawdę to z Yeatsa — odezwała się niepewnie. Dlaczego, do diabła, gada o Yeatsie? — A Therese?

— Rozstali się, oczywiście. Znasz przecież Paula. Jest taki niezdecydowany. *Che sorpresa!*

Sara musiała powstrzymać szaloną chęć, by jednym susem pokonać ocean i stanowczo spytać Paula, czy wie, że kobieta, z którą sypia, używa słowa „granat” jako czasownika.

— Jak możesz być taka... Nie rozumiem...

— Aha, zanim zapomnę, chcę ci zaproponować udział w paryskim sympozjum poświęconym Dianie. Wiem, że to już niedługo, i faktycznie miałam to zrobić wcześniej, ale... rozumiesz, jak to w ciąży — rzuciła radośnie Claire. Sarę zemdlilo. — Będzie naprawdę wyjątkowe — ciągnęła Claire. — Przyszło mi do głowy, że mogłybyśmy powtórzyć ten numer z Brontë i Dianą. Dzięki dziecku czuję się bardzo związana z tą imprezą. Nigdy nie przypuszczałam, że do tego dojdzie. Wiesz, że Diana też była w ciąży, kiedy zginęła?

— Claire, ty chyba postradałaś zmysły.

— Spodziewałam się, że mi podziękujesz! Świetnie zarabiasz, wyglądasz wspaniale, masz cudowny dom, związałaś się z fantastycznym, silnym facetem — żyjesz jak w bajce!

— Pan Emmons to samolubny dzieciak, ty zresztą też. A róża? Czy ty w ogóle masz poczucie moralnej odpowiedzialności albo winy? Czy wszystko spływa po tobie jak po kacze? Jesteś po prostu śmieszna, godna politowania. Oboje z Paulem jesteście siebie warci!

Sara rozejrzała się wokół. Urządzała scenę, postępowała zupełnie inaczej niż zwykle, była nieznośna. Kelnerzy się przestraszyli. „Merv Griffin” patrzył z zaciekawieniem. Za to Claire pękała z dumy.

— Moja milcząca wiktoriańska przemówiła!

# Cała słabość

*Człowiek to doprawdy zadziwiający mechanizm, gdy się dojrzy całą słabość — że tak to ujmę — tego, co zwie swą siłą.*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1854

Sara nie miała pojęcia, kiedy wyszła z restauracji. Nie przypominała sobie powrotu do domu ani wysuszonego na wiór pstrąga, którego zjadła na obiad. Pamiętała tylko, że długo wracała, że zjechała z autostrady 101 przy Las Virgines i skierowała się na zachód przez Malibu Canyon — uwielbiała bogatą przyrodę okolic Los Angeles, jej wyraźną obecność przypominającą tuzom przemysłu o krótkotrwałości ich rządów. Droga biegła pomiędzy wysokimi wzniesieniami, które w świetle zachodzącego słońca zdawały się połykać samochody — Sary i pozostałe, z tyłu i z przodu. Paul i Claire, Paul i Claire — tylko to tłukło jej się po głowie, gdy przejeżdżała wśród starych wzgórz.

Pomyślała, że za całym tym rewolucyjnym gadaniem Claire o panerotyzmie i biseksualizmie kryła się ni mniej, ni więcej tylko staroświecka rozpustnica. To było banalne, oklepane, a na dodatek — jak zauważyła Sara z ponurą wyższością — głęboko konwencjonalne z punktu widzenia roli płci.

Teraz jednak siedziała przy stole naprzeciwko pana Emmonsa. Jedli obiad.

— Ten pstrąg jest suchy jak wiór — powiedział beznamiętnie.

— Odrobinę — zgodziła się Sara. Odczuła ulgę, że potrafi się zdobyć na taką błahą rozmowę.

— Gdzie byłaś po południu? — spytał pan Emmons z leciutką groźbą w głosie.

— Gdzie?

— Tak.

— Na lunchu z Claire.

— Wiem, a potem? Dokąd pojechałaś?

— Kiedy?

— Potem? — Pan Emmons był już wyraźnie poirytowany. — Nie szukaj odpowiedzi w talerzu.

Sara podniosła na niego wzrok.

— Nie...

— Saro, może mi wyjaśnisz, o co chodzi. Potrzebuję tego teraz jak nigdy...

Sara usiłowała się wyprostować, przyciskając plecy do oparcia krzesła.

— Co masz na myśli?

— Gdzie twój naszyjnik?

Dziewczyna uniosła rękę ku szyi. Nie było na niej wisiora z DNA Brontë. Zamiast niego zdobyła ją obróżka ze srebrnych koralików.

— Nie wiem. Miałam go...

— Zadzwonili do mnie po południu.

— Kto?

— Z butiku. Powiedzieli, że zdjęłaś naszyjnik, przymierzyłaś ten i wybiegłaś ze sklepu. Co ty sobie, do cholery, myślałaś?

— Tak zrobiłam?

— Mój Boże, jeśli zamierzasz mi wciskać taki kit, to przynajmniej jedź tam, gdzie mnie nie znają!

— Naprawdę nie pamiętam. — Sara czuła zbliżający się napad paniki.

— Co się z tobą dzieje? — Spojrzał na nią bezlitosnym wzrokiem. Przeniósł go z naszyjnika na jej drobną twarz ze zmarszczonymi brwiami. Ze złością odgryzł kęs pstrąga.

— Miałam dziwny dzień — wyjaśniła.

— Nie tylko ty. Dogadałem się z naszą gwiazdą na siedem i pół i nie było to, kurwa, przyjemne — powiedział, dolewając sobie wina.

— Chyba dość już wypileś, nie sądzisz?

— Co? — Obrzucił ją spode łba szklistym spojrzeniem.

— Brałeś coś?

— Miałem cholernie ciężki dzień.

— Zdaje się, że innych ostatnio nie miewasz.

— Świetnie, po prostu wspaniale. Ale styl życia, jaki nam to zapewnia, jakoś ci nie przeszkadza — powiedział, odsuwając pstrąga.

— To nie mój styl życia, tylko twój. Nigdy cię nie prosiłam, żebyśmy tak żyli. Co ja tu w ogóle robię?

— O co ci chodzi? — zdumiał się pan Emmons i zaczął trzeć skronie.

— Po co mnie tu trzymasz? Dlaczego wciąż odnoszę wrażenie, że ledwo mnie znosisz? Pasuję do mebli czy co?

— Nigdy nie wiem, jak odpowiadać na takie idiotyczne pytania.

— Nie uważam, żeby akurat to było głupie.

— A ja owszem. Na dodatek mnie obraziłaś.

— To ja powinnam się czuć urażona. Traktujesz mnie jak przedmiot.

— To śmieszne.

— Nie. Tak naprawdę po raz pierwszy poważnie z tobą rozmawiam. Co to ma być? Nie chcę tak żyć. To nie jest...

— Co?

— To nie jest prawdziwe życie — powiedziała Sara, nagle doznając olśnienia. — Przez cały czas udawałam, że prowadzę takie wspaniałe życie, żeby zaimponować komuś, kogo to wcale nie obchodzi.

— Obchodzi mnie — bronił się pan Emmons.

— Nie o tobie mówiłam — odparła Sara, składając lnianą serwetkę. Zauważyła, jak pięknie jej blady morski kolor współgra z jasną barwą bambusowej podkładki pod nakrycie. Powinno jej to schlebiać. Pan Emmons miał doskonały gust. Sara uśmiechnęła się słabo, co jeszcze bardziej zbiło go z tropu. Prośba Sary o uzasadnienie jej obecności w jego życiu, mieście, łóżku i biznesie była piekielnie trudna do spełnienia. Równie dobrze mogła mu się kazać przecisnąć przez ucho igielne. Wygładziła dłonią serwetkę, wstała od stołu i wyszła.

— Saro, przez cały tydzień mamy spotkania! — przypomniał jej pan Emmons, gdy wpychała ubrania do torby.

Nie mógł uwierzyć w jej odejście, nawet gdy zatrzasnęła za sobą drzwi. Nie sądził, że kiedykolwiek na coś takiego się odważy. Nie zamierzał jednak za nią biec. Nie był typem mężczyzny, który gania za kobietami. To nie w jego stylu.

Sara wpatrywała się w zewnętrzną stronę drzwi, równie zdumiona jak pan Emmons. Dramatyczne gesty nie leżały w jej naturze. Przypomniała sobie, że za każdym razem gdy oglądała *Dom lalki*, wyobrażała sobie komiczną sytuację poza sceną, za scenografią z desek, za którą stała Nora, czujna i skonsternowana. Patrzyła na drogę, gotowa stawić czoło swojej wspaniałej przyszłości, a w jej głowie kołatała się jedna myśl: Kurwa. Dokąd mam teraz iść?

## Obawiać się znów odczuwać

*...pragnienie towarzystwa — beznadziejność ulgi — powinnam się obawiać znów je odczuwać.*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1850

Charakter pisma pana Ivesa był nienaganny, a jego wskazówki nader precyzyjne. Sara wysiadła z autobusu przeszło trzydzieści kilometrów za Florencją. Na rogu ulicy mieściła się kawiarnia, którą pan Ives opisał w najdrobniejszych szczegółach, łącznie z właścicielami. Rzecz jasna, Sara znalazła tam kogoś, kto zawiózł ją do oddalonego o ponad sześć kilometrów klasztoru.

— *Va'al letto dei sogni?* — spytał kierowca.

— *Sì* — odpowiedziała. Owszem, jechała do łóża snów. Była zażenowana, lecz Scarpa, który ją wiozł, zdawał się nieporuszony.

— Mnóstwo ludzi przyjeżdża sprawdzić to łóże — wyjaśnił dziewczynie, wzruszając ramionami.

Młodzi, starzy, samotni, zameżne i żonaci, a wszyscy patrzą nieśmiało, niby w szoku — wyobrażała sobie swoich poprzedników Sara.

— *Creda?* A pan w to wierzy? — spytała. Mężczyzna uśmiechnął się. Dobiegał chyba pięćdziesiątki.

— Myślę, że Signora robi dobry interes — powiedział po prostu.

Sara dopytywała się, czy według niego kobieta prowadząca hotel zmyśliła całą historię. Mężczyzna ponownie wzruszył ramionami, sugerując, że zwykł podejrzewać ludzi o cyniczne intencje. Sara nie chciała już dalej słuchać. Przykre przeżycia i tak przyprawiły ją o podejrzliwość, a interesowność dodatkowo komplikowała sprawę. Patrzyła przez okno na ciągnące się bez końca ciemnozielone tokańskie wzgórza.

Przypomniała sobie, jak Claire opowiadała o księżnych Grace i Dianie. Obie zwróciły się ku parapsychologii i zjawiskom paranormalnym, poznawszy od podszewki niebezpieczny rozdźwięk pomiędzy powszechnym wyobrażeniem a rzeczywistością ich rzekomo bajkowego życia. Ich domniemane szczęście musiało je przytłaczać. O wiele lepiej być nieszczęśliwym szarym człowiekiem jak ja, stwierdziła Sara. Gdyby była sławna, musiałyby po wyjściu z samochodu Scarpy chować twarz przed kamerami, skrywać łzy, udawać,



że nie przechodzi załamania. Załamania? Czy właśnie to jej się przydarzyło? Po czym dokładnie można to poznać?

Zawsze jej się wydawało, że załamanie nerwowe ma w sobie jakiś pierwiastek romantyczny i przytrafia się jedynie bohaterkom Fitzgeralda, no i uzależnionym od alkoholu gwiazdkom. Naraz straciło na egzotyce. Sara była po prostu przerażoną, głupiutką dziewczyną, która niezbyt mądrze zafundowała sobie bardzo drogi przelot do Włoch, opłacony zresztą kartą kredytową, z przyczyn niejasno związanych z suchym pstrągiem i utraconym naszyjnikiem. Zupełnie nie tak wyobrażała sobie najbliższą przyszłość.

Przypomniały jej się zdjęcia Marilyn Monroe rejestrującej się w klinice psychiatrycznej. Zamieszczono je w jednej z książek głoszących maksymę „wariaci są w porządku”, którą znalazła w bibliotece rodziców. Marilyn z trudem powstrzymuje płacz. Na jednej fotografii opuszcza głowę, na następnej ją podnosi, jakby właśnie przyjęła cios zadany przez flesz aparatu. Zaczesane do góry włosy spływały luźnymi lokami — poprzedniego wieczoru musiała je zakręcić. Sara pomyślała, że wygląda świetnie jak nigdy. Dzięki niej rozstrój psychiczny niezaprzeczalnie zyskał na atrakcyjności. Sara pamiętała, że Marilyn miała na sobie białą koszulę, a włosy opadały jej swobodnie, nieco przysłaniając widoczne na twarzy zmarszczki cierpienia. Ludzie zawsze wypadali korzystniej na czarno-białych fotografiach i — z czysto estetycznego punktu widzenia — Sara cieszyła się, że załamanie gwiazdy nie przypadło na czasy kolorowych dzienników.

— *Ecco* — oznajmił Scarpa, gdy skręcili za jedno z ciemnozielonych wzgórz. Zatrzymali się przed klasztorem. Sara zapłaciła i wysiadła. — *Buona fortuna*. — Mrugnął do niej, odbierając pieniądze.

— *Grazie*.

W drzwiach budynku ukazała się kobieta, obdarzona według Claire „energią wiedźmy”. Było późne popołudnie, więc podawała posiłek. Niska i przygarbiona staruszka emanowała dziwną siłą niczym średniowieczny kamień z klasztornych murów. Poprowadziła Sarę długim ciemnym korytarzem i otworzyła drzwi starym kluczem na wielkim stalowym kółku. Mówiła łamaną angielszczyzną. Gdy dziewczyna zagadnęła, że ma pewnie sporo szczęścia, bo nie musiała czekać, aż pokój się zwolni, kobieta tajemniczo pokręciła głową.

— Jeśli się zadzwoni, pokój jest wolny — powiedziała, unosząc rękę teatralnym gestem. Trochę to dziwne, pomyślała Sara, jeszcze bardziej powątpiewając w autentyczne właściwości pomieszczenia. — Pani paszport?

Dziewczyna wręczyła jej dokument. Kobieta chmurnie i złowieszczo spojrzała na łóżko, po czym poinformowała, że w cenę pokoju wliczone jest śniadanie, lecz nie obiad. Do jedenastej należało się wymeldować. Płatność gotówką, *per favore*.

Sara nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Z radością przebywała w kraju, którego języka niemal nie znała. Czuli się zaangażowana w każdą rozmowę, a zarazem poza nią, była czujna i spostrzegawcza, cieszyła się, że dogaduje się jedynie na najprostsze tematy. Jadła obiad w samotności. Przy sąsiednim stole siedzieli Mark i Mary ze stanu Maryland i zabawiali się odgadywaniem jej narodowości. Założyli, że milczenie Sary wynika z jej nieznamomości języka angielskiego.

— Jestem Amerykanką — powiedziała w końcu dziewczyna, nie mogąc dłużej ich ignorować.

— Nigdy bym nie zgadła! — wykrzyknęła Mary takim tonem, jakby to miał być komplement. — Sta-  
wiałabym na Francuzkę albo Rumunkę. — Zestawienie wydawało się nieco dziwne. Sara tylko się uśmiechnę-  
ła. Mark i Mary już dawno przekroczyli pięćdziesiątkę i osiągnęli w życiu dostatni, pozbawiony nadmiaru  
ambicji etap. Należeli do par, które kupują sobie bliźniacze zielono-fioletowe wiatrówki i snują wspólne plany  
zagranicznych wędrówek. — Uwielbiam Rzym, nieważne, co o nim mówią. Co Rzym, to Rzym! — ogłosiła  
Mary.

— Próbowала pani kałamarnicy? — spytał Mark. Sara zaprzeczyła ruchem głowy.

— Jest wspaniała — poinformowała Mary, co Mark radośnie potwierdził.

Wydawali się niezwykle zgrani, wiatrówki i niezachwiany optymizm bardzo ich ujednolicały. Kiedy in-  
dziej Sara potraktowałyby ich protekcyjnie. Nie bez złośliwości zastanawiałyby się, cóż to za „siedem nawy-  
ków skutecznego działania" sprawiło, że tę parę zupełnie przeciętnych osobników stać było na luksusy  
zagranicznych wojaży oraz dostatnie życie w najbogatszym kraju świata, podczas gdy inne, pracowite,  
szlachetne i odważne jednostki kładły się spać o pustym żołądku i spędzały całe życie, oglądając zamiast  
zabytków te same cztery kąty. Cóż takiego zrobili, że tak im się powiodło? Sara rozważałyby to z niemym  
lekceważeniem. Teraz jednak w ogóle jej to nie zajmowało. Obserwowała natomiast, jak zgodne są ich ruchy,  
jak się uzupełniają. Z zazdrością śledziła z pozoru łatwą do osiągnięcia, pogodną harmonię tego sojuszu  
jednakowych wiatrówek.

— Dokąd się pani jeszcze wybiera? — spytała Mary. — Podróżuje pani sama? Nie narzeka pani na brak  
towarzystwa?

— Donikąd. Sama. Nie, wszystko w porządku — odpowiadała Sara. — Państwo wybaczą, jestem  
bardzo zmęczona.

— Śpi pani w łożu snów? — spytała Mary tonem spiskowca.

— Tak, w celach badawczych — odparła bez zastanowienia dziewczyna. — Pracuję naukowo.

— Analizuje pani sny? — dociekał autorytatywnym głosem Mark, jakby ukrywał w kieszeni wiatrówki  
stosy tabel i wykresów.

— Nie — skwitowała pytanie Sara i bez żadnych wyjaśnień udała się do swojego pokoju.

— Pierwszej nocy łoże nie zawsze działa — poinformowała rano staruszka.

Sara spędziła całą noc, patrząc w sufit i zastanawiając się, co tu właściwie robi. Niepotrzebnie się  
zdrzemnęła w samolocie, stąd te problemy ze snem. Zapłaciła za pierwszy nocleg i zarezerwowała jeszcze dwa.  
Po śniadaniu skierowała się do kawiarni. Nie wiedziała, czym zappełnić dzień.

Nie zabrała ze sobą żadnych książek ani czasopism, niczego, co zaburzyłoby jej tok myślenia. Niestety,  
okazało się to wielkim błędem. Pójdzie do kawiarni, kupi włoską gazetę i postara się liznąć nieco języka —  
przynajmniej na tyle, by coś z niej zrozumieć.

— *Sogni?* — spytał na jej widok Scarpa.

Sara pokręciła przecząco głową, zajęła miejsce przy barze i zamówiła cappuccino. Nie zamierzała  
dopuścić, by w ciągu dnia zmorzył ją sen. Zamówiła kolejną kawę i zajrzała do leżącej tuż obok włoskiej  
gazety. W nocy, gdy Sara usiłowała zasnąć, zatonał grecki prom, a katastrofa pochłonęła dziesiątki ofiar. Jakiś

szczęśliwiec wygrał w Rzymie całkiem przyzwoitą fortunę, wzięwszy udział w telewizyjnym reality show. Obiecał kupić matce dom, o którym zawsze marzyła, i planował nagranie własnej płyty.

Sara rozejrzała się wokół. W kawiarni przesiadywali stali przedpołudniowi klienci: emeryci i bezrobotni. Po raz pierwszy dotarło do niej, że zwraca powszechną uwagę. Kierowały się na nią spojrzenia siedzących parami lub trójkami emerytów i młodych ludzi, którzy nadal mieszkali z rodzicami. Była jedyną kobietą w pomieszczeniu. Zdenerwowała się, że popełniła kulturową gafę, przychodząc do męskiej kawiarni (czy coś takiego w ogóle istnieje?). Wielu mężczyzn przyglądało jej się z nieskrywaną bezpośredniością. Ich zainteresowanie samotną Amerykanką nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Zapewne nie pierwsza przyjechała tu spędzić noc w łożu snów. Sara przypuszczała, że widzieli już niejedną członkinię tego swoistego żeńskiego zgromadzenia, do którego czuli szczególny pociąg.

Mimo zażenowania, jakie odczuwała, uwaga mężczyzn sprawiała Sarze skrywaną przyjemność. Proszę, Paul, spójrz tylko na tych wszystkich facetów, którzy mnie pragną, pomyślała, jednocześnie uświadamiając sobie, że marzy, by wzbudzić zazdrość właśnie w Paulu, nie zaś w panu Emmonsie. Może z którymś się umówię, bo już mi na tobie nie zależy. Może będę musiała się po cichu przemykać przez salon, gdzie przysypia przed telewizorem jego matka, i położę się na pojedynczym łóżku, które dostał w wieku pięciu lat. Utkwię wzrok w zacieku na suficie, co kształtem przypomina dinozaura, zauważę na ścianie plakat z Britney Spears i zmartwię się, że to jeszcze nastolatek, a on tymczasem będzie mnie kochał, skutecznie i obojętnie. Zauważę wtedy, że wydaje rozmaite dźwięki i wykonuje różne ruchy, a jego szyja pachnie dziwnie i słodkavo jak hotelowe mydło. Kiedy skończy, stanie się nagle miły i wyrazi nadzieję, że mi też było przyjemnie, bo tacy są nowocześni mężczyźni, nawet we Włoszech, a mnie nie będzie obchodziło, że nic nie czułam, że właściwie nie zauważyłam początku, środka ani końca naszego zbliżenia. A wszystko dlatego, że Wcale Mi Już Na Tobie Nie Zależy.

Zobacz, ile dla ciebie robię, pomyślała Sara, widząc go w wyobraźni naprzeciwko siebie. Spójrz, ile robię w zamian za wspianą przysługę, jaką mi wyświadczyłeś, nie dość mocno mnie kochając. Dziewczyna znów rozejrzała się po kawiarni — może każdy związek stanowił odpowiedź na poprzedni. Czule przyjrzała się potencjalnym kochankom, świadoma, że oni również chcą zrobić odpowiednie wrażenie. Ileż takich wewnętrznych rozmów z nieobecnymi kochankami odbywało się wszędzie na świecie? Spójrz, jaka jestem spokojna i zadowolona ze swojej samotności, z życia bez ciebie. Sączenie napojów, lektura gazety i wesołe męskie pogawędki stały się częścią podstępu, który naraz odkryła Sara. Jej spojrzenie napotkało wzrok chłopaka w koszulce z wizerunkiem Che Guevary. Młody komunista, pomyślała. Obleci. Uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech. A potem skinęła głową, bo przecież już wiedziała, co będzie dalej.

W drodze powrotnej do hotelu zakręciło jej się w głowie i postanowiła przysiąść pod drzewem oddalonym o jakieś trzydzieści metrów od drogi. Położyła się na chwilę wśród grubych korzeni, a gdy się ocknęła, okazało się, że minęło już kilka godzin i zapadł głęboki zmrok. Ruszyła dalej, patrząc w niebo. Od dawna nie widziała tylu gwiazd. Zwykle obawiała się takiej samotnej przechadzki nocą. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa ani co robi.

Zdarzyło jej się to chyba po raz pierwszy w życiu. Gdyby nagle zniknęła, upłynęłoby wiele dni, zanim komukolwiek przyszłoby do głowy za nią zatęsknić. Ta na pozór straszna myśl podziałała na nią dziwnie wyzwalająco.

Po czterdziestu minutach dotarła do hotelu. Signora zirytowała się, że obudzono ją o tak późnej porze. Sara próbowała się wytłumaczyć, lecz była zbyt zmęczona, by się tym specjalnie przejąć. Padła na łóżko i przespała bite dziesięć godzin. Gdy się zbudziła, zorientowała się, że pora śniadania już minęła, więc znów się położyła. Czuła niesłabnący głód wypoczynku i pomyślała, że jej wyczerpanie wynika zapewne z braku snów. Zresztą, na jakie sny liczyła? Czy łoże śmierci średniowiecznej zakonnicy mogło jej przekazać coś dotąd nieznanego?

Tracąc kontakt z rzeczywistością, Sara przypomniała sobie boksera Floyda Pattersona, który ponoć notorycznie przysypiał podczas treningów. Zawsze wydawało jej się to dziwne, lecz teraz nagle nabrało sensu. Sen był idealnym lekiem na wszystko. Lepiej przecież przespać niepokój, niż go doświadczać.

W końcu coś jej się przyśniło. We śnie starała się o kredyt w banku, lecz zamiast się tam udać, poszła na plażę, gdzie jakiś „Merv Griffin” negatywnie zaopiniował jej wniosek, ponieważ brakowało na nim podpisu Paula. Gdy Sara usiłowała mu wyjaśnić, że rozstała się z chłopakiem, ten nagle się pokazał i oświadczył, że nie potrzebują kredytu, ponieważ dysponuje pieniędzmi. Potem zjawiła się Ethel Merman i zaczęła śpiewać.

Po przebudzeniu Sarze przypomniał się kolejny powód, który nie mógł jej pomóc w ewentualnej karierze psychoterapeutki: nie wierzyła w sny. Niby coś w nich było, ale właściwie uważała, że to jakieś bezsensowne odpady wynikające z aktywności mózgu, pozostałości po myślach, które nie przebiły się do czołówki świadomości. Podrzędne myśli. Uświadomiła sobie, że przespała cały dzień. Znów zapadł wieczór, więc wróciła do łóżka.

Na scenie stała Claire. To była ona, a zarazem nie ona — skonstatowała we śnie Sara — i nadal spodziewała się dziecka. Sara usiadła na podium obok niej, a na widowni dostrzegła wszystkich znajomych: Paula, pana Emmonsa, Denisa, Nykki, pana Ivesa i pana Burke'a. Patrzyli właśnie na nią. Czy nie powinna im czegoś powiedzieć? Próbowała się odezwać, ostrzec ich przed czymś, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu. Gdy jej się to wreszcie udało, jej słowa nie miały sensu. Każdy widział, jaka z niej w istocie idiotka. Później położył się na niej Paul i powoli wyciskał z niej życie, dusił ją.

Sara rozejrzała się, szukając ratunku, lecz dostrzegła jedynie roześmianą Claire, rozbawioną jej walką o przetrwanie. Czuła jednak, że koleżanka niepotrzebnie tak się cieszy, bo i jej zagraża niebezpieczeństwo. Chciała ją ostrzec albo przynajmniej tak przygadać, żeby przestała triumfować. Wtedy podszedł do niej trzynogi, rozweselony tym wszystkim pies. Śmiał się. Polizał twarz Sary. Nie spotka cię nic złego — zdawał się mówić. Przecież to koszmar — chciała mu krzyknąć Sara. — Spójrz tylko!

Zorientowała się, że to był sen i że koniecznie trzeba już wstawać. Usłyszała walenie w drzwi, jakby ktoś je wyważał. Rzuciła się na łóżku, choć ręce miała unieruchomione. Rozwarła usta do krzyku, chyba bezgłośniego. Czyjeś ręce chwyciły ją za ramiona i mocno potrząsnęły. Otworzyła oczy. Ujrzała nad sobą staruszkę.

— Bez krzyków, okay? Nie krzyczeć? — przekonywała kobieta, niby grzecznie prosząc.

Sara usiadła na łóżku. Miała jeszcze w pamięci swój sen.

— Już dobrze? — spytała kobieta, podając jej szklanekę wody.

Sara przytaknęła. Owszem, czuła się nieźle.

— Która godzina? — zainteresowała się. Musiała jechać do Paryża ostrzec Claire. Przed czym? W każdym razie była pewna, że coś jej grozi.

— Dochodzi jedenasta. Za godzinę wpuszczam następnych gości. Proszę teraz płacić, okay?

— Tak — słabym głosem zapewniła Sara. Zapłaci.

TLR

# Spokój

...wspomnienie osoby, której się już najpewniej nigdy nie ujrzy, lecz mimo to nadal bardzo poważa, zbyt mocno maltretuje duszę, a gdy taka udręka ciągnie się rok lub dwa, człowiek gotów jest uczynić wszystko, by odzyskać spokój.

Charlotte Brontë, list do profesora Hegera, 1845

Oj, kochanie, o sny musisz zapytać ojca. Ja się zajmuję szafami — powiedziała matka, wzdychając z niepokojem.

- Po co pojechałaś do Włoch? — dociekał ojciec.
- Dlaczego się wybierasz do Paryża? — drażnyła też matka.
- Miałam sen — zaczęła Sara.
- O Paryżu?
- Już wpuszczają na pokład samolotu.
- Wszystko u ciebie w porządku?
- Tak, dam sobie radę, dzięki. Pa, pa.

Był 31 sierpnia. Uświadomiła sobie, co to za dzień — rocznica śmierci Diany. Właśnie wtedy miało się zacząć paryskie sympozjum Claire. Dojazd pociągiem z lotniska okazał się nieskomplikowany. Trudniejsza była przesiadka na Gare du Nord. Sara szukała połączenia z miejscem, gdzie odbywało się sympozjum. Znajdowało się w pobliżu Ritza. Dziewczyna pamiętała o tym, bo Claire nieźle się natrudziła, by zarezerwować na koktajl lokal, w którym Diana przed śmiercią jadła kolację. Zdaniem Sary był to dość makabryczny gest.

Informacje ogłaszano głośno po francusku pomiędzy sygnałami przyjazdów i odjazdów pociągów. Sara poczuła, że ogarnia ją panika. Nie mogła znaleźć połączenia. Niby prosta sprawa, ale za każdym razem, gdy przystawała przed mapą metra na ścianie, zaraz pojawiał się jakiś przymilny pan, który pytał po angielsku z silnym francuskim akcentem: „*Bonjour, chérie, czy mogę pani w czymś pomóc?*” Sarze przypominały się tabuny odrażająco usłużnych Francuzów spotkanych w trakcie roku studiów za granicą. Oto znów się zjawiali dziesięć lat później, jakby czas się ich nie imał, i nadal nie zważali na jej obrzydzenie.

— *Allez!* — mamrotała, dodając szybko — *S'il vous plaît.* — Umknęła dżentelmenowi numer trzy i stała z wyzywającą amerykańską niezależnością, rozpostarłszy przed sobą mapę.

Ktoś poklepał ją po ramieniu. Sara odwróciła się.

— *Allez!*

Upłynęło kilka sekund, zanim skupiła wzrok na młodym mężczyźnie, który jakby emanował wewnętrznym światłem. Zdawał się rozbawiony jej irytacją — nie w sposób protekcyjny, lecz jak święci ubawieni tym, że ludzie biorą wszystko tak bardzo serio.

— Pozwoli pani, że pomogę — odezwał się łagodnie.

Sara szukała w pamięci celu swojej podróży. Mężczyzna miał na sobie mundur, należał do personelu metra. W końcu trafiła na kogoś, kto dysponował tym, czego potrzebowała najbardziej w świecie: życzliwością i dokładnymi informacjami o rozkładzie jazdy pociągów. Sara zamrugała. Czy za jego plecami również

spływało światło? Czy to przypadkiem nie Zwiastowanie? Czy sam archanioł Gabriel skąpany w uroczym światłocieniu nie wręczy jej zaraz lili? Zdawało jej się, że anioł uniósł się płynnym ruchem i zawisł nad jej głową.

— Dobrze się pani czuje? — spytał.

Sara nieznacznie skinęła głową. Otaczał ją tłum, który też jakby się unosił. Z zadartą głową obserwowała ludzi. Wszyscy wydawali się odcytani i wiedzieli, jak się nosi apaszki. Poczua się głupio, taka zupełnie niefrancuska. Nogi miała jak z waty. Spojrzała w dół i spostrzegła, że leży na ziemi— widocznie zemdląa. Blokowała teraz główną arterię pieszego ruchu. Choć otaczał ją wąski krąg współczujących, zaraz za nim czua gwałtowną krzątanicę.

— Już dobrze. Tak. Już... Zapomniałam, że jeszcze nic nie jadłam.

Gabriel uśmiechał się dobrotliwie. Jakaś kobieta wydobyla ze skórzanej torby butelkę wody. Dlaczego ludzie tak się czepiają Francuzów? — zastanawiała się Sara. Są po prostu uroczy. Pokiwała głową, że wszystko w porządku, i wszyscy mogli się znów włączyć do dworcowej krzątaniczki. Odchodzili parami, trójkami. Archanioł Gabriel został przy niej i pomógł jej wstać.

— Dobrze się pani czuje?

— Tak, dziękuję. Muszę jechać... — Ale dokąd? Sara usilnie starała się wydobyć z pamięci cel podróży. — Na północ — wykrztusiła w końcu. — Próbuję...

Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie i pokiwał głową. Machnął ręką w stronę przejścia za kioskami biuletowymi.

— Obiecuję pani wkrótce coś zjeść? Proszę więcej nie mdleć — powiedział z głęboką troską w głosie.

Sara przytaknęła i bezmyślnie podążyła w kierunku, który jej wskazał, już za nim tęskniąc. Odwróciła się, a anioł z Gare du Nord nadal na nią patrzył. Skinął głową na potwierdzenie, że obrała dobry kierunek, jakby mówił: „Tak, to właściwa droga”.

## Coś innego

*Wszystko okazuje się całkiem inne, niż się naprzód maluje w wyobraźni: troski, obawy nierozzerwalnie splatają się z nadziejami.*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1854

Claire siedziała wyprostowana, ubrana w swój najlepszy granatowy kostium zakupiony w tym sezonie. Była wyjątkowo zadowolona z tego, jak kolor tkaniny odbija światło. Efekt przechodził jej oczekiwania. Przemawiała na podium z melodyjnym akcentem, który we Francji zawsze przybierał na sile.

— W *Tybetańskiej księdze umarłych* pojawia się pojęcie bytu pośredniego, czyli stanu pomiędzy życiem a śmiercią, w którym musimy przemierzyć nowe terytorium, wyznaczając sobie drogę ku następnej inkarnacji. Po śmierci, czy pewnym rodzaju końcu istnienia, otwierają się przed nami wspaniałe możliwości. Nagle potrafimy reagować na najdrobniejsze znaki, potęgują się właściwości naszego umysłu, możemy stać się tym, co

sobie wyobrazimy, zupełnie zmienić przyszłość. Byt pośredni gwarantuje otwartość i umiejętność pełnego przeobrażenia dzięki myślom i wizjom.

Według mnie koncepcja ta ilustruje to miejsce — ciągnęła Claire — miejsce duchowe, które zajmowała Diana w ciągu ostatnich lat życia. Jakiej doświadczyła śmierci? Śmierci złudzenia, swego rodzaju romantycznego snu, bajki. Jak powiedziała: „Życie księżnej nie jest takie wspaniałe, jak się wydaje”.

Publiczność na sympozjum poświęconym Dianie z aprobatą i zrozumieniem pokiwała głowami. Sara wślizgnęła się przez tylne drzwi, unikając ujawnienia swojej obecności sztywniakom na zewnątrz. Rozejrzała się po sali, w której zasiedli głównie naukowcy w idiotycznych modnych okularach oraz bladzi dianofile w średnim wieku, których Sara kojarzyła jedynie z mnóstwem tablic pamiątkowych.

Budynek, w którym odbywało się sympozjum, liczył zapewne setki lat. Płyta na zewnątrz informowała o tym, że zbierali się tu uczestnicy rewolucji francuskiej, a także ruchu oporu. Nisko zwisające żyrandole, które płonęły niegdyś na rzecz Oświecenia, Braterstwa i Wolności, rozjaśniały teraz swym elektrycznym blaskiem Epokę Claire.

— Gdy pozbyła się złudzeń co do rzekomo bajkowej egzystencji — kontynuowała Claire — wreszcie mogła się cieszyć samym życiem.

Sara zauważyła na podium coś dziwnego. Eksponowało postać Claire, lecz kiedy światło reflektorów stało się intensywniejsze, dostrzegła tam również siebie. Zamrugła. Czy to nadal sen? Napis na scenie głosił:

#### MISTYCYZM I DUCHOWOŚĆ: DIANA I BRONTË.

— Istnieje teoria, według której ostateczną przeszkodą dla przeżycia religijnego jest sama religia: fetyzowane, zewnętrzne pułapki. Diana natomiast odkryła, że romantyzm jest ostateczną przeszkodą dla miłości. Gdy się go wyzbyła, nie było już dla niej rzeczy niemożliwych. Stała się awatarą nowoczesnej ewolucji duchowej, jak Budda, który wyszedł poza mury pałacu, by odnaleźć cierpienie i prawdziwe współczucie. Nie była „pomiędzy”, lecz „ponad”. Ponad iluzje, ponad zmagania, ponad pragnienia. Dlatego kiedy ktoś mnie pyta: „Jaką rolę odegrała Diana, księżna Walii?”, mogę się tylko roześmiać...

— To samo dotyczy Charlotte Brontë. — Sara usłyszała siebie samą, tyle że na podium. — Brontë osiągnęła ten etap po utracie...

— *Pardonnez-moi, mademoiselle?* — Wysoki, tyczkowaty mężczyzna o uprzejmym, oficjalnym wyrazie twarzy złapał ją za ramię.

— *Non!* — zaprotestowała, wyczerpując tym samym swoją znajomość francuskiego.

Mężczyzna, który okazał się silniejszy, niż jej się zdawało, wyprowadził ją za drzwi do holu, gdzie czekali dwaj krzepcy ochroniarze.

— *Parlez vous anglais?*

Drągał skinał głową, a jeden z przysadzistych strażników już ją obszukiwał.

— To niepotrzebne. Nie jestem...

— Obawiam się, że jednak tak. Panna Vigee otrzymywała ostatnio pogróżki. Ostrożność nie zawadzi — powiedział ponuro.

Osilek pokręcił głową, dając do zrozumienia, że Sara nie ma przy sobie broni.

— O to właśnie chodzi. Myślę, że Claire jest w niebezpieczeństwie. Wiem o tym.



Ta informacja, która miała ich upewnić co do niewinności Sary, u wysokiego mężczyzny wzbudziła tylko podejrzenia.

— Skąd pani wie?

— Sara?

Dziewczyna odwróciła się i zobaczyła siedzących na kanapie Burke'a i Ivesa. Natychmiast do niej poszli.

— Co pani tu robi? — spytał Burke.

— Pojechałam! Pojechałam do łoża snów! Ta wiadomość rozbudziła ciekawość Ivesa.

— Naprawdę? — spytał.

— Tak.

— Saro, na pani miejscu nie pokładałbym w tym zbyt wielkich nadziei. Szczerze mówiąc, Nykki i mnie nie najlepiej się układa... — zaczął ostrożnie Burke.

Sara dostrzegła na twarzy Ivesa przeblysłok zadowolenia.

— Nykki... Więc to ona jest w środku? — dociekała Sara, uświadamiając sobie, że to dzięki niej Claire mogła w ostatniej chwili zorganizować zastępstwo.

— Tak — potwierdził posepnie Burke.

— Proszę im powiedzieć, żeby mnie wpuścili. Burke westchnął i przywołał gestem drağala, który posłusznie ich przepuścił.

Claire nie skończyła jeszcze wystąpienia. Nykki wodziła za nią szklistym wzrokiem. Sara podążyła na przód bocznym przejściem, uważnie się rozglądając.

— Camus powiedział, że człowiek, żyjąc, zmierza ku nieuchronnej śmierci — mówiła Claire. — Życie zawiera więc w sobie załążek śmierci. Przyjrzyjmy się teraz Dianie. Jej zaangażowaniu w kampanię zwalczania min przeciwpiechotnych. Przeczuwała nagły, śmiertelny wybuch. Musiała. Camus zresztą również zginął w wypadku samochodowym. Bał się aut i miał w kieszeni bilet kolejowy. A Brontë miała obsesję na punkcie choroby, zgadza się?

— Mhm... — Nykki się zastanowiła. — Całe jej rodzeństwo zmarło wskutek różnych chorób, więc chyba tak...

— Wydaje mi się, że to Yeats powiedział kiedyś, że Charlotte Brontë była płomieniem, który marzył, by rozgorzeć ogniem.

— Nic podobnego! — wypaliła Sara z widowni. Głowy wszystkich zwróciły się w jej stronę.

— Cóż, wiem, że mniej więcej taka była wymowa jego słów — zapewniła ją Claire, zupełnie niezbita z tropu.

— Yeats nigdy czegoś takiego nie powiedział. Co więcej...

Ochroniarze spieszyli już ku niej przejściami, a podekscytowani słuchacze obracali się na krzesłach.

— Co więcej, to ciekawe, że wykorzystujesz tu filozofię siostrzanego wsparcia, podczas gdy prywatnie ucieleśniasz wszelkie negatywne stereotypy, poczynawszy od czarnej wdowy, a skończywszy na rozpustnicy.

Ochroniarz ujął już Sarę żelaznym chwytem za ręce i zamierzał ją zesłać na długie akademickie wygnanie.

— Uważam — zaczęła Claire, sygnalizując ochroniarzom, że zażegna tę niegroźną sprzeczkę — że najlepiej ujęła to Virginia Woolf: „Kobiety są surowe wobec innych kobiet”. Gdy zdarzy mi się jakaś podziwiaczka, wiele od niej wymagam. Jeżeli widzę, że nie osiąga poziomu doskonałości, na który ją stać, bez najmniejszych wyrzutów sumienia popycham ją lekko ku jej prawdziwemu przeznaczeniu.

— Czy równie „lekką” popchnęłaś różę do próby samobójczej?

Claire otrzymała cios między oczy. Słuchacze wyprężyli się na krzesłach, oczekując odwetu.

— Claire — ciągnęła Sara — przecież tobie brak wglądu, jesteś pozbawiona prawdziwych uczuć, więc jak śmiesz zakładać, że wiesz, co dla nas najlepsze?

— Hmm. Kobieta Zraniona. Jakież to banalne, jakie oklepane... — westchnęła Claire, przytaczając sprawdzony argument.

— I kto tu mówi o wyświechtanych stereotypach? Rozpustnica i intrygantka — skontrowała Sara.

— Wypraszam sobie — sprzeciwiła się Claire.

— Przecież urodzisz dziecko Paula.

— Co takiego?

Sara nieomylnie wychwyciła niezbyt donośny męski głos.

— Paul? — zawołała. Oczywiście, że nie mogło go tu zabraknąć.

— To nieprawda — wykrztusił przytłumiony głos. Stawał się coraz wyraźniejszy.

— Co?

— Cóż — wyjaśniła Claire — powiedzmy, że jest duchowym ojcem...

— Chodźmy — szepnął Paul, stojąc już przy Sarze i ciągnąc ją za łokieć. Wyprowadził ją na zewnątrz. Usłyszała jeszcze, jak Claire odzyskuje rezon. Przecież stale ktoś przerywał jej wypowiedzi. Potraktowała to jako komplement.

— Dobrze się czujesz? — spytał Paul, gdy znaleźli się na chodniku. Słońce zaczynało już zachodzić, a na ulicach panował tłok — jak zwykle pod koniec lata i po godzinach pracy. Ludzie zmierzali do barów i kawiarni. Sara wtopiła się w tłum. Szła szybkim krokiem, a Paul podążał za nią.

— Naprawdę? To naprawdę możliwe? Ty i Claire?

— Sara, Claire i ja nie jesteśmy parą.

— Przecież powiedziała, że jest twoje, no, dziecko.

— Nazywa mnie jego duchowym ojcem, ponieważ poznałem ją z ojcem biologicznym — z Dellem. Pamiętasz go? To ten od Tupaca Shakura i Becketta. Wkręcił się na stypendium na moje miejsce. W tym czasie spotkałem Claire. Chyba ją obraził na jakimś panelu, a ona uznała, że to seksowne. Nie wiem. Nie chce się przyznać. Opowiada jakieś dziwactwa — że ojcostwo biologiczne to burżuazyjne frazesy. Zawsze miała problemy z właściwym doбором słów...

Sara przystanąła.

— Więc nie jesteście razem?

— Nie.

Odczuła tak wielką ulgę, że zachciało jej się płakać. Jego widok — taki znajomy — sprawił, że jej ciało przeszył ból. Gniew, którym kipiała jeszcze kilka minut wcześniej, zdążył się ulotnić.

— Wiesz, od dawna zamierzałem do ciebie zadzwonić — zaczął ostrożnie Paul. Nie tak sobie wyobrażał ich kolejne spotkanie. Sara uciekała wzrokiem, unikała spojrzenia prosto w oczy. Patrzyła na małe księgarnie i sklepy muzyczne z płytami z drugiej ręki, powoli wypierane z tej dzielnicy przez przestronne butikie oferujące pościel i świece po wygórowanych cenach. — Kiedy skończyło mi się stypendium — ciągnął Paul, tłumacząc się właściwie bez powodu — przyjechałem do Paryża, pracowałem jako pomywacz, wpadłem w dołek i już miałem wracać do domu. Wtedy w jakiejś restauracji spotkałem Claire...

— Zmywałeś gary?

— Tak — potwierdził z zażenowaniem. — Robiłem dokładnie to, co Orwell. Czasami marzenia naprawdę się spełniają.

— I co?

— Gorsze od samego mycia garów jest tylko zmywanie u Francuzów.

Sara mimowolnie wybuchnęła nadgorliwym śmiechem kogoś, kto rozpaczliwie szuka ujścia dla swoich emocji.

— To wcale nie jest takie śmieszne.

— Owszem, jest.

Paul przyjrzał się dziewczynie, jej wysportowanej sylwetce, elegancko ułożonym włosom, nowej, dopasowanej skórzanej kurtce. Te zmiany sprawiły, że poczuł się słaby. Wyglądała fantastycznie. Jakże męcząca bywa atrakcyjność dawnych partnerów.

— Świetnie wyglądasz — powiedział bez emocji, po prostu konstatując fakt i wypełniając lukę w rozmowie.

Sara rozpoczęła kiedyś jedną z wielu wersji rozprawy o Brontë stwierdzeniem, że wszystkie wspaniałe opowieści dotyczą powrotów: Jane Eyre wraca do Rochester, M. Paul do Lucy w *Vilette*, a Heathcliff do Cathy i Wichrowych Wzgórz. Przypomniała to sobie, gdy spostrzegła, że stoją z Paulem przed sklepem muzycznym, skąd dobiegała melodia kiczowatej, jak na ironię, amerykańskiej popowej piosenki: *I just wanna keep on lovin' you*.

To jasne! Jak powiedział pewien filozof: „Każdy ból i każda rozkosz i każda myśl i każde westchnienie i wszystko niewymownie małe i wielkie twego życia wrócić ci musi”\*. Wszystkie opowieści są o powrotach. Sarze zakręciło się w głowie. Może ta długa, kręta droga prowadziła z powrotem do Paula? Zresztą zawsze po cichu pragnęła w to wierzyć. Choć nawet sobie tego nie uświadamiała. A tu proszę, zaskoczyło ją to jak nieoczekiwany spadek.

\* F. Nietzsche, *Wiedza radosna*, przeł. L. Staff, „Bis”, Warszawa 1991.

— Masz ochotę na przejażdżkę? — spytał Paul.

— Okay.

Podeszli do zaparkowanego nieopodal zielonego peugeota.

— Masz samochód? — spytała Sara, wsiadając. Na tylnym siedzeniu piętrzył się stosik powieści Colette, której Paul szczerze nie znosił.

— Pożyczyłem — odparł chłopak, po czym uruchomił silnik.

Sklamał, chcąc oszczędzić jej przykrości. Upokorzona tym Sara oblała się rumieńcem. Samochód należał do jego dziewczyny. Zapewne znów się zeszli albo — wzięwszy pod uwagę wątpliwą wiarygodność Claire — nigdy nie rozstali. Przeżywał namiętną miłość, i to nie z Sarą. Pogódź się z tym, przekonywała się w myślach dziewczyna. Raz na zawsze się z tym rozpraw. Ile jeszcze razy na własne życzenie wrobi się w taką sytuację: nadinterpretuje, poczyni błędne założenia? Jak to możliwe, że znów się tak oszukiwała?

— Mogę cię o coś spytać? — odezwała się. Jej złość na samą siebie musiała znaleźć ujście i padło, rzecz jasna, na Paula. — A te wszystkie lata naszego związku? Co to było? Udawanie? — zaatakowała ostrzej, niż zamierzała, znów dając upust emocjom.

Paul powoli wypuścił powietrze.

— Właśnie dlatego unikałem rozmowy. Zawsze robisz z siebie ofiarę.

— Co takiego?

— To twoje poczucie straty i rozczarowanie... jakbyś chciała z siebie zrobić męczennicę...

— Poczucie straty i rozczarowanie? Myślisz, że mnie to kręci? Że mi to sprawia satysfakcję?

— Nie sądzę, że ci się to podoba, o nie, ty po prostu to uwielbiasz. Myślę, że dlatego żyjesz w taki sposób. Co miała znaczyć ta awantura na sympozjum? Claire nie ponosi winy za to, że jesteś nieszczęśliwa. Ani tym bardziej ja. Nie miałem już siły ani ochoty być przyczyną twojego niezadowolenia. Wiem, że nie zawsze ci pomagałem, ale...

— Boże, nawet nie próbuj mi wmawiać, że nic nie robię, tylko zaspokajam swoje neurotyczne pragnienia. To ty pojechałeś do Francji i pieprzyłeś się z kim popadnie — wytknęła mu Sara. *Gallia est omnis divisa in partes tres*: blond, czarną i rudą, pomyślała.

— Saro...

— Uroiłeś sobie jakąś wizję swojego życia i bez zastanowienia odrzucasz wszystko, co do niej nie pasuje.

Sara patrzyła przez okno, a samochód z zawrotną szybkością przebijał się przez ruch uliczny. Jechali wzdłuż Sekwany. Nieco ponad rok temu marzyła, że podczas miesiąca miodowego będą tędy spacerować, trzymając się za ręce. Przemierzali aleję Nowojorską. Kilka minut wcześniej odczytałaby ten fakt jako kolejną zapowiedź szczęścia, nie zaś to, czym był w istocie: oschłym śmiechem szatana.

— Nie porzuciłem cię bez zastanowienia — odezwał się wreszcie Paul. — Jesteś niesprawiedliwa.

— Cóż — Sara uniosła rękę — w takim razie odejdz. Jesteś w tym naprawdę dobry.

Paul niczym rajdowiec wyminął taksówkę i gwałtownie wyhamował, by nie uderzyć w inny wóz.

— Kurwa, Paul, zwolnij.

— To nie fair i dobrze o tym wiesz.

— Katapultowałeś się. Zrobiło się ciężko, więc sobie odpuściłeś.

— Nie podobały mi się zmiany, jakie we mnie zachodziły — zresztą, w nas obojgu.

— To znaczy?

— Przestaliśmy... no, nie wiem... żyć? Zaczęliśmy przypominać bohaterów Bergmana. Nie czułaś tego?

— Więc postanowiłeś po prostu rzucić wszystko, co udało nam się stworzyć?

— Nie. Nie wiem. Zrobiłem to dla naszego dobra.

— Nie rób ze mnie idiotki. Chciałeś odejść, więc odszedłeś. W porządku. Zgoda, nie wszystko układało się nam bez zarzutu. Ale ja przynajmniej chciałam spróbować to naprawić. A ty? Nie znosisz bałaganu, niedoskonałości ani niczego, co jest choć odrobinę ludzkie. Ale to twoja decyzja i przyjmuję ją do wiadomości. Tylko nie wymagaj ode mnie, żebym pomogła ci lepiej się z tym poczuć.

Paul głośno westchnął. Liczył na zaprawiony kroplą goryczy zachód słońca pełen półśmiechów i w lot rozumianych aluzji — w Paryżu, gdzieżby indziej. Czy istnieje lepsze miejsce na nostalgiczne interludium z byłą dziewczyną?

— Po co to właściwie robimy? Dlaczego jeździmy po Paryżu samochodem twojej dziewczyny i udajemy, że wszystko jest okay? Przecież wcale nie jest. Ani trochę.

— Niedaleko stąd jest park. Myślałem, że ci się spodoba. To był głupi pomysł. A samochód nie jest własnością mojej dziewczyny, tylko... nieważne. To zbyt skomplikowane...

— Dzięki za wyjaśnienie. Może byś mnie odwiózł?

Sara patrzyła przez okno na przemykające obok niewielkie samochody. Zobaczyła billboard na poboczu, który miał zapewne za zadanie wyciszyć nerwowych kierowców: UN PEU DE ZEN, MOINS DE HAINE — odrobina zen, mniej nienawiści. Zauważyła psa wystawiającego głowę przez okno. Wiatr rozwiewał jego wielkie uszy. Byłabym szczęśliwa, gdybym choć raz mogła coś takiego przeżyć, pomyślała. Jedną nieuświadomioną chwilę zwierzęcej radości. *Un peu de zen*. Paul miał rację. Jego nagła ucieczka była niewybaczalna, lecz obserwacja trafna. Nie była szczęśliwa. Nadal nie jest. Wygląda na to, że Paul również.

Zresztą, może się myliła. Jeśli ta wielbicielka Colette z zielonym peugeotem mogła mu zapewnić szczęście porównywalne do radości tego psa, niech z nią zostanie. Sara wybaczyłaby mu, że nie dość mocno ją kochał. Mogłaby być szczęśliwa jak ten pies. Wielkoduszna i wspaniałomyślna. Po raz pierwszy tak się zbliżyła do miłości — w swej istocie uroczo zwierzęcej. Może z czasem potrafiłaby ją Paulowi okazać, pozwalając mu odejść. Nagle poczuła się zdolna pokochać cały świat tylko dlatego, że żyje, jest w Paryżu i podziwiała psią radość. Chyba zdarzył się cud. Przecież nic nie dzieje się przypadkowo. Mogłaby wyobrazić sobie ludzi, z którymi łączyły ją najtrudniejsze relacje, i obdarzyć ich miłością. Paula. Claire. Pana Emmons. Tych, którzy odrzucili jej wniosek o grant. Swoją obojętną promotorkę. Mogłaby podziękować im za to, czego ją nauczyli, dokładnie tak jak zalecała instruktorka jogi Jasmyn. Wszystko zdawało się w zasięgu ręki. Ach, gdyby tak choć na chwilę zasmakować szczęścia, jakiego doświadczał ten pies.

— Jesteś szczęśliwy? — spytała.

Paul zacisnął dłonie na kierownicy i gwałtownie wypuścił powietrze.

— Co to znaczy „szczęśliwy”?

Sara z zazdrością obserwowała psa. Wiatr uniósł mu jedno ucho i przerzucił przez łeb, co przyprawilo go o jeszcze większą radość. Dziewczynie wydawało się, że psiak się do niej uśmiecha. „Chodź, pobaw się ze mną” — mówiła jego wesoła mina. Sara otworzyła okno i wychyliła nieco głowę. Samochody robiły straszny hałas, lecz uderzenie wiatru w ucho sprawiło jej orzeźwiająca przyjemność. Przypomniawszy jej się archanioł Gabriel. Zorientowała się, że nadal nic nie jadła — odczuwała nawet zawroty głowy.

Zbliżali się do tunelu. Sara zauważyła czerwone serce wymalowane przez grafficiarza tuż przed wjazdem — oschły śmiech szatana. Odczytała też dwa wypisane obok imiona: Dodi i Diana. Mieli przed sobą tunel Alma — miejsce, gdzie, jak poinformowała ją kiedyś Claire, niegdyś odprawiano pogańskie obrzędy ofiarne ku czci bogini Diany, a wiele wieków później na trzynastym słupie rozbiła się „księżna ludu”.

Sara rozejrzała się wokół. Uderzyło ją, jak pięknym miastem był Paryż w porównaniu z industrialnym charakterem obskurnego tunelu o białych, pozbawionych wyrazu podporach. To chyba najmniej malownicze miejsce, w jakim można tu zginąć. W tym mieście roilo się przecież od pięknych zakątków, idealnych, by wydać tam ostatnie tchnienie. Według Claire uważano je jednak za magiczne — dusze miały wędrować stąd prosto do nieba. Najwidoczniej unikały w ten sposób biurokratycznej gmatwaniny związanej ze śmiercią gdzieś indziej. Tunel jednak nie kojarzył się Sarze z wędrownką dusz. Widziała w nim po prostu śmiertelną pułapkę na pijanych kierowców i nic ponad to. Nagle dotarło to do niej z ogromną wyrazistością, wydało się jej smutne, a zarazem zabawne. Pointowało tę okropną przejażdżkę. Spojrzała na psa i uśmiechnęła się. Pies odwzajemnił uśmiech, a potem wjechali do tunelu. Gdyby się nieco bardziej wychyliła, może zdołałaby dotknąć psiaka...

— Jezu, Saro!

Odwróciła się do Paula, który gwałtownie kręcił kierownicą w lewo. Rozkojarzony przez dziewczynę, nie zauważył, jak samochód z psem zmienia pas ruchu, i teraz usiłował zrobić mu miejsce. Peugeot uderzył w ścianę działową tunelu. Samochód zaczął się obracać. Sara huknęła głową o deskę rozdzielczą. To nie fair, pomyślała, dopiero co zaznałam odrobiny szczęścia. To nie fair. Zorientowała się, że coś się pali. Wyczuła dym, który zmienił się w kolor, przedmiot, a wreszcie w różę — czerwoną różę, która rozkwitła, rozpląnęła się i spłonęła w jej głowie. To ostatnia rzecz, jaką pamiętała.

## Wydarzenie

*Życie tak się układa, że wydarzenia nie odpowiadają oczekiwaniom, nie mogą i nie zdołają im sprostać.*

Charlotte Brontë, *Villette*

Przez cały następny tydzień wszyscy pragnęli Sarze coś wyznać. Przypomniała sobie, że w dzieciństwie wyobrażała sobie podobną sytuację. Marzyła, że leży w szpitalu, bo dokonując jakiegoś bohaterskiego czynu, otarła się o śmierć. Każdy, kogo znała, przychodził do niej z przeprosinami i gorzko żałował, że dotąd był dla niej niedobry. Rodzice zjawiali się przy jej łóżku i błagali o wybaczenie, że nie pozwolili jej oglądać *Aniołków Charliego* z powodu propagowanej w nich zachowawczej interpretacji feminizmu.

Rzeczywistość, jak zauważyła Sara, na przemian odzyskując i tracąc przytomność, sporo jednak traciła w porównaniu z dziecinnymi fantazjami, nawet się do nich nie umywała. Być może wskutek nieprzyjemnej obecności rurki w gardle.

— Saro? Saro, słyszysz mnie? Uścisnęła mi rękę! Ona słyszy?

— *Non, monsieur*, to tylko taki odruch. Normalna sprawa.

— Ona mnie słyszy. Saro? To ja, Byrne. Pan Emmons. Przyjechałem natychmiast, gdy się dowiedziałem, co się stało. Tak mi przykro, kochanie. Czuję się okropnie. Nie winię cię, że odeszłaś. Wiem, że zacho-

wywałem się jak największy dupek pod słońcem. Poza tym to karma, mówię ci. Cóż, pewnie znasz nowiny z branży. A może nie. Utraciliśmy naszą gwiazdę. Bierze teraz udział w projekcie, z którym Marty strasznie się cacka, jakimś obciachowym głównie o Amelii Earhart. Ciekawe, jakim cudem, co? W każdym razie zostałem, kurwa, pogrzebany, ale w ogóle mnie to nie obeszło. Nic a nic. Chciałem tylko znów cię zobaczyć. Zmieniłaś mnie, Saro. Wiem, że bywam draniem, ale uświadomiłem sobie, co się w życiu liczy. Wynająłem dom, a nawet sprzedałem vegę — to tylko rzeczy — zorientowałem się, że całą swoją energię pakowałem w rzeczy. Porzuciłem styl LA i znów chodzę na spotkania. Od tygodnia jestem zupełnie czysty.

Sara znów straciła przytomność. Jego słowa stały się niezrozumiałe, jakby miała watę w uszach. Zresztą, słowa tylko mydliły oczy. Ale lubiła tę konwencję. Skruszeni dranie zawsze byli w jej typie.

— Saro? — Paul. Drugi skruszony łajdak, ale będzie ubaw. — Saro? Saro, słyszysz mnie? Dzwoniłem do twoich rodziców. Mam nadzieję, że mnie słyszysz. Wiele ostatnio przemyślałem i... w niektórych sprawach chyba masz rację. Powinienem się dobrze zastanowić, a nie tak nagle odchodzić... Sam nie wiem... Przepraszam. Szkoda, że nie postąpiłem inaczej, że spaliłem za sobą wszystkie mosty. Chyba byłem ciekawy, co się stanie, jeśli pozbędę się wszystkiego, co znajome, jakbym doszczętnie spalił dom. No, cóż, teraz widzę, że życie szybko mija i szkoda marnować... Właściwie nie wiem, do czego zmierzam. Chciałem do ciebie zadzwonić. Milion razy. Uważałem, że odchodząc, popełniłem błąd, ale z drugiej strony nie byłem zupełnie pewien, czy powinienem wrócić, a nie chciałem cię drugi raz narażać na przykrości. Czekałem, aż nabiorę pewności. Chciałem zadzwonić. Chyba po prostu zabrakło mi odwagi.

— W tym tygodniu mój wiersz jest tylko o tobie. *Chérie*, podłączona do respiratora jesteś jeszcze piękniejsza. Wiesz, że te dupki lekarze nie pozwalają tu palić?

— Muszę przyznać, że zawsze ci zazdrościłam. Sukcesy przychodziły mi zawsze tak łatwo, że nie miałam pojęcia, jak to jest... to znaczy, przez co przechodziłaś. Twoja pasja jest taka nieskazitelna, bo nie masz żadnego wsparcia. Mijają lata, a psa z kulawą nogą nie obchodzi, nad czym pracujesz. Ale ty nie rezygnujesz. Tego ci właśnie zazdroścę. Wiesz, co naprawdę kochasz — to takie czyste. W moim przypadku wszystko komplikują ogromne pieniądze, media i uwielbienie, jakie okazują mi ludzie. Nie wiem, czy nadal zajmowałabym się Dianą, gdyby mi tego zabrakło. Naprawdę nie mam zielonego pojęcia. W przeciwieństwie do ciebie, nigdy nie spotykałam się z taką obojętnością. Nie wiem, jak to jest, gdy ktoś podaje w wątpliwość twoje podstawowe przekonania. Po zastanowieniu moja ścieżka wydaje mi się w pewnym sensie trudniejsza. Ty nie musisz roztrząsać, czy szukałabyś listów Brontë, nawet gdyby miało ci się to nie opłacić, bo już wszystko wiesz i po prostu to robisz! Nie wiem, czybym się na to zdobyła.

Sara zamrugnęła i otworzyła oczy. Claire zaklaskała.

— Obudziłaś się. Czuję się jak królewicz z bajki! Totakie mityczne kogoś przebudzić. Czuję...

— Claire, czy wszystko ze mną w porządku?

— Miałaś w mózgu krew i chyba jakiś płyn, ale wszystko ci odsączyli, czy coś w tym stylu — trudno mi się w tym połapać. Uważam, że nauki ściśle na siłę i bezpodstawnie roszczą sobie pretensje do roli autorytetu. W każdym razie zdaje się, że już ci lepiej. Czekali, aż się wybudzisz i zaczniesz mówić, a to się właśnie stało. Szkoda, że nie widziałaś, jaki ciągnął do ciebie korowód facetów. A prasa! Dali nagłówek „Kłątwa Diany”. Rzecz jasna, postarają się ją oszkalować, jakby za jej życia było im mało. Dlaczego nie „Błogosławieństwo

Diany"? W końcu przecież przeżyłaś. Pismacy dostali kręćka, bo nie dość, że wypadek zdarzył się w tunelu Alma, to na dodatek jeszcze w rocznicę jej śmierci. Aha! Coś im tam wspomniałam o twoim udziale w konferencji. Trzeba dbać o dobry PR.

Sara ledwo za nią nadążała.

— A Paul, dobrze się czuje?

— Paul jest w rozsypce. Chyba złapał depresję. Słusznie go sobie odpuściłaś. A Therese jest miła, ale co tu dużo mówić... Nie może skończyć doktoratu o Colette. Frustruje się i sama się pogrąża. Coś jak ty jakiś rok temu, tylko we francuskim wydaniu. Paul należy chyba do facetów przez całe życie skazanych na ten sam typ kobiety. Waruje przy tobie jak pies. Zdaje się, że przez to nie może się w pełni zaangażować w związek z Therese. I co ty na to? To było do przewidzenia. Ale już się od niego wyzwoliłaś — interesują go tylko frustratki. Inne po prostu go przerażają.

— Nadal jestem sfrustrowana i sama się ograniczam — broniła się Sara.

— Co to, to nie. A twoja wyprawa do jakiegoś głupiego łóżka we Włoszech? A niezaprzeczalny fakt, że publicznie na mnie nakrzyczałaś, i to dwa razy? To raczej zwariowane i impulsywne. Sara, naprawdę poczyniłaś postępy. Paul mówi, że spowodował wypadek, bo chciałaś wyjść przez okno.

— Nieprawda.

— W takim razie, o co chodziło?

Sara potarła skronie. Co właściwie zamierzała wtedy zrobić?

— Chyba chciałam być psem.

— Doskonale!

— Claire, czy z Paułem wszystko w porządku? Nic mu się nie stało?

— Jediną osobą zdolną zranić Paula jest on sam. Ma się świetnie.

— A ten drugi samochód?

— Pies stracił nogę. Poza tym nikt nie ucierpiał.

— Aha.

Sara spojrzała przez okno i zauważyła, że pada deszcz. Martwiła się o trój nożnego psa. Przytłaczające, szarobure niebo wróżyło dalsze opady.

— Chyba powinnaś kogoś zawiadomić, że już się obudziłam? — spytała wreszcie. Claire przytaknęła, wyjęła

telefon komórkowy i wybrała numer swojej rzeczniczki prasowej. — Miałam na myśli lekarza.

— Już się obudziła! Jestem jak królewicz z bajki! To takie mityczne. Upewnij się, że wyraźnie zaznaczą, że to ja byłam wtedy przy jej łóżku.



# Odwaga, by przerwać milczenie

*Wreszcie śmiertelny ból pozwolił mi zebrać się na odwagę, by przerwać milczenie — wszystko wyznałam.*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1854

Sara słyszała, że otarcie się o śmierć rozjaśnia umysł. Następuje przewartościowanie dotychczasowego postępowania, a podejmowanie decyzji nie nastęrcza już żadnych trudności. Jej doświadczenia były jednak zupełnie inne. Powrót do zdrowia łączył się z sennością i niezdecydowaniem. Wszystko się rozmywało, z wyjątkiem sporej dawki współczucia i ulgi, że przeżyła. Była dosyć radosna, ale to nie ułatwiało rozstrzygania rozmaitych spraw. Każdy pragnął jej coś ofiarować, jakby wypadek sprecyzował i zintensyfikował uczucia otoczenia, lecz nie jej samej. Paul, pan Emmons oraz Denis wyrazili naraz szczerą chęć, by się z nią związać, a Claire zaproponowała roczne stypendium naukowo-badawcze, nie narzucając żadnych ograniczeń. Nikogo prócz Sary nie dręczyły żadne wątpliwości.

Rodzice przyjechali do Paryża przed wypisaniem córki ze szpitala i zatrzymali się w hotelu położonym zaledwie kilka przecznic od jej tymczasowego mieszkania — paryskiego apartamentu Claire. Sara wprowadziła się tam bez wielkiego entuzjazmu, lecz później była z tego zadowolona. Przede wszystkim mieszkanie Claire okazało się ogromne — kilkukondygnacyjne, w pięknie odrestaurowanej starej kamienicy. Miała też znacznie więcej swobody, niż oczekiwała. Niekiedy całymi dniami niemal nie widywała Claire, mogła się więc oddawać lekturze, a gdy czuła się na siłach — spacerom. Pobyt tam pozwalał jej również zdystansować się nieco od zaniepokojonych rodziców.

— Musisz zapamiętać jedno — ostrzegła matka podczas lunchu, gdy Sara opuściła szpital. — Niektórzy ludzie to straszne gnoje. Wiem, że wolisz na to patrzeć bardziej romantycznie i uważasz, że wszystko można naprawić, ale czasami to po prostu niemożliwe.

— Nie uważasz, że ludzie zasługują, by od czasu do czasu dać im jeszcze jedną szansę? — spytała Sara. Chciała usłyszeć od matki wyraźną odpowiedź, lecz ta wciąż unikała konkretów, jak wszyscy psychoterapeuci.

— Oczywiście! — zgodziła się matka, ożywiwszy się po drugim kieliszku wina. Sara chłonęła zapach kawy i gorących steków. Ogromnie zapragnęła pozostać tu na zawsze, nie dokonując wyboru. Słyszeć kojący brzęk kieliszków, patrzeć na białka jajek rozlane na talerzu. Tost. Matka. Ludzie połykający w pośpiechu lunch i pędzący z powrotem do pracy. Sara cieszyła się, że sama nie musi się stąd ruszać, nic jej nie goni.

— Więc myślisz, że powinnam dać Paulowi drugą szansę? — spytała, drażniąc matkę. Ta uniosła tylko brew. Może tak, może nie... przekłęci terapeuci!

— Uważam, że niektórzy ludzie na to zasługują, a niektórzy zupełnie nie — odezwała się. Niewiele tym pomogła Sarze.

— Po czym to poznać? — drażyła płaczącym tonem dziewczyna.

— Och, kochanie — odparła matka, usuwając spomiędzy zębów odrobinę rukoli — właśnie dlatego skupiałam się na szafach. Po prostu nie mam pojęcia. Naprawdę nie wiem, kto na co zasługuje.

— Dzięki — powiedziała z żalem Sara, utkwivszy wzrok w oknie. Nagle zapragnęła być jedną z tych kobiet, które zmierzają bulwarem do określonego celu, trzymając się jakiegoś sztywnego harmonogramu. Ach, ten konkretny cel, pomyślała, ciągle mi się wymyka.

— Jeśli naprawdę chcesz mojej rady... — podjęła matka zachęcającym tonem. Sara nadstawiła uszu. — Zwróć uwagę na to, co czujesz. W danej chwili. Zbierz tych wszystkich facetów w jednym pomieszczeniu... — Sara roześmiała się, a zaraz po niej matka. — Co masz do stracenia? Skoncentruj się na własnych odczuciach. Przypomnij sobie, jak postępowałaś jako siedmiolatka, kiedy podejmowałaś decyzje, z kim się bawić, a kogo unikać, bo jest niemiły. Masz teraz swobodę życiowego wyboru. Postaw na to, co dla ciebie najlepsze.

Sara spojrzała na swoje odbicie w łyżce i wzięła głęboki oddech. Nie miała ochoty wstawać od stołu. Matka uregulowała rachunek i obrzuciła ją wyczekującym spojrzeniem.

— Starczy ci sił na małe zakupy? — spytała.

Sara uśmiechnęła się i przytaknęła.

— Nie przyszedłem za wcześnie? — spytał Paul.

— Odrobinę. Wejdz.

Sara zaprowadziła Paula do salonu. Miała nadzieję, że zjawi się jako ostatni. Wciąż czuła się przy nim najbardziej niepewnie.

— Claire potrafi się urządzać — zauważył.

— Owszem.

— Ty chyba zresztą też.

— Jestem tu tylko gościem.

— Wiem, ale... — Paul uśmiechnął się niepewnie i zajął miejsce na twardej granatowej sofie. — Dobrze wyglądasz.

— I nieźle się czuję. Zaczęłam już wychodzić na spacer. — Uśmiechnęła się lekko przestraszona Sara. W myślach przygotowywała się do tej chwili, ale odczuwała coś w rodzaju tremy, jak początkująca aktorka przed wyjściem na scenę. Nie potrafiła odegrać tego, jak należało. Brakowało jej wyrafinowania i lekkości w zabawianiu byłych kochanków rozmową o spacerach i mieszkaniach.

Uprzejmy uśmiech zniknął z jej twarzy. Taka mina kiedyś bardzo niepokoiła Paula. Smutniała, a on się za to obwiniał. Zawsze się denerwował, że Sara błędnie go postrzega albo przynajmniej tworzy sobie złudny obraz jego osoby, wyolbrzymiając tylko niektóre zalety i zamykając oczy na całą resztę. Czy naprawdę pragnął spędzić życie u boku kobiety, którą interesowałby tylko połowicznie? Jako wcielenie długo wyczekiwanej miłości, które od dzieciństwa w sobie pielęgnowała? Przeglądając się jej, odkrył jednak, że wygląda teraz inaczej, choć zarazem znajomo. Słuchała go z bezpośredniością, jakiej nigdy wcześniej nie odczuł. Nie oczekiwała, że jego słowa przyniosą rozczarowanie. Wydawała się po prostu trochę rozbawiona.

Uśmiechnął się do niej.

— Co powiesz na to: ja wyjeżdżam, żeby rozejrzeć się po świecie, ale tak naprawdę to ty go poznajesz? — spytał, próbując obrócić wszystko w żart.

— Przecież zobaczyłeś kawałek świata — przypomniała mu Sara.

— Ty widziałaś znacznie więcej.

Sara przytaknęła. Pewnie miał rację. Na ulicy panował hałas, ale obszerny apartament Claire zawsze tchnął dziwnym spokojem. Oliwkowe, zastawione książkami ściany tworzyły atmosferę pracowitości, intymności, powagi. Sara czuła się niezręcznie, jakby zmuszała się do dawnej zażyłości. Zdawała sobie sprawę, że to nie wystarczy. Wstała i zbliżyła się do stosu książek na otomanie. Wydobyła jedną i wręczyła ją Paulowi. Na jego twarzy pojawił się uśmiech świadczący o tym, że ją poznaje.

— Moje *Na dnię...* — zauważył.

— Poprosiłam rodziców, żeby ją przywieźli. Nie powinnam była jej zatrzymywać. — Sara wzruszyła ramionami, sugerując, że mogłaby powiedzieć więcej, tylko po co. Już za późno na załatwianie starych porachunków. — Weź ją. Przecież jest twoja.

Przez cały ranek Paul czuł, że narasta w nim dziwny optymizm. Uśmiechał się bez powodu. Bezskutecznie analizował swoje życie, poszukując przyczyn tej cichej ekscytacji. Fakty — brak pracy i pieniędzy, odejście Therese (rozbil się jej samochodem w towarzystwie byłej dziewczyny, co w tej sytuacji okazało się nie bez znaczenia) — skłaniały go raczej do pograżenia się w rozpacz. Niczego takiego jednak nie zaznał. A zarazem coś odczuwał i bardzo chciał to sprecyzować. Miłość? To zbyt pospolite.

W każdym razie coś kuriozalnego. To słowo wywodzi się zresztą od łacińskiego, które oznacza troskę, stąd wzięła się „kuratela”. Kuratela, kurator. Kurator — jakież to piękne, szlachetne słowo. Przecież to osoba, której powierza się szczególną funkcję sprawowania pieczy nad dziełem sztuki i troski o jego zrozumienie. I nie chodzi tu o tępe wbijanie czegoś do głowy jak na studiach wieczorowych, lecz o wielką, naukową pasję. Tylko wobec kogo? Czy było to uczucie wobec Sary? Czy może dotyczyło jego samego? Albo też ich obojga? Zapewne.

Jestem kuratorem, postanowił, a myśl ta wzbudziła w nim nowe pokłady optymizmu, takiego, który spływa na człowieka bez wyraźnej przyczyny. Powinien zdradzić jej ten sekret. Jestem kuratorem.

— Co on tu robi tak wcześnie?!

— Jak wszedłeś do środka? — spytała Sara.

Denis uniósł dłoń z kluczami. Paul zorientował się, że będzie musiał odłożyć swoje rewelacje na później. Wkrótce zjawił się również pan Emmons. Sara wzięła głęboki oddech.

— Nikogo już chyba nie brakuje. — Zajęła miejsce pośrodku w niskim, skórzanym fotelu. — Wiem, że sytuacja jest nieco niezręczna, ale... — zaczęła. Owszem, czuła się nieswojo, i to znacznie bardziej, niż oczekiwała. Ostatni raz posłuchała rady matki. Denis i pan Emmons zapalili. Paul uprzejmie otworzył okno. Do mieszkania wtargnął uliczny zgiełk. — Przez ostatnich kilka tygodni, gdy odzyskiwałam zdrowie, wyznaliście mi swoje uczucia. Problem w tym, że... że mam poważne powody, aby sądzić, że związek z żadnym z was nie wyszedłby mi na dobre.

— Powody?! — wybuchnął Denis. — Jakie powody? Dusza umiera, kiedy...

— Denisie...

— Ona chyba próbuje...

— Panie Emmons?

— Nazywasz go panem Emmonsem?

— Daj spokój, Paul. Proszę tylko o trochę czasu, o roczne... — wykrztusiła wreszcie Sara.

— Co roczne?

— Rozstanie — dopowiedział ze zrozumieniem Paul.

— Potrzebuję roku wyłącznie dla siebie. Claire zaproponowała mi pierwsze stypendium Diany i postanowiłam je przyjąć. Dzięki niemu uzyskam środki, by wznowić swoje badania, zbierać nowe informacje, podróżować i pisać. Trzeba mi tylko czasu.

— Chcesz się zupełnie odizolować? — spytał pan Emmons, natychmiast szukając jakiejś furtki.

— Chyba możemy ze sobą korespondować. Wiem, że tak się zazwyczaj nie robi, ale... — Sara rozejrzała się po pokoju, by wyrzec odpowiednio silne wrażenie. — Muszę nabrać pewności, a w tej chwili jej nie mam, więc zobaczę, co się przez ten rok zmieni — we mnie, w was, na świecie... Z uzasadnionych przyczyn nie mogłabym pracować z żadnym z was, choć wiem, że wina leży również po mojej stronie. Po prostu nie zamierzam powtarzać tych samych błędów. Ty — zwróciła się do Paula — musisz dorosnąć i zdecydować, czego naprawdę chcesz. — Potem spojrzała na pana Emmonsa. — Wiem, że chciałbyś być dobrym człowiekiem, ale nie jesteś. Ja ci w tym nie pomogę. A ty, Denisie, cóż, jesteś... wierszem... jeśli to cokolwiek znaczy.

Denis wzruszył ramionami — tak się przynajmniej wydawało. Wyćwiczona mowa Sary odniosła zamierzony skutek: tak ostudziła zapał mężczyzn, że przetrwać mogła tylko iskierka najgłębszej nadziei. Siedzieli teraz pokornie i cicho, aż odezwał się pan Emmons.

— Rok? Sary, to przecież bardzo długo. Dziewczyna była na to przygotowana i udzieliła obmyślonej wcześniej odpowiedzi.

— Jeśli czas ma dla ciebie takie znaczenie, powinieś kochać pociągi, nie ludzi. — Miało to zabrzmieć mądrze i światowo, lecz wywołało tylko tępe spojrzenia. Czekala na wewnętrzny sygnał. Na cokolwiek. Na uczucie, które według matki niezawodnie powinno się w niej zrodzić. A tu nic, tylko zagubienie, ból i zmęczenie. Jej nogi stały się ociężałe. Naszła ją ochota na drzemkę.

— To nie wszędzie możliwe — odezwał się Denis. Skupił na sobie wszystkie spojrzenia. — Nie pokończyłbyś hiszpańskich pociągów, w każdym razie jeśli cenisz punktualność. Wiecie, w judaizmie panuje takie przekonanie, że Bóg bierze każdego na stronę, żeby przed rozpoczęciem życia wybrał sobie kłopoty, które go w nim spotkają. A kiedy człowiek wraca, zawsze bierze to samo.

— Jak to „wraca”? — zareagował błyskawicznie pan Emmons. — Nie sądziłem, że żydzi wierzą w reinkarnację.

— Co ty, jesteś prawnikiem? — natarł na niego oburzony Denis. — Staram się tylko pomóc.

— Jak? — spytał Paul.

— Chcę powiedzieć, że to nie ma wielkiego znaczenia, kogo wybierze, bo kłopoty będą te same. — Wzruszył ramionami. Znow musi coś tłumaczyć Amerykaninowi, jakżeby inaczej — oto jego problemy.

— Co za fatalizm — sprzeciwił się pan Emmons. — Ludzie się zmieniają.

Denis ponownie wzruszył ramionami.

— Tak, jestem *fataliste*. I co z tego?

— Tym gorzej — podsumował pan Emmons.

— Co znaczy moje zdanie? — spytał Denis.

— Pisałem kiedyś o fatalizmie... — wtrącił się Paul.

Sara zauważyła, że jej plan się sypie. Gdzie namiętne protesty? Rodząca się jasność sytuacji, wszechogarniający spokój? Zapewniła wszystkim odpowiednią scenę, by mogli dramatycznie walczyć o swoje racje, a tu rozmowa zmienia się w jakąś filozoficzną dyskusję. Musiała się czymś podeprzeć. Spojrzała na książkę z listami Brontë niewinnie spoczywającą na półce niczym niewidoczny reżyser dyskretnie kierujący niewrażliwymi aktorami. Usiłowała sobie przypomnieć swój ulubiony list i refleksję, jaką w niej wywołał — to na pewno pomoże.

Biografom często pomagają ludzie zgorzkniali, którzy wciąż szukają dowodów wbrew przepisom o przedawnieniu. Sara wiedziała, jak wiele zawdzięcza żonie profesora Hegera. Dzięki niej zachował się list Charlotte Brontë do jej męża, pieczołowicie zszyty nicią, z zanotowanym z tyłu (zapewne ręką profesora) adresem zakładu szewskiego.

*Dlaczego nie potrafię żywić do Pana równie serdecznej przyjaźni jak Pan do mnie — ni mniej, ni więcej? Byłabym wtedy taka spokojna, taka swobodna — dziesięcioletnie milczenie przyszyłoby mi bez najmniejszego wysiłku.*

Pan Nicholls na pewno by go spalił, gdyby tylko mógł. Tyłu mężczyzn próbowało zniszczyć ten list, a teraz wszyscy mogą poznać jego treść. Poruszono w nim wszystkie odwieczne problemy: nierówną siłę uczucia, miłość, stratę, odtrącenie, naprawę butów.

Tylko z jednym Sara nie mogła się pogodzić — po śmierci żony profesora jego córka przekazała mu ten list. Postąpiła dziwnie. Sara przypuszczała, że profesorowa trzymała go zawsze w zanadrzu, jako ostrzeżenie, gdyby mężowi przyszło na myśl znów zbłądzić. Musiała trzymać profesora w ryzach, a list posłużył jej jako broń. Córka jednak odegrała w tym dramacie dziwną rolę.

Może madame Heger nie lubiła Charlotte, może czuła się przez nią zagrożona? A może jeszcze bardziej przeraziła ją łatwość, z jaką profesor odrzucił cudze uczucia? Możliwe, że te trzy kobiety łączyło wspólne przekonanie, że ukochany mężczyzna nie jest zdolny do jakiegokolwiek czułości. Może powrót listu do jego rąk wyrażał błaganie o okazanie skruchy, żalu, miłości, stanowił próbę wywołania jakichś emocji, które przebiłyby się przez twardą skorupę.

Niegdyś spośród bohaterów tej rodzinnej tragedii Sara użalała się nad załamaną, odtrąconą Charlotte. Teraz żona i córka profesora wydały jej się godne większej litości. Charlotte rozwijała się, zyskała rozgłos jako pisarka i wyszła za innego mężczyznę, który ją pokochał. To ona okazała się szczęściarą. Żyła dalej pełnią życia. Tymczasem Sara dzieliła los z paniami Heger, błagając o nierealną odpowiedź.

— Nie mogę tego zrobić — powiedziała niepewnie. Pragnęła wyjść stąd z Paulem u boku, pewna czekającego ich szczęścia, jego niezmiennego oddania.

— Już to mówiłaś, kochanie — przypomniał pan Emmons.

— Myślę, że kocham tylko jednego z was. Flirtowałam z pozostałymi, bo w głębi duszy wiedziałam, że nic z tego nie wyjdzie, więc w gruncie rzeczy pozostawałam lojalna w stosunku do tego jedyne, zresztą bez wzajemności. Uważam więc, że muszę zrezygnować z was wszystkich, by od jednego się uwolnić i zachować się fair wobec pozostałych. Tak mi przykro...

Sara obserwowała, jak konkurenci patrzą po sobie z zadowoleniem — nikt dziś nie zwycięży. Pan Emmons klepnął się po udach — znów dał się okpić. Paul jak zwykle pocierał kark, jakby chciał wmasować do

głowy rozwiązanie tej drażliwej kwestii. Denis demonstracyjnie zapalił kolejnego papierosa, szykując się na całonocną imprezę.

Sarę zemdliło. Chciała wygłosić mnóstwo pustych zapewnień o odpornej naturze ludzkiej duszy i dostatku miłości, ale zabrakło jej słów. Odrzucenie bolało, ale rezygnacja z miłości również przynosiła cierpienie, nawet jeśli gwarantowała przetrwanie. Szukała w myślach czegoś mądrego, dowcipnego, spontanicznego. Czegoś uroczego, acz zaprawionego odrobiną goryczy. Czegoś paryskiego. Jednak gdy uniosła powieki, a jej oczy napotkały spojrzenie Paula, przyszło jej do głowy jedynie to, co pewnie czuje każdy, kto zaznał miłości, gdy ta się wypala: zawsze będę tęskniła do mężczyzny, którego w tobie kochałam.

— Nie miejcie mi tego za złe, ale wołałabym, żebyście już poszli — powiedziała.

— Zaraz! — krzyknął Denis, dżgając powietrze papierosem. — Chcę wiedzieć, kogo naprawdę kochasz.

Sara potrząsnęła głową, z wysiłkiem powstrzymując płacz. Obiecała sobie, że będzie się trzymać.

— Powiedzmy, że to nie ma znaczenia — powiedziała łagodnie.

Denis niecierpliwie pokiwał głową. Nawet do niego dotarło, że nic nie wskóra.

— Saro! — zaprotestował Paul, który chciał jej przecież wyznać, że jest kuratorem.

Ale jej wzrok był nieubłagany. Dawał mu do zrozumienia, by wyszedł. Ze smutnym uśmiechem rezygnacji podniósł swój pierwodruk i wraz z innymi opuścił mieszkanie. Sara podeszła do okna i patrzyła, jak każdy obiera swoją trajektorię, jak małe wektory losu skierowane w przeciwną niż ona stronę, w głąb miasta. Wreszcie pozwoliła sobie na płacz.

## Życie li tylko połowiczne

*Nie skazuj się na życie li tylko połowiczne...*

Charlotte Brontë, list do Ellen Nussey, 1845

Kogo wybrałaś? — spytała Claire, gdy Sara przyszła do niej na taras.

— Chyba żaden nie jest dla mnie odpowiedni.

— Mogłam ci to powiedzieć rok temu.

Claire patrzyła, jak słońce przebija się przez chmurę. Zanosilo się na deszcz, lecz ona nie miała na niego najmniejszej ochoty i zdawała się nakazywać słońcu, by znów wyszło.

— Nadal się na mnie gniewasz? — spytała.

Sara po raz pierwszy zauważyła u niej przejaw zainteresowania uczuciami drugiego człowieka.

— Do niedawna byłam bardzo zła.

— A teraz?

Claire przesunęła trochę słońce według własnego życzenia i nakazała mu, by zeszło jej z oczu.

— Może chciałabyś się tu zatrzymać, gdy będziesz na stypendium Diany, jeśli je w ogóle przyjmiesz. Ta kamienica jest tak wielka, nie przeszkodzi ci nawet obecność Denisa. Miałabyś osobne wejście. Mogłabyś wchodzić i wychodzić, kiedy zechcesz.

— A gdzie jest haczyk?

— Nie ma.

— Zawsze jest...

— Może od czasu do czasu zjemy razem lunch. Albo raz po raz pójdziesz ze mną na jogę dla ciężarnych...

Sarze nigdy wcześniej nie przyszło do głowy, że Claire może doskwierać zwyczajna samotność.

— Oczywiście nie musisz. Po prostu pomyślałam, że miło byłoby mieć przy sobie kogoś zaufanego i sprawdzonego, poza Denisem.

— Rozumiem.

— Rzecz jasna masz to stypendium, obojętnie, co postanowisz. Jeśli tylko je przyjmiesz.

Sara patrzyła na Claire. Sprawiała wrażenie wyjątkowo samotnej, nawet gdy sterowała słońcem.

— Po naszym wspólnym lunchu wtedy, w Los Angeles, dotarło do mnie — podjęła ponuro Claire — że mój plan na twoje życie... Może powinnam postąpić inaczej. Zawsze się o to sprzeczaaliśmy z Denisem, według niego nie ma sposobu, by komuś pomóc, bo każdy żyje swoim życiem — to przeznaczenie. Moim zdaniem w każdej chwili decydujemy o swoim losie. Ludzie się zmieniają — faktycznie nic innego nie robią. Człowiek ma mnóstwo możliwości poddania się przemianie — weźmy choćby Dianę. W każdym razie myślałam, że właśnie ci je otwieram — wskazuję drogę ku życiu, które jest twoim przeznaczeniem. Musiałam cię tylko trochę... popchnąć. Ale ostatecznie może nie takiego bodźca potrzebowałaś. A róża, cóż, ta sprawa wciąż mnie gnębi. Bardzo się przejęłam. Dzwoniłam do niej. Nie chciała ze mną rozmawiać.

Claire wodziła paznokciem po stopce kieliszka, kreśląc ósemki. Widocznie ją to uspokajało. Sara nie przerwała ciszy. Sama nie wiedziała — pocieszać Claire czy wytykać jej błędy. Czy były teraz przyjaciółkami? A może przeciwniczkami? W obecności Claire Sara nadal miała się na baczności.

— Cóż — odezwała się wreszcie Claire — mam nadzieję, że przyjmiesz stypendium. Proponuję to, by ci pomóc. Nic poza tym.

Sara skinęła głową. Zauważyła na ścianie cienie rzucane przez zakrętasz żelaznej balkonowej balustrady.

— Uważasz, że trudno ze mną wytrzymać? — spytała zmartwiona Claire.

— Cóż...

— Żartuję. Pewnie, że tak! Namiętne twórczynie są nieznośne! Przecież nie trzeba ci tego mówić. — Claire roześmiała się gardłowo i donośnie. — Jestem teraz umówiona z psychoanalitykiem. Wyraził przypuszczenie, że mogę mieć problemy z kontrolą.

— Nie gadaj — rzuciła żartobliwie Sara.

— Pewnie nie zauważyłaś, ale mówię ci to w zaufaniu.

Sara roześmiała się cicho do samej siebie. Jesienne słońce dodało jej sił.

— Powiedział, żebym prowadziła dziennik. Jest genialny. Zasugerował, żebym nie wymuszała rozmaitych sytuacji, jak kiedyś. Jak w twoim przypadku, kiedy próbowałam zafundować ci życiowy happy end — to błąd. Staram się teraz po prostu żyć. Czytam dużo tekstów zen. Problem w tym, że ze wszystkiego robiłam opowieść — z mojego życia, z twojego — a potem zdałam sobie sprawę, że takie historie nie są potrzebne ani

konieczne, wystarczy żyć. Mój błąd, zresztą jeden z wielu, polegał na tym, że tworzyłam je dla siebie, a przecież życie samo w sobie jest dobre, jakie jest.

Sara wyjrzała przez okno na miasto. Słowa Claire przelatywały jej przez głowę, osadzały się w umyśle. Nagle popatrzyła na koleżankę przymrużonymi oczami.

— Claire, czy tego przypadkiem nie napisał Samuel Beckett?

— Możliwe. Ciągłe coś pisał.

— Jesteś z Dellem?

— Człowiek nie może z nikim być — ludzie do siebie nie należą. Okropność. Duszę się od tej całej... własności!

— Czasami to nawet miłe.

— Pewnie tak — zgodziła się Claire, natychmiast zmieniając zdanie. W zamyśleniu wodziła palcem po kieliszku, po czym wskazała na butelkę. — Napijesz się? — spytała.

— A ty możesz pić?

— Dlaczego nie? Z powodu ciąży? Jesteśmy we Francji, tu mi wolno. W każdym razie trochę rozcieńczyłam wino. Smakuje teraz jak kalifornijski merlot.

Sara uśmiechnęła się i nałała sobie odrobinę. Claire z aprobatą pokiwała głową.

— Może masz rację, Saro. Zaczęłam myśleć, że do mnie należysz. W dobrym sensie tego słowa. Moja milcząca wiktorka. Podoba mi się to. Chciałabym, żebyś została.

— Mam pewien trop w Irlandii. Ta kobieta, którą poznałam w Nowym Jorku, ma krewnych w Cork. Zawsze chciałam to sprawdzić.

— Nic prostszego. To tylko krótka podróż pociągiem, a potem promem. Najlepiej pojechać do Hawru i kupić na noc kuszetkę. Albo polecieć.

— Czy gdybym z tobą została, miałabym prawo do samotności?

— Oczywiście — zapewniła ją Claire.

— Mam na myśli całe dni, a może tygodnie. I będę podróżować.

— W porządku.

— I nie będziesz mnie ciągać po nocnych imprezach z genialnymi naukowcami badającymi pornografię z udziałem transseksualnych partnerów po amputacji?

— Skończyłam z tym. Dziecko złagodziło mój charakter.

— A jeśli wyjadę na dłużej, nie będziesz mi robić wyrzutów?

— To w amerykańskim stylu. Nigdy taka nie byłam.

— W takim razie zgoda.

Claire uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą. Sara uświadomiła sobie, ile koleżanka ryzykowała, tak się otwierając. Czasami bywa wzruszająca, pomyślała z rozczeniem, ale tylko wtedy, gdy milczy. Potem ogarnęło ją to uczucie — otwartości i spokoju. To z nim wiązały się te bzdury o czakrze serca, o których wciąż gadała instruktorka jogi Jasmyn. Naturalna, czysta troska o drugiego człowieka, pozbawiona nadziei, potrzeb czy obawy o skutki. Poczula się jak ów trójnożny pies z głową wystawioną przez okno. Nie obchodziło ją, co się stanie — liczyło się to, co tu i teraz.



Z czoła Sary spłynęła kropla potu. Zaraz, zaraz, to wcale nie pot — zorientowała się. Z nieba lunął rzęsiasty deszcz. Spojrzała w górę. Przypominało sorbet śmietankowo-morelowy rozświetlony cytrynowymi zawiąskami — na pozór nie kojarzyło się z deszczem, przynosiło raczej pociechę.

Claire wbiegła do mieszkania, zabierając ze sobą wino. Ponagliła Sarę, lecz ona z uśmiechem pokręciła głową. Stała pod spływającymi z balkonu powyżej strugami deszczu, który nadawał coś Morse'em, bębniąc jej głowę i ramiona. Patrzyła na idących ulicą przechodniów, nagle uskrzydłonych gazetami i płaszczami przeciwdeszczowymi, jak anioły szykujące się do lotu. Biegali, wpadali do kawiarni i bram. Uśmiechali się do siebie porozumiewawczo w obliczu tej nieprzewidywalnej, niepożądaney, lecz łatwej do opanowania małej katastrofy — nieoczekiwanego potopu.

Jakiś samochód stuknął w tył innego. Na ulicę wyskoczyło dwóch mężczyzn. Żywo gestykulowali i klęli po francusku.

— Proszę się uspokoić! — krzyczał jeden z kierowców.

— Zapłaci mi pan za to! — wrzeszczał drugi.

Sara obserwowała sytuację, zaciekawiona ich żywiołowością. Wszystko dzieje się tak szybko, pomyślała. Spojrzała na Claire, która właśnie ćwiczyła jogę.

— Równowaga — powiedziała przez otwarte drzwi balkonowe.

— Chyba się przejdę na Gare du Nord — odezwała się Sara, nadal obserwując wypadek.

— Nie mów, że dzisiaj jedziesz do Irlandii?

— Nie. Chcę tylko pospacerować.

— A deszcz? — przypomniała ostrzegawczo Claire.

— Nie przeszkadza mi — odparła Sara. Wstała i owinęła się ciasno płaszczem przeciwdeszczowym. Była gotowa.

Claire wzruszyła ramionami swoim galijskim, pełnym wyższości gestem. Sara tylko się uśmiechnęła. Może później wszystko jej wytłumaczy. Albo zachowa to w tajemnicy.

Zbiegła na dół spiralnymi schodami. Otwierając drzwi, spostrzegła kryjących się przed deszczem ludzi. Wciąż lało, a pod markizą *brasserie* w sąsiedniej kamienicy schroniła się piątka niesfornych przechodniów. Sara przyłączyła się do nich. Obok niej stał biznesmen w średnim wieku, dwie nastolatki z nastroszonymi włosami i przesadnym makijażem, mniej więcej dwudziestoletni Turek, który pieczołowicie strzepywał z butów krople deszczu, oraz elegancka trzydziestokilkuletnia kobieta, pewna siebie, opanowana, spokojna nawet wobec wielkich przeciwności w postaci ulewy. Tchnęła urokiem, jakiego Sara zawsze zazdrościła. Stała obok tej kobiety i zastanawiała się, czy odważyć się wyjść spod markizy. Towarzyszka obdarzyła ją uśmiechem, który zdawał się mówić: „Witamy w klubie”. Obserwowali znużonego policjanta, który zajął się stłuczką, nim kierowcy skoczyli sobie do gardeł. W strugach wody wyglądali dość zabawnie.

Elegancka kobieta na ich widok przewróciła oczami. Sara zgodnie pokiwała głową: co za ludzie! Deszcz ustawał. Turek jako pierwszy zrezygnował ze schronienia, a zaraz po nim nastolatki. W końcu pod daszkiem stała tylko Sara wraz z nową znajomą. Wzruszyły ramionami, rozłożyły parasole i rozstały się, odchodząc w różnych kierunkach. Sara ruszyła szybkim krokiem, znów czuła, że tryska energią. Bolesne ukłucia,

które odczuwała między łopatkami od czasu wypadku, zniknęły, gdy z pluskiem maszerowała paryskim chodnikiem.

Chłopak na skuterze zwolnił i zatrąbił, proponując ślicznotce podwiezienie. Sara uśmiechnęła się, pokręciła przecząco głową — deszcz jej przecież odpowiadał — i poszła dalej.



TLR

# Od autorki

Poniżej zamieszczam kilka sugestii dla tych, których zainspirowałam do dodatkowej lektury książek Charlotte Brontë oraz jej korespondencji przytoczonej na stronach niniejszej książki.

*Dziwne losy Jane Eyre* to, rzecz jasna, najbardziej znana powieść Charlotte Brontë, w której pisarka wykorzystwała liczne, najczęstsze w swojej twórczości tematy i motywy: sieroty, usychające z miłości guwernantki i nauczycielki, mroczni, tajemniczy mężczyźni oraz nieoczekiwane przyipywy gotówki. Do mniej znanych i rzadziej czytanych należą jej pierwsza powieść *The Professor*, nie publikowana za życia pisarki (mimo ciągłych apeli do jej wydawcy), oraz ostatnia — *Vilette*. Obie książki traktują o zawodowych i osobistych perypetiach osieroconej nauczycielki angielskiego (*The Professor* to jedyna powieść Brontë z męskim narratorem) pracującej za granicą, w belgijskiej szkole z internatem dla dziewcząt. Obie wyraźnie opierają się na doświadczeniach Brontë z okresu studiów w Brukseli w Pensionnat Heger.

*Vilette* to ostatnia ukończona powieść Brontë. Choć pod pewnymi względami przypomina *Dziwne losy Jane Eyre*, często uważa się ją za najbardziej świeżą i tajemniczą wizję ludzkich doświadczeń. Zdaniem Virginii Woolf była to najlepsza powieść Brontë. George Eliot oświadczyła po jej publikacji: „*Vilette! Vilette!* Czytaliście? Tojeszcze cudowniejsza książka niż *Dziwne losy Jane Eyre*. Ma jakąś niemal nadnaturalną moc”.

Co do korespondencji, książkę *The Brontës. A Life in Letters*, zredagowaną i opatrzoną pomocnymi przypisami przez biografkę Brontë Juliet Barker, również czyta się jak powieść. Barker na nowo opracowała większość listów, dochowując wierności oryginałom.

Najbardziej oddanym wielbicielom pisarki polecam *The Letters of Charlotte Brontë: With a Selection of Letters by Family and Friends* — najobszerniejszy i najskrupulatniejszy zbiór jej listów pod redakcją Margaret Smith, wydany w trzech tomach obejmujących lata 1829-1847, 1848-1851 oraz 1852-1855.